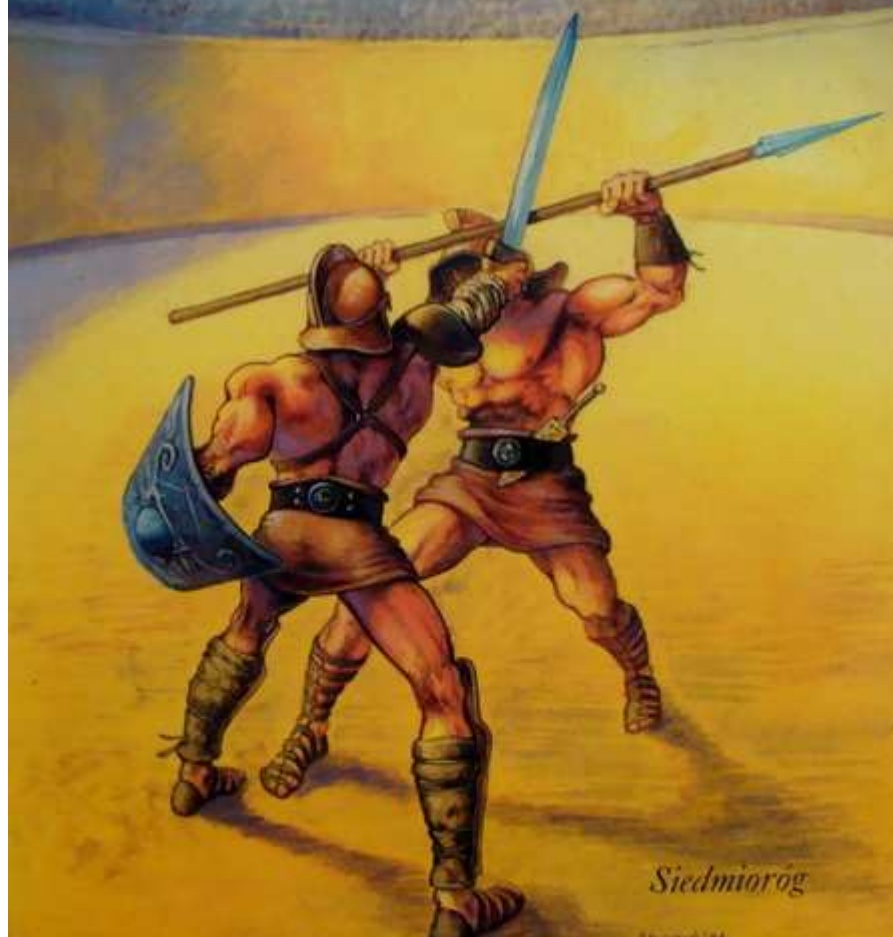


UCZNIOWIE SPARTAKUSA

Halina Rudnicka



Siedmioróg



Halina Rudnicka

Uczniowie Spartakusa

NA TARGU NIEWOLNIKÓW

Zaledwie różowe promienie świtu ciepłymi blaskami zalały plac targowy i wyniosłe, marmurowe kolumny świątyni Kastora, gdy ze wszystkich ulic nadciągając zaczęły gromadki ludzi. Na placu wokół niewysokich rusztowań z drzewa kręcili się robotnicy, ostatnimi uderzeniami młotków i siekier umacniając deski i belki. Ustawiano przestronne klatki, wysokie na wzrost człowieka, przesuwno duże kamienie i pieńki, na których mieli stanąć heroldowie ogłaszający licytacje i ceny niewolników. Szeroką falą płynęli sprzedający i przeznaczeni na sprzedaż. Szły grupki kobiet, chłopców i dzieci pod strażą uzbrojonych wyzwoleńców i całe oddziały jeńców wojennych eskortowanych przez żołnierzy. Prywatni kupcy sami, a państwo i wodzowie rzymscy przez swych urzędników i pracowników, rzucali na rynek codzienną porcję żywego towaru, kupionego w portach azjatyckich i afrykańskich lub, co najczęściej, zdobytego na wojnie czy w czasie obław urządzanych w dalekich prowincjach rozległej Rzeczypospolitej Rzymskiej.

Chłopcy i dzieci szli prawie nadzy, przystrojeni w wieńce i wstążki, dziewczęta w delikatne tkaniny, strojne we wczesne wiosenne kwiaty, dziewczęta piękne jak zamorskie ptaki, spadłe nie wiadomo dlaczego na złowrogi bruk rzymski. Szli młodzi siłacze, dobrani spośród tysięcy jeńców wojennych, dzwoniąc głucho łańcuchami, które ich skuwały po trzech. Szli mocnym krokiem – drażniąc wspaniałymi bicepsami, szeroką klatką piersiową i silnymi nogami scherlały tłum przekupniów rzymskich i greckich, który rozkładał swe ubogie kramy. Jeńcy ci – to cenna siła robocza, zdatna do winnic, kamieniołomów, kopalń, a nawet szkół gladiatorских. Za każdą taką grupą powolnym, chwiejnym krokiem wlokło się dwóch lub trzech bezzębnych starców-niewolników. Tak kazał zwyczaj kupiecki – do doborowego towaru, sprzedawanego hurtem po kilkanaście lub kilkadziesiąt głów, dołączano wybrakowane resztki, weteranów zabójczej pracy na plantacjach czy w kopalniach.

Była to jakby defilada wszystkich ras i krajów, do których sięgnęła drapieżna ręka zdobywców rzymskich. Szli czarni Getulowie, jasnowłosi Germanie i Słowianie, hebanowi Numidyjczycy, smukłe jak trzciny, czarnookie mieszkanki Andaluzji, zgrabni aleksandryjczycy, czarujące dzieci Lycium, Frygii i Grecji. Trzy części świata – Europa, Azja i Afryka – rzucały do stóp zwycięzców swe ludzkie bogactwo.

Dozorcy ze świstem przecinali powietrze grubymi batami, plecionymi z rzemieni, pokrzykując bądź to wesoło i powitalnie do znajomych, bądź to z groźbą na

nieszczęśliwych maruderów, którzy opóźniali się w marszu.

Ranek marcowy był chłodny. Wczesne promienie słońca nie zdołały jeszcze nagrzać powietrza, więc też niejeden szczękał zębami i dłońmi, rozłożonymi na płask, klepał się po udach i piersiach.

– Kapusta gorąca z baraniną!... Tania!... Smaczna!... – pokrzykiwał rażno młody sprzedawca niosąc przed sobą oparty na brzuchu gliniany, parujący garnek.

Żołnierze i dozorczy obstąpili go wokół. Dużą, drewnianą chochłą czerpał potrawę i nakładał do wyciągniętych miseczek i garnuszków. Otrzymywane miedziaki chował zręcznie do płóciennego woreczka na szyi.

Różnojęzyczny gwar unosił się nad tłumem i zlewał w jeden, huczący jak wieczorny przypływ morza, szum. Łacińskie i greckie wyrazy i zdania wybijały się ponad ten szum, niby głosy pasterzy nad beczącym stadem owiec.

Kalias zajął miejsce na wzniesieniu obok matki. Oczyma schwytanego dzikiego ptaka rozglądał się czujnie wokół i jak dziki ptak pragnął tylko jednego: uciec. Od miesiąca, od tragicznej nocy, gdy piraci napadli na bezbronny, śpiący dom babki, mordując starych, a uprowadzając młodych i zdrowych, tylko ta jedna myśl kołatała niestrudzenie w mózgu: uciec. Spętany, obok również spętanej matki i mieszkańców napadniętej wioski attyckiej, leżał na pokładzie zwinnej pirackiej barki marząc o skrzydłach Ikara, o ucieczce. Gdyby tak Zeus w postaci orła chwycił go, jak niegdyś porwał pięknego Ganimeda, i uniósł z powrotem do rodzinnych Aten! Ale barka płynęła spokojnie i pewnie po morzach, aż zawinęła do jakiegoś portu południowej Italii, gdzie przeładowano ich na rzymski statek kupiecki i odwieziono do Rzymu.

I tu po kilku dniach uciążliwych zabiegów odmładzających i upiększających wystawiono ich na sprzedaż. Kaliasowi ufarbowano włosy na kolor pszenicy i utrefiono w lśniące pukle, namaszczono olejkami ciało i barwnikami upiększono twarz. Matce jakimś płynem nasmarowano włosy, które jak błyszczące zwoje brązu opadały w ciężkich lokach na piersi i plecy, osłaniając ją niby płaszczem. Czerwone kwiaty upięte nad uszami podkreślały brzoskwiniową świeżość cery i głęboką czerń ogromnych, umiejętnie podmalowanych oczu. Zwiewna przejrzysta tkanina nie chroniła jej przed chłodem ranka i matka niespokojnymi ruchami starała się okryć płaszczem włosów przed zimnem i spojrzzeniami przechodniów. Rażąco, jak przylepione do ciała, wyglądały nogi, pobielone od stóp do kolan wapnem. Był to znak, że niewolnik był pierwszy raz wystawiony na sprzedaż. Bielone nogi gwarantowały świeżość towaru. Bielone nogi przeważały – mało było weteranów, to

jest takich, którzy najmniej rok przesłużyli u jakiegoś pana. Ta wystrojona cudacznie, odmłodzona matka wydawała się Kaliasowi jakaś obca i daleka. Spojrzał na niedużą tabliczkę zawieszoną na jej piersi. Przeczytał:

Arsinoe, Greczynka.

Lat 23.

Gra na lutni.

Śpiewa 1000 pieśni.

Znakomita prządka.

I na tej małej tabliczce mieściło się wszystko. Odmładzającą sztuką ukradzionych sześć lat życia matki. I piękne pieśni, które śpiewała w gronie kobiet ateńskich, tkających wspólnie suknie dla opiekunki miasta, bogini Ateny. Co trzy lata nowa, tkana z najdroższej i różnobarwnej przędzy, przetykana złotem szata okrywała w uroczystych dniach świąt – Panatenajów – stary posąg bogini. Były to dni triumfu matki, znakomitej prządki. Były to dni, które wdrażały siew pamięć radością i szczęściem. Kalias pamięta trzy takie święta: śpiewy, muzyka, igrzyska gimnastyczne, wyścigi, procesja... Westchnął ciężko. Poczul na ramieniu rozpaloną, suchą rękę matki. Usłyszał szept:

– Odwagi, synku... Bądź przy mnie blisko...

Usta jej drżały i Kalias czuł, że serce matki zamiera z trwogi przed rozstaniem. Rzadko się zdarzało, by rodziny kupowano razem. Zresztą ich właściciel starał się zamaskować fakt, że Arsinoe jest matką takiego dużego chłopaka. To źle wpływało na cenę. Nie kupowano nawet niewolników jednej narodowości. Było to niebezpieczne. Wspólność języka i pochodzenia ułatwiała zмовy, oszukiwanie pana i spiski. O tym wszystkim Kalias dowiedział się już na barce pirackiej. Już tam zaczął się uczyć nowej sztuki – życia niewolnika. Jakżeż ono okrutnie różniło się od życia w szkole ateńskiej i rodzinnym domu! Kalias przymknął oczy i zdało mu się, że widzi przestronną salę szkolną, nauczyciela-gramatyka, siwobrodego, siedzącego na wysokim krześle i powoli recytującego bojowe pieśni Tyrtajosa. Co robią teraz koledzy – weseli, rozdokazywani – Melikles i Polinik? Czy urządzają bez niego wyścigi u stóp Akropolu? Kto z jego przyjaciół ma teraz po nim sławę najlepszego biegacza?

– Uważaj! – syknął ktoś obok niego.

Kalias otworzył oczy. Przyszedł Gajusz Wibiusz, ich właściciel, i uważnie

sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Pomocnicy jego zdwoili gorliwość. Przysunęli bliżej klatkę, w której umieszczono jakiegoś starego Greka. Grupowali inaczej niewolników, poprawiali ich tabliczki. Wibiusz, czerwony, z błyszczącymi oczyma, buchał wyziewami wina i czosnku. Kalias spod oka trwożliwie go obserwował. Znał jego ciężką rękę i niepohamowanie w biciu.

Już pierwszego dnia po przeładowaniu więźniów z barki pirackiej na statek kupiecki Kalias poznał siłę jego uderzenia. Wibiusz, ze skórzanym, krótkim batem, przechadzał się po pokładzie, uważnie przeglądając zbitą, wystraszoną gromadę niewolników. Kalias, zapatrzony na wschód, na niebieskie morze, za którym pozostała słoneczna ojczyzna, dopiero w ostatniej chwili, szarpnięty przez matkę, odwrócił się, spojrzął i – krzyknął. Przed nim stał Milon, dowódca bandy korsarskiej, która spaliła domek babki. To był ten sam Milon z obrzękłą, czerwoną twarzą, ze szramą na prawym policzku. Zbóje kilkakrotnie wykrzykiwali z zachwytem jego imię, gdy mordował bezbronnych. To on – morderca babki. Kalias, ukryty za stertą siana, widział dokładnie wszystko: Milona w wojennym rynsztunku, pirata, tego samego Milona, który stoi teraz przed nim w todze Rzymianina. I on jest tym Wibiuszem, o którym już od rana szedł złowróźbny szept. Wibiusz nie lubił widocznie, by niewolnik ośmielił się w jego obecności, niepytany, mówić lub krzyżeć. Piekący bat spadł na plecy Kaliasa. I nie wiadomo, kiedy skończyłaby się kara, gdyby matka nie runęła oprawcy do nóg. Uderzył ją dwukrotnie, ale lekko, bez przekonania i odwrócił się. Rzymianin – korsarzem, tego Kalias nie mógł zrozumieć. Dopiero w przyszłości, za kilkanaście miesięcy, miał tę zagadkę rozwiązać w tragicznej dla siebie i przyjaciół sytuacji.

Milon był dziś w dobrym humorze. Śmiał się grubiańsko i pokrzykiwał wesoło na swych pomocników. Włochatą łapą klepnął najbliższego stojącego niewolnika, wydał kilka drobnych poleceń i po chwili zawrócił do niedawno opuszczonej garkuchni. Westchnienie ulgi powiało nad strwożoną rzeszą jego sług i niewolników. Kalias spojrzął na życzliwego sąsiada, który go uprzedził o niebezpieczeństwie. Był to młody Germanin Gannikus, którego poznał na rzymskim statku. Germanin – silny, krępy młodzieniec dwudziestokilkuletni, o przedziwnie gęstych brwiach, które jak czarnym węglem nakreślona linia biegły równo przez czoło, łącząc się u nasady nosa. Okazywał mu dużo życzliwości. Wyświadczał drobne przysługi. Dał mu któregoś dnia kilka orzechów, nie wiadomo skąd zdobytych. Nie pozwolił go krzywdzić innym niewolnikom. Był dobry, co nie było rzeczą łatwą wśród różnorodnego tłumu

nieszczęśliwców.

– Dziękuję ci – szepnął z wdzięcznością.

Gannikus uśmiechnął się.

– Dostałbyś niezłą miarę, gdyby opój zobaczył, że śpisz.

– Nie spałem – odparł smutno Kalias.

Germanin spojrzał na niego uważnie.

– Nie rozmyślaj – powiedział życzliwie. – Lepiej popatrz, co się tu dzieje.

Chcesz, pokażę ci wiele ciekawych rzeczy.

I nie czekając na odpowiedź Kaliasa, zaczął tłumaczyć:

– Sprzedają mnie już trzeci raz, więc znam to wszystko dobrze. Patrz, ten tu w klatce to słynny filozof, Grek z Aleksandrii. Ciało denara niewarte, a głowa! Ho, ho, taka głowa! Legion rzymskich łbów nie ma tyle oliwy, ile mieści się pod tym łysym czerepem. Patrz, a tam dalej, w klatce, to garbaty karzeł z głębi Afryki. Kupiec weźmie za niego tyle pieniędzy, ile ta pokraka waży. Rzymianie lubią osobliwości.

Gannikus pokazywał Kaliasowi różnych niewolników, tłumaczył, do czego mogą być przeznaczeni.

– O, widzisz, tam publikanie, poborcy podatków, taksują niewolników i wyznaczają podatek. Zobacysz, jak się będą kłócić o stawki. Publikanie szacują wysoko, by brać wyższy procent, kupcy oszukują przesuwając niewolników do niższej kategorii, bo nie lubią płacić podatku. Posłuchaj, jak piekli się ten handlarz.

– Co, czterysta sestercji podatku za tę bezzębną tykwę?! – krzyczał wymachując rękami właściciel greckiego lekarza. – Kto mi da za niego szesnaście tysięcy sestercji! Więcej wart tłusty karp niż ta chuda szkapa! Zrujnujcie mnie!

Handlarz skakał, pinił się i ze złością poszturchiwał prętem w plecy lekarza zapatrzonego gdzieś poza dach świątyni, obojętnego jednak na kieszeń kupca, jak i na własne losy. Publikanie śmieli się, śmieli się też przygodni widzowie.

Rynek zaczął napełniać się kupującymi. W lektykach niesiono możnych panów i dumne, bogate damy rzymskie. Wystrojeni wyzwolenicy, zarządcy majątków arystokratów i rycerzy, otoczeni ciżbą podwładnych, przechadzali się wzdłuż trybun, oglądając wystawionych na sprzedaż. Niektórzy zatrzymywali się, macali mięśnie, badali klatkę piersiową, zaglądali do jam ustnych, sprawdzali chód i postawę, kazali skakać, robić przysiady, podnosić ciężary. Potem, kłócąc się zawzięcie i hałaśliwie, dobijali targu. Płakały dzieci odrywane od matek, szlochały kobiety. Niejednokrotnie rozlegał się świst bata i krzyki ludzkie ostrymi akcentami protestu przecinały

powietrze.

Niedaleko Kaliasa stanął na kamieniu młody herold obdarzony zdolnościami poetyckimi, bo w śpiewnym wierszyku, widocznie własnej kompozycji, zaczął wychwalać zalety rosłego silnego chłopaka:

Zwróćcie tu wasze oczy.
Czyż was nie uroczy
Postawa tego Azjaty...

Gotów na każde skinienie.
Powiększy wasze mienie
Jego ochocza praca...

Pod waszą ręką zdolną
Stanie się gliną powolną
Na wszelkie przeróbki i zmiany.

Choć śpiewa gorzej słowika,
Jego na flecie muzyka
Pewnie wam uszu nie zrani...

Tylko sześćdziesiąt sztuk złota,
Jeśli wam przyjdzie ochota,
Śmiało możecie mi dać...

Mówię wam prosto i szczerze:
Nie każdy tak mało bierze
Za ten niezwykły nabytek...

Cnoty Azjaty wspaniałe
Zajmą tablice dwie całe,
Jeśli zechcecie je spisać...

Karany raz tylko jedyny,

Ze zwykłej i błażej przyczyny,
Za małą wycieczkę z rana
Bez wiedzy i zgody pana...*

[* Swobodna przeróbka autentycznego wiersza z czasów Rzeczypospolitej Rzymskiej, zachwalającego niewolnika wystawionego na sprzedaż.]

Tłum gapiów otoczył herolda z takim talentem zachwalającego swój towar. Niewinną ranną wycieczką nazywało się tu zamiłowanie niewolnika do uciezek – wada, która najbardziej obniżała cenę i mogła spowodować zerwanie kontraktu kupna. Herold wykorzystując zainteresowanie kupujących wskazał ręką na grupę dziewcząt, wyśpiewując znów na inną melodię skoczny wierszyk:

Śliczne Andaluzki
Zgrabniejsze niż kózki,
Dźwięczne jak skowronki,
Wesołe jak dzwonki,
Gdy ci przyjdzie ochota,
Kupisz za sto sztuk złota.

Kazał dziewczętom tańczyć. Wystraszone, jak kuropatwy zbiły się w jedno stadko. Ale bat dozorca złowrogo zaświstał w powietrzu. Dwie z dziewcząt porwały się za ręce, wybiegły na środek rusztowania i poczęły wirować, rytmicznie klaszcząc w dłonie. Ich blaszane bransoletki podzwaniały do taktu. Do tańczących przybiegły jeszcze dwie. Z tłumu gapiów zaczęły padać zachęcające okrzyki. Dziewczęta tańczyły, to łącząc się w kółko, to odskakując od siebie, wykonywały te same harmonijne, wdzięczne ruchy. Wreszcie zmęczyły się, skłoniły przed widzami i przysiadły na deskach.

Tymczasem widzowie znaleźli inną rozrywkę. Herold ogłosił licytację filozofa. Głośno, z emfazą, dobierając słów, wychwalał jego wiedzę i mądrość. Zatrzymało się kilka lektyk. Spoza firanek wyjrzały umalowane, znudzone twarze dam. Niejedna myślała, że byłoby przyjemnie obok małpki i karła mieć w lektyce filozofa. Prawiłby uczone monologi w czasie spacerów, deklamował różne poezje i cytował filozofów greckich czy rzymskich. Wygodna książka mówiąca, ale cóż, zbyt kosztowna.

Cena filozofa doszła już do piętnastu tysięcy. Kilku licytantów dorzucało po kilka sestercji, przedłużając zabawę. Dowcipy i żarty krążyły dookoła. Amatorzy kupna wiedzieli, że cena nie jest jeszcze wygórowana. Filozof kosztował niewiele więcej niż dwa słowiki, tyle, ile dwóch robotników z winnic.

Przy grupie licytujących przystanął zamożny piekarz Cecyliusz Proculus. Ot, tak sobie, posłuchać i popatrzeć. Od rana już kręcił się po targowisku. Szukał prezentu urodzinowego dla żony. Proponowano mu różnych niewolników. Zręczne prządki, biegłych krawców, wychowawczynie dzieci – owe „nutritores”, „cunarii” – specjalistki od karmienia, od usypiania i bawienia dzieci. Nie mógł się zdecydować. Choć przed wyjściem na targ wypił dwie miarki znakomitego wina z Chios, nic nie pomogło. Gdyby istniał taki idealny mediastinus, który by wszystko potrafił, do wszystkiego się nadawał, a kosztował tanio! I co najważniejsze, podobał się surowej, wymagającej małżonce!

Już wóz Apollina wspaniałym łukiem okrążył prawie połowę stropu niebieskiego, a biedny Cecyliusz Proculus nie mógł się zdecydować. Nagle nie wiadomo jaki zły geniusz podsunął mu myśl zabawienia się licytacją. Podniósł cenę o dziesięć sestercji. Cisza. Trzykrotnie herold wywołał jego cenę. I trzykrotnie odpowiedziała cisza. Cecyliusz Proculus uczył nagle, że mrówki przebiegły mu po grzbiecie, gardło niepokojąco zaschło, a na czoło wystąpiły krople potu. Rozejrzał się niespokojnie, jakby w trwodze, czy nie stoi gdzieś zacna matrona-małżonka, wpakował palec w nos, tam szukając natchnienia, lecz, ponaglany przez herolda, westchnął żałośnie i wysupławszy ze skórzanego woreczka pieniądze, zaczął po sztuce wylizywać na ręce handlarzowi.

– Wino i wodaaa

zdrowia wam doda...

– przeciągle nawoływał sprzedawca napojów chłodzących niosąc przewieszzone przez ramię dwie amfory. Piekarz wypił jednym haustem duży kubek, skinął ręką na filozofa i wycofał się z targu.

Przyszła też kolej na matkę Kaliasa. Bogato ubrany wyzwoleniec zdobną w pierścienie ręką wskazał na Arsinoe.

– Ej, ty tam – krzyknął do herolda – chcę zbadać umiejętności tej Greczynki, każ jej zagrać pieśń weselną!

Herold prętem dotknął ramienia Arsinoe i ukwieconej lutni.

– Graj – rozkazał po grecku – tylko wesoło!

Matka utkwiała przerażone, nieprzytomne oczy w twarzy kupującego, poruszyła wargami i rękoma objęła lutnię.

– Graj – powtórzył herold.

Palce matki pobiegły po strunach, które rozpląkały się nagle perlistymi dźwiękami jak krople deszczu na miedzianej tablicy.

– Wesoło! – krzyknął herold i śmignął prętem przez plecy matki.

– Dosyć – przerwał kupujący. – Niech zaśpiewa.

Powstrzymując gwałtownie dławiące ją łzy Arsinoe łagodnym jak plusk fal o zmierzchu głosem zaczęła śpiewać popularną piosenkę o jaskółce:

Jaskółeczka leci, leci,

Już na dworze słońko świeci...

– Wystarczy – zdecydował kupujący. – Ile chcesz?

Kalias nie słyszał ceny ani nie zauważył, że transakcja została już zawarta. Zdławiła go rozpacz i niemoc jakaś sparaliżowała umysł.

To już. Stało się. Za chwilę rozdzieli go z matką. Na zawsze. To nie powinno się stać! Nie!

– I ja, i ja, panie, kupcie i mnie!... – krzyknął ochrypłym głosem.

Popularna ludowa piosenka grecka. Najpierw po grecku, potem po łacinie. Kupujący spojrział na niego przelotnie, nie przerywając liczenia pieniędzy.

– Milcz, parszywy szczeniaku!

Świsnął bat i Kalias poczuł, że płomień przebiegł mu przez plecy. To Milon zjawił się w samą porę. Ale chłopiec nie zwracał uwagi na ból.

– Panie, panie, kupcie mnie... Będę wierniejszy niż pies i pracowitszy niż koń... Panie... kupcie i mnie...

Twarz matki stała się biała pod różem. Usta poruszały się bezdźwięcznie. Czy prosiła o pomoc dalekich, ojczystych bogów, czy powtarzała imię ukochanego syna?

Milon chciał szybko zakończyć niemiłą scenę. Popchnął Arsinoe ku grupce niewolników otaczających nabywcę.

– No! – krzyknął krótko, dobitnie.

Matka, z trudem odrywając jakby skamieniałe nogi od desek rusztowania, spojrziała na Kaliasa i postąpiła naprzód.

– Bądź mężny, Kaliasie, bądź... jak Herakles...

Kalias runął do jej stóp.

– Mamo, mamo!

Znów zaświstał bat. Arsinoe, szarpnięta za ramię przez jednego z pomocników, odeszła razem z grupą nowo zakupionych niewolników. Obejrzała się poza siebie, ale poprzez głowy gawiedzi nie mogła zobaczyć już nic. I nic nie słyszała.

Wibiusz-Milon wyładowywał swą wściekłość. Mało dziś sprzedał i za niższe ceny, niż się spodziewał. A to greckie szczenię omal nie zepsuło najlepszej transakcji. Kto wie, czy wzięto by Arsinoe za tę cenę, gdyby się okazało, że ma o parę lat więcej?

Skatowany Kalias leżał bez ruchu. Wąskie strużki krwi powoli ściekały z pleców na deski.

– Wytrzeć to parszywe bydlę, założyć tunikę i sprzedać taniej – rozkazał Wibiusz swym pomocnikom głosem przerywanym czkawką. – Nie mogę na niego patrzeć... A jeśli nie sprzedacie...

Pogroził zaciśniętą pięścią i zawrócił do swych przyjaciół pozostawionych w garkuchni.

Gwar handlu powoli cichł. Tylko gdzieniegdzie skupiały się grupki kupujących wokół nielicznych już, niesprzedanych niewolników. Pozostały jeszcze zajęte niektóre klatki, bo zbyt wygórowana cena odstraszyła amatorów osobliwości, pozostali też niewolnicy w czapkach bez daszka – oznaka, że sprzedający nie gwarantował solidności towaru. Pozostali „weterani”, bo nie każdy się kwapił z nabyciem niewolnika, którego starał się pozbyć poprzedni właściciel. Zapewne mimo braku widocznych defektów niewolnik nie był wiele wart, jeśli został wystawiony na sprzedaż.

Kalias z oczyma suchymi, w których palił się buntowniczy ogień, z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, siedział bez ruchu na deskach. Nie czuł nic. Ani bólu poranionych pleców, ani przyjemnego ciepła południa, ani pragnienia i głodu, mimo że nie jadł od poprzedniego wieczora.

Pochylił się nad nim Gannikus i lekko szturchnął w bok. Spod krzaczastej gęstwiny brwi patrzyły życzliwe, zatroskane oczy.

– Matkę twoją kupił najbogatszy człowiek w Rzymie. Wywiozą ją do majątku pod Neapolem. Tam jest duża tkalnia materiałów wełnianych... Tyle się dowiedziałem od niewolników, w których grupie matka poszła... Byłbym jeszcze zapytał o nazwisko tego Rzymianina i nazwę wsi, ale nadszedł Wibiusz.

Kalias nie poruszył się.

– Słyszałeś, matka mówiła, byś był mężny jak Herakles... Trzymaj się...

Kalias kiwnął głową. Rodziła się w nim mocna jak śmierć, nieugięta decyzja.

– Na święte mury Akropolis, na bogi ogniska domowego przysięgam ci, matko, wolność! – szeptał do nieobecnej. – Choćbym miał całą Italię przemierzyć wzdłuż i wszerz, choćbym jak Orfeusz zawędrować miał do bram piekieł, to ciebie, matko, odnajdę i wrócisz do ojczystych Aten... Przysięgam ci, mammo...

I ta uroczysta przysięga wróciła mu siły. Spokojnie już i uważnie słuchał szeptu Gannikusa:

– Wiesz, niewolnicy zawsze sobie pomagają. Możesz być pewien, że gdziekolwiek będziesz, zawsze możesz liczyć na pomoc towarzyszy... ułatwią ci szukanie... miej stale oczy otwarte na wszystko... pomogą ci trafić na ślad matki. Jeśli dostaniesz się do jakiegoś bogacza, a będziesz umiał się wkraść w jego łaski, to nawet na wyzwolenie matki zarobisz. Wszystko zależy od tego, czy masz szczęście. Jeśliś się urodził pod szczęśliwą gwiazdą...

– Nie wierzę w szczęśliwe czy nieszczęśliwe gwiazdy – mruknął Kalias.

Na plac wjechał dwukołowy wózek zaprzęzony w muły. Na wózku siedział dorodny mężczyzna o twarzy ogorzalej i czerstwej.

– Witaj, Lucjuszu! – zawołał jowialnie do herolda. – A to się piekielnie spóźniłem na targ! A patron kazał mi kupić kilku niewolników... Koło mi w drodze spadło... Co ja tu teraz dostanę. Wszystko, co lepsze, już pewnie sprzedane...

Rozejrzał się bacznie wokoło.

– A czego potrzebujesz? – przerwał mu herold.

– Ano, wiesz – roześmiał się przybysz – mój patron kompletuje żywą bibliotekę, potrzebny mu jest jeszcze Homer, Anakreont i Ezop.

– Tego towaru już nie ma – pokiwał głową herold. – Ot, weź tego chłopaka. Pisze i czyta po grecku, zna nieźle łacinę... Cena niska. Wibiusz go sprzął i chłopak nieszczerze wygląda. Ładny i zręczny Grek, dobry będzie do usługiwania przy stole.

Siedzący na wózku zamyślił się trąc fraszobliwie brodę.

– A ile za niego chcesz?

– Pięć tysięcy, a wart dziesięć. Zobaczysz.

– Dużo... Dam trzy.

– Nie, daj cztery i pół.

– No, rzymskim targiem: cztery.

– Zgoda.

Przyklepali ręce. Umowa zawarta. Po chwili Kalias znalazł się na wózku. Gannikus pomachał ręką na pożegnanie.

– Bywaj zdrow, Kaliasie, jeszcze się zobaczymy! – zawołał beztróska.

U NOWEGO PANA

Jechali z wolna Drogą Appijską. Wokoło rozciągały się rozległe, starannie uprawiane ogrody kwiatowe i warzywne i zorane pola. Muły szły leniwie, chwilami przystawały; zniecierpliwiony woźnica cmokał i gniewnie pociągał za lejce. Kalias, wtulony w róg wózka, ukradkiem przyglądał się swemu nowemu panu. Język mu zesechł i pragnienie paliło tak dotkliwie, że nawet nie odczuwał głodu.

Po obu stronach drogi ciągnęły się grobowce, nieliczne w kształcie ozdobnych kapliczek, inne skromne, opatrzone tylko płytą marmurową lub pomnikiem. Niektóre były otoczone ogródkiem, by dusza zmarłego miała miejsce na przechadzki. Przywilej bogactwa decydował i o wygodach pośmiertnych.

Mimo popołudniowej pory ruch na drodze panował ożywiony. Mijali bogate pojazdy możnych, wózki ręczne i konne, pieszych, oddziały żołnierzy maszerujących ku miastu.

W miarę oddalania się od Rzymu okolica stawała się coraz mniej zaludniona i coraz smutniejsza. Zamiast ogrodów i pól uprawnych rozciągały się nieskończone pastwiska, poprzerzynane gdzieś gajami oliwnymi, winnicami lub lasami. Wczesna, ciepła wiosna delikatną zielenią barwiła pola. Na horyzoncie, od wschodu, fioletowymi stożkami majaczyły góry.

– Jestem vilicusem u dostojnego pana Kwintusa Waryniusza – przerwał milczenie nowy opiekun.

Kalias poruszył się, ale nic nie odpowiedział.

– Pewno nie wiesz, co to vilicus.

– Nie wiem – schrypniętym głosem przyznał chłopiec.

– Jestem zarządcą jego olbrzymich włości, które zaczynają się już stąd – wskazał biczyskiem na rząd topoli biegnący na prawo, wzdłuż drogi. – Pod moją władzą jest cała służba w „villa rustica”: niewolnicy zajęci w winnicach, oracze, pasterze, ogrodnicy. A nade mną tylko mój pan, czcigodny Waryniusz.

– A pani? – ośmielił się zapytać Kalias.

– Pan – kawaler. Ani myśli o żeniactwie. Ma bratanka, Marka, którego bardzo lubi. Kubek w kubek do niego podobny. Niedaleko jabłko pada od jabłoni. A ty, jak się tu dostałeś? – zmienił nagle temat rozmowy.

Kalias w kilku zdaniach opowiedział swoje dzieje.

– A czy ty umiesz pisać? – zaniepokoił się nagle vilicus.

– Tak. Ładnie piszę. I znam na pamięć dużo wierszy i pieśni. Mama uczyła i w szkole gramatyk. – Kalias chciał się popisać swoimi umiejętnościami i zjednać sobie tego gadatliwego, poczciwego, zdaje się, vilicusa.

– Ile lat się uczyłeś?

– Siedem.

– Co? – vilicus odwrócił ku niemu gniewną twarz.

– Tak, panie. Zacząłem naukę, gdy miałem sześć lat. Teraz mam trzynaście.

– Podły Lucjusz nawet mnie okłamał – zamruczał vilicus. – Jakżeby handlarz niewolników mógł żyć bez oszukaństwa! Dziesięć lat? Zaraz mi się to wydawało podejrzanе. Taki wyrośnięty chłopak, choć chudy. No, ale głupstwo, niczego sobie jesteś, wart tych pieniędzy.

I z uznaniem klepnął go po łopatkach.

Kalias wbrew woli jęknął.

– A prawda, to cię kochany Wibiusz oporządził na drogę... Do wesela się zgoi – zaśmiał się rubasznie. – A jeść od wczoraj nie dali, co?

– Nie dali – potwierdził Kalias.

– Tak, tak... znam to... Kawalek chleba czy garść bobu dla niewolnika prowadzonego na targ to niepotrzebny wydatek... Masz, jedz – z plecionego koszyka wyciągnął dużą kromkę pszennej placki i glinianą butelkę.

– Pij.

Błogi smak wody, zaprawionej figami, mile ochłodził spieczony język i zaschnięte gardło.

Słaba nadzieja zakołatała do serca chłopca.

„Może nie tak strasznie będzie na tej służbie rzymskiej, jak opowiadali” – pomyślał.

Jakby odgadując jego myśli, vilicus mówił:

– Będzie ci dobrze. Pójdiesz na pokoje pańskie. Ad pedes pana, to znaczy, będziesz siadał u stóp pana, aby wypełniać jego rozkazy i bawić go żartami.

– Nie umiem żartować – ponuro oświadczył Kalias.

– Nauczysz się. Będziesz recytować wiersze, podawać panu i gościom wonną, chłodną wodę do mycia rąk, nalewać puchary wina... Akurat jest miejsce wolne po Filonie... biedny chłopak...

Kalias nie śmiał zapytać, dlaczego vilicus współczuł jego poprzednikowi. Bał się natręctwem zrazić uprzejmego zwierzchnika.

„Pocziwy jakiś – utwierdzał się Kalias w dobrym mniemaniu o vilicusie. – Jak by tu zdobyć jego opiekę i przyjaźń? Może mi nawet poradzi, w jaki sposób zarobić pieniądze na wykupienie matki, a co ważniejsze, jak ją odnaleźć”.

Skrećili w szeroką aleję wysadzaną platanami.

Z dala, w jaskrawym słońcu zachodu, mieniła się wszystkimi odcieniami czerwieni wspaniała „villa rustica”, pobudowana na niewielkim wzniesieniu.

Wiodły do niej schody z rdzawego piaskowca, które w blasku zachodu przybrały barwę dojrzałych malin. Nad schodami, niby młody las, wystrzelały ku górze białe kolumny, różowe teraz od podstaw aż do rzeźbionego fryzu. Kolumnada otaczała cały fronton pałacu. Poza nim ciemniały zarysy palm, topól i pinii, ujmując w ciemne ramy piękną budowlę.

Kalias, jak każdy Ateńczyk, wrażliwy na barwę i kształt, zapomniał na chwilę o swej niedoli, podziwiając ten cud architektury i przyrody.

Bramę wjazdową otworzył im niewolnik. Poruszał się wolno i ociężale, bo przeszkadzały ciężkie łańcuchy, które skuwały mu nogi. Kilku innych niewolników podbiegło do vilicusa, usłużnie pomagając przy wysiadaniu.

– Zaprowadźcie chłopaka do lekarza, niech mu wygoi skórę, zanim pan przyjedzie – rozkazał vilicus, kierując się na prawą stronę podwórza.

Po paru godzinach Kalias najedzony, wymyty i natarty jakimiś wonnymi olejkami, które przyniosły ogromną ulgę zbolałym plecocom; leżał na dość wygodnym łożu w pokoju „valetidunariów”, to jest niewolników, którym powierzona była opieka nad zdrowiem pana i służby. Byli to, jak zazwyczaj się zdarzało, Grecy. Siedząc na posadzce, grali w kości i kłócili się używając niewymyślnych przekleństw z przedmieść ateńskich, mimo to Kalias z lubością wchłaniał dźwięki ojczyściej mowy.

Jeden z grających spojrzął na chłopca i uśmiechnął się.

– No jak, dobrze ci?

– O, tak. Vilicus dobry, wy też jesteście dobrzy... Chyba i pan będzie dobry...

– Zobaczysz, zobaczysz – oschle, dziwnym tonem rzucił pytający i powrócił do gry.

I Kalias zobaczył niejedno. Po paru dniach wszczął się niebywały ruch w całej willi. Przyjeżdżał pan i goście zaproszeni na wiosenne polowanie na przelatujące ptactwo. Ptasznicy i przyuczeni do polowań niewolnicy przygotowywali i czyścili sprzęt łowiecki. Pod ogólnym nadzorem niewolnika-intendenta, zwanego „dispensatorem”, cały legion niewolników spełniał powierzone im prace. Jedni

czyścili srebra, inni zajęli się porządkowaniem domu. Szorowano marmurowe kolumny i mozaikowe posadzki, czyszczono meble, laurami wieńczono posągi przodków w atrium, gdzie również zmieniono wodę w sadzawce, w perystylu sadzono świeże kwiaty i czyszczono fontannę. Orkiestra złożona z cymbalistów i flecistów ćwiczyła się pod kierunkiem mistrza w hymnie powitalnym. Pod wodzą promusa (szafarza) uwijali się kucharze, piekarze i cukiernicy wraz z pomocnikami, przygotowując wymyślne potrawy. Kaliasa przydzielono do tricliniarchy – kierownika sali jadalnej (triclinium). Pod wpływem ciepłych, ziołowych kąpeli i leczniczych maści zagoiły się skaleczenia Kaliasa, sine pręgi ustąpiły z pleców. Czuł się zdrowy, wypoczęty, spokojnie więc poddał się nowym obowiązkom. Tricliniarcha ćwiczył go w zgrabnym stąpaniu, ukłonach, podawaniu czar z winem i rozpylaniu wonnych olejków. Z repertuaru Kaliasa wybrał dwie bajki Ezopa i kilka wierszyków, które miał wygłosić na żądanie pana lub któregokolwiek z gości. Nie było to szkolne wydawanie lekcji przed gramatykiem – byle jakie, prędkie i głośne. Tricliniarcha zwracał baczna uwagę na wymowę, na ton głosu i pauzy między wierszami. Okazało się, że Kalias oprócz zapamiętanych słów nic więcej nie umie. Srogi nauczyciel bił trzcina w dłoń za każdą omyłkę i Kalias niemało się napocił i nacierpiał, nim posiadał sztukę deklamatorską w wystarczającym według tricliniarchy stopniu. Oprócz niego ćwiczyło się jeszcze kilku chłopców. Spośród nich najbardziej do serca przypadł Kaliasowi jedenastoletni Efebus, Egipcjanin o złotawobrazowej skórze i orzechowych, bystrych oczach. Postanowił się z nim zaprzyjaźnić. Efebus dał mu do zrozumienia, że również chciałby mieć w nim przyjaciela. Starali się być blisko siebie czy to w czasie ćwiczeń, czy też przy posiłkach. Pierwszego dnia po przyjściu do tricliniarchy zdarzyła się Kaliasowi nieprzyjemna historia. Oszołomiony nowością pracy, jaką mu przydzielono, starał się zrozumieć wymagania nauczyciela i zapamiętać jego wskazówki. Mało więc uwagi zwracał na kolegów, śledząc uważnie każdy ruch ust i rąk nauczyciela. Jeden z uczniów, pięcio – czy sześćioletni chłopiec, różowy i złotowłosy jak Amor, z dużymi niebieskimi oczyma, pogardliwie odnosił się do wskazówek tricliniarchy, przedrzeźniał go, szczypał recytujących chłopców, a wreszcie zainteresował się Kaliasem. Podszedł do niego, obejrzał ze wszystkich stron niby osobliwe zamorskie zwierzątko, poklepał go w ramię gestem pana kupującego niewolnika, a na koniec najspokojniej, jak gdyby to była dziupla drzewa, zaczął mu wpychać gałązkę do ucha. Kalias, zasluchany w słowa nauczyciela, spokojnie odsunął rękę malca. Ale ten bynajmniej nie zrezygnował. Jeszcze złośliwiej ponowił atak. Kalias chwycił jego rękę i

przytrzymał. Wtedy nieznośny chłopak szarpnął się i kopnął go z całej siły w bok. W Kaliasie zawrzała krew. Ujął malca jedną ręką za złote loki, a drugą wymierzył mocnego klapsa w pośladek. Chłopcy parsknęli śmiechem, zasłaniając sobie usta kułakami. Tricliniarcha zmieszał się.

Malec wybuchnął płaczem i krzyknął: – Zobaczysz! Jeszcze mnie popamiętasz! – wybiegł z sali.

Kalias rozejrzał się wokoło. Koledzy mieli zakłopotane miny.

– Kto to? – zapytał ochłonałszy.

– To Delicjusz, ulubieniec pana. Strzeż się go – nie wiadomo czemu szeptem powiedział Efebus.

Czas wolny od ćwiczeń spędzał Kalias na zapoznawaniu się z życiem domu. W podziw go wprawiał ten ogromny zespół ludzi, których jedynym celem i zajęciem było służenie jednemu człowiekowi. Czyż nie potężny, mądry i dobry musi być ten pan, skoro tylu ludzi słucha go bez sprzeciwu i za cel swego życia uważa spełnianie jego życzeń. Jak wszechwładne, choć nieobecne bóstwo wypełnia sobą całe domostwo, niewidzialny, a naginający do pracy dla siebie te dziesiątki, różnych ras i krajów.

Nikt nie przeszkadzał Kaliasowi w swobodnym poruszaniu się po pałacu. Zwiedzał łaźnie urządzone z niesłychanym przepychem, całe wykładane marmurem, gdzie w niszach stały cudne posągi boginek wodnych, a z kranów wyrzeźbionych w kształcie lwich łbów płynęła woda zimna i gorąca; zwiedził sąsiadujące z nimi pokoje przeznaczone do odpoczynku po kąpieli, do masażu i ubieralnie. Obejrzał kuchnię, izbę do wytłaczania oliwy oraz izby przeznaczone do wyrobu win, przestronne, widne i czyste. Przechowalnia wina, największa spośród gospodarczych izb, bez dachu – dowiedział się od szafarza, że Rzymianie uważali brak dachu za konieczny warunek dobrego konserwowania wina – zadziwiła go liczba beczek drewnianych i glinianych butelek, w których mieściło się wino.

Najwięcej jednak czasu spędzał w perystylu, którego kwiaty, a szczególnie rzeźby i posągi najbardziej mu przypominały rodzinny dom i ubożuchny w porównaniu z tym perystyl ojcowski, ale jakżeż górujący nad nim dostojnością pracy twórczej, zawsze zasypany okruchami marmurów i gliną. Tam pod palcami ojca rodziły się posągi zwycięzców olimpijskich, bogów i bohaterów. W perystylu ojca był skromny kącik za kwitnącym kapryfolium, gdzie Kalias, schowany przed wzrokiem ciekawych, próbował lepić z gliny konie, kozy, a przede wszystkim wspaniałe świstawki! Różnobarwne tulipany, ciemne fiołki, smukłe lilie wyciągały chciwie

główki ku słońcu, zapachem i barwami przypominając ojczyste Ateny. Kalias chował twarz w dłonie i, kiwając się miarowo, szeptał w daleki świat:

– Mamo... mamoo... mamoo.

Wreszcie któregoś popołudnia przyjechał pan z licznym poczem miejskiej służby i gromadą przyjaciół.

Dostojny Waryniusz wjeżdżał we wrota własnej willi jak triumfator na Kapitol. Najpierw na rączych siwych konikach kłusowało kilkunastu lekkobrojdnych, silnych Syryjczyków, stanowiących przednią straż i obronę. Następnie, jak przed zwycięskim wodzem, jechali przed jego bogatym, barwnie malowanym wozem trębacze i lutniści z wieńcami na głowach. Obok wozu Waryniusza pełnili służbę na luźnych koniach strojnie ubrani krewniacy i przyjaciele domu, dostojniejsi goście zajmowali miejsca w dalszych wozach i pojazdach. Orszak zamykał oddział czarnych Numidyjczyków, ze srebrnymi tarczami na piersiach, uzbrojonych w ostre dzidy i miecze.

Zaroilo się wszędzie. Do izdebki, gdzie spał Kalias z innymi niewolnikami, wpakowano jeszcze kilku przybyszów. Czyniono ostatnie pospieszne przygotowania do uczy wieczornej, tak zwanej „cena”. Zdenerwowanie i podniecenie starszych udzieliło się i chłopcom. Z obawą i ciekawością oczekiwali nadchodzącego wieczoru. Cierpliwie poddali się zabiegom fryzjera, który ułożył im włosy w piękne pukle. Balneatorzy natarli im ciała olejkami i wreszcie ubrano ich w długie, białe, przejrzyste tuniki przepasane szerokim pasem, tkanym z różnobarwnej wełny z ponaszywanymi złotymi blaszkami. Loki przewiązano im wstążkami o końcach swobodnie zwisających na plecy. Twarze uróżowano i upudrowano, ukarminowano usta.

Wreszcie tricliniarcha wyznaczył chłopcom miejsca przy łóżach, na których mieli spoczywać biesiadujący.

Kalias stanął przy łożu przeznaczonym dla bratanka dostojnego Waryniusza, szesnastoletniego Marka, obok łoża pana. Łóża z brązu połyskiwały złoceniami, na wspaniałych, marmurowych stołach lśniły kielichy rżnięte z różnobarwnego szkła, odbijając swe smukłe kształty, jak w zwierciadłach, w srebrnych talerzach i misach. Słodocze, przeróżne owoce surowe i smażone w miodzie, orzechy spiętrzone w kunsztowne piramidy zajmowały środki stołów. Kandelabry i lampy oliwne nikłymi płomykami walczyły z jasnością dnia. Ale już mrok, sprzymierzeniec ich, wypełzał z kątów olbrzymiej sali.

Gdy zabrzmiała cicha, ukryta muzyka, do sali zaczęli napływać goście. Wszedł Kwintus Waryniusz, otyły starszy mężczyzna o zwisającym podbródku i wysuniętej ku

przodowi dolnej wardze. Oczy koloru zeschniętej gliny, jakby wypełzłe, o nabrzmiałych powiekach, nadawały całej twarzy chorobliwy wyraz znużenia.

Za nim wbiegł młodzieniec średniego wzrostu, szczupły, czarnooki, o twarzy smągłej, pociągłej. Tak samo wysunięta ku przodowi dolna warga czyniła tę twarz odpychającą, nadając jej znamię wyniosłości i zarozumiałstwa. Złota „bulla” – medalion kunsztownej roboty, oznaka niepełnoletności – zawieszona na szyi, na złotym łańcuszku, podskakiwała w takt jego energicznych kroków. Pozdrowił stryja i gości i swobodnie zajął swoje miejsce.

Uczta rozpoczęła się. Niewolnicy bezszelestnie zjawili się z misami pełnymi pieczonego mięsiwa, ryb i różnych jarzyn. Podawano wina mrożone i wodę dla gości, którzy rozcieńczali zbyt mocne trunki. Muzyka oddalona i słodka przenikała – zda się – przez mury. Wbiegły tancerki, zwinne jak jaskółki, w spódniczkach krótkich, białych, suto marszczonych. Niewidoczni muzykanci przeszli na żywsze tempo. Dziewczęta zaczęły wirować, a z ich białych sukienek powstał obłok skrzący się gwiazdami. Stopniowo ruchy ich słabły, a ręce w szerokich rękawach skłaniały się wolno jak skrzydła ptaków układających się do snu...

Kalias, oszołomiony zbyt i niezwykłością tańca, wrażliwy na wszystko, co piękne, zapomniał na chwilę, gdzie się znajduje. Na szczęście Marek pił mało wina, więc zaniedbanie w służbie nie było tak widoczne.

– Taniec przelatujących żurawi – szepnął mu przechodząc Efebus – ale uważaj...

Muzyka zamierała powoli i dziewczęta lekko jak boginki leśne wybiegły z sali. Tylko delikatny zapach nardu, który po nich pozostał, świadczył, że były tu przed chwilą.

Potem popisywali się zręcznością połykacze noży, a dwaj atleci walczyli w rękawicach pięściarskich zaopatrzonych w ciężarki. Walka skończyła się rozbiciem nosa jednemu z zapaśników.

Następnie na znak Waryniusza zaczęły się popisy poetyckie.

Wystąpił pieśniarz grecki z harfą i zaczął znaną piosenkę Anakreonta:

Czarna ziemia pije,
Ziemie piją drzewa
I morze tym żyje,
Co z chmur się wylewa.

Kalias drgnął na dźwięk ojczystych słów, zasłuchał się i tęsknota jak ciężkie brzemie zwałała mu się na serce. Poderwało go bolesne szarpnięcie za ucho i gniewne słowa:

– Jak usługujesz, błaznie!

Pieśniarz na chwilę umilkł, wszyscy zwrócili głowy w stronę Marka. Kalias stał purpurowy ze wstydu i strachu. Dopiero życzliwe szturchnięcie Efebusa uprzytomniło mu, że ma podać panu misę i wodę do obmycia rąk. Zrobił to niezgrabnie, rozpryskując dookoła wodę.

Marek skinął na tricliniarchę, który zbliżył się w postawie pełnej pokory i prośby o przebaczenie.

– Dlaczego takim nieuczonym małpom polecasz usługiwać?! – zapytał panicz gniewnie.

– Wybacz, panie... Onieśmieliła chłopca twa znakomitość i zebranie tylu dostojnych gości... Pierwszy raz widzi takie bogactwa...

Wino popłynęło do czar, półmiski zmieniały się ciągle. Zdumiewała Kaliasa ta ilość pochłanianego jadła i trunków. Niektórzy z młodych niewolników ukradkiem ściągali resztki z mis i posilali się za plecami swych panów. Kalias, choć czuł głód i napływ śliny do ust, nie ośmielił się spuścić z oczu swego pana. Warował jak czujny pies gotów na każde skinienie. Gościom wkrótce znudziły się wyszukane pieśni poetów. Widocznie znali inne zabawy, bo zaczęli klaskać w ręce i wołać:

– Sentencje, sentencje!

Wówczas Waryniusz zawołał słowo „kura” i wskazał palcem na jednego z domowych poetów.

Ten odpowiedział natychmiast:

Kura kurze
pokazała
jajko duże.

– Cha!... cha!... cha!... – ryczeli goście.

Gospodarz rzucał słowa, a niewolnicy lub goście tworzyli wierszyki lub sentencje. Niektóre były dowcipne i logiczne, inne pozbawione sensu, złożone z przypadkowej gry słów. Pochlebcy zonglowali zręcznymi pochwałami, za które

niejeden dostawał garść miedziaków. Im głupszy wierszyk lub złośliwszy, tym większą wzbudzał wesołość podchmielonych biesiadników.

Przyszła kolej na Kaliasa. Waryniusz zawołał „szpak” i wskazał na niego.

Kalias zaczął:

Mądry szpak
powiedział tak...

I nagle wszystkie myśli odpłynęły mu z głowy. Pustka. Zbladł i zamilkł. Och, gdyby tak ziemia zapadła się pod nim! Co powiedział mądry szpak?

- Dalej, mów dalej! – wołali podochoceni goście.
- „Mądrej głowie dość po słowie” – zakończył za niego Efebus.
- Podaj wino! – zawołał Marek.

Kalias chwycił ze stołu kunsztowny puchar i odwrócił się szybko. Nagle zawadził o czyjaś nogę i runął na posadzkę. Czerwona struga rozlała się szeroko na łoże i trysnęła na białą tunikę Marka.

Kalias spojrzał w bok i zobaczył mściwe i złośliwie roześmiane oczy Delicjusza.

– To ty! – krzyknął wściekle i rzucił się ku niemu z pięściami.

Ulubieniec Waryniusza przewrócił się na jego łoże. Dwóch niewolników chwyciło za łokcie Kaliasa i szarpnęło do tyłu. Mimo to nieprzytomny z gniewu chłopak zdołał jeszcze kopnąć malca w udo. Delicjusz rozbeczał się i płaczącego wyprowadzili z sali.

– Precz z nim, do ergastulum! – zawołał Waryniusz.

Jeszcze tego samego wieczora zdarto z Kaliasa piękną odzież, obcięto loki i na sznurku poprowadzono gdzieś w pole.

Vilicus polecił wydać mu zeschnięte, połatane sandały, krótką, z grubej wełny tkaną tunikę i stary, zużyty płaszcz.

– No cóż, Kaliasie, niedługo świeciło ci słońce. Rogatą masz duszę, niezdatną dla niewolnika. Albo cię wypolerują, albo przepadniesz – powiedział na pożegnanie – ale i tak masz szczęście, że cię na baty nie skazali...

Dość długo pędzono go przez pola. Kalias potykał się w bruzdach. Ostre trawy i kolce mijanych krzewów raniły mu nogi. W jakimś miejscu zatrzymała ich uzbrojona straż... Przewodnik Kaliasa powiedział hasło i strażnik odebrał od niego postronek.

Popędził chłopca jeszcze kilkadziesiąt kroków i zatrzymał się przed drzwiami na wpół ukrytymi w ziemi.

Otworzył drzwi z ciężkiego łańcucha i drewnianej zapory, odwiązał sznur z ręki Kaliasa, przytrzymując go za ramię, i kopnął go w pośladek. Nieszczęśliwy chłopak potoczył się po kilku kamiennych schodkach i spadł na czyjeś nogi.

Usłyszał przekleństwa, jęki i poczuł parę bolesnych szturchańców.

Ciemność wokół panowała niezmiernie. Ciężkie oddechy, straszliwy zaduch potu, brudu i ropiejących ran dusiły go po prostu. Wśród kłębowiska ciał znalazł wreszcie tyle miejsca, że usiadł na wilgotnej, lepiącej się glinie. Wstrząsały nim dreszcze, ale bał się poruszyć i odezwać. Gdzie on właściwie jest? Ergastulum? Co to być może? Więzienie, kaźń? Ale najpewniej – przedsionek piekła.

Krótką noc wiosenna zdawała się nieskończenie długa w swej grozie. Coś go gryzło i kilkakrotnie przesunęło się po nogach. Ścisnął palce, aby nie krzyknąć ze strachu i wstrętu.

Wreszcie nikłe smużki świtu, szarawe jeszcze i niepewne, zajrzały przez maleńkie, wysoko pod sufitem umieszczone, obmurowane okienko. I w tej chwili zgrzytnęły łańcuchy, drzwi się rozwarły wpuszczając świeżość poranka i snop światła. Kalias aż się zatoczył, tak odurzyła go nagła zmiana powietrza. Mrużąc oczy, wyszedł po schodach za innymi. Na dworze stało kilku uzbrojonych strażników. Mieszkańcy ergastulum zaczęli ustawiać się w dwuszeręgi w dziesięcioosobowe grupy. Kalias, wypchnięty z szeregu, stanął z boku. Choć przerażone, lecz baczne jego oczy chłonęły wszystko. Widział więc straszliwie wychudzonych mężczyzn, swoich współtowarzyszy, obrośniętych, brudnych, z przekłutymi uszami lub piętnem na czole. Widział ich połatane, krótkie tuniki, „exomis”, skrojone w ten sposób, że prawa pierś i prawe ramię pozostawały nagie, co dawało zupełną swobodę przy pracy. Takie same tuniki mieli w willi robotnicy zajęci przy mieleniu mąki. Ale ci mieli swoje tuniki przepasane metalowym pasem, od którego zwisał pomiędzy nogami łańcuch rozdwajający się koło kolan i połączony z okuciami przy obu kostkach. Łańcuch pozwalał tylko na krótki krok, wystarczający przy pracy na roli. O tych łańcuchach słyszał już kiedyś, ale zobaczył je po raz pierwszy.

Dowódcy dziesiątek, „decurioni”, wyznaczeni spośród najgorliwszych i najbardziej zaufanych niewolników, sprawdzali stan liczbowy i postawę podwładnych. Wszyscy niewolnicy byli dziwnie podobni do siebie. Kalias zastanowił się: czyż te nędzne lachy i łańcuchy czyniły z nich jednolite stado, w którym trudno było znaleźć

jakieś odrębne cechy? I po chwili zrozumiał. To te zmierzwione, matowe, suche jak stare siano włosy, obrzękłe chorobliwie oczy o czerwonych powiekach, zgarbione plecy i straszna chudość ciał upodabniały jednych do drugich.

„Wkrótce i ja tak będę wyglądał” – pomyślał i aż się zdziwił, że tak obojętnie przyjął tę tragiczną odmianę losu.

Jeśli coś ludzkiego pozostało jeszcze w tych skazańcach, to oczy. Oczy palące się chorobliwie ciemnym i mocnym ogniem nienawiści i buntu. Oczy przykryte obrzękłymi powiekami jak żar ogniska popiołem, ale od czasu do czasu strzelające iskrą gniewu, gdy któryś z decurionów wymyślał lub wydzielał normę pracy dziennej. Przyniesiono beczki i plecione z wikliny kosze pełne porcji chleba. Każdy z niewolników dostawał kubek jakiegoś napoju i czwartą część bochenka chleba zeschniętego i sypiącego się jak żwir. Kalias stanął w ostatniej grupie niestanowiącej pełnej dziesiątki. Dostał taką samą porcję, jak inni, i usiadł na ziemi, aby jeść. Powąchał płyn w kubku: przypominał mu zapach beczki po solonych oliwkach i wodę bagienną. Wstrząsnął się i spojrzał pytająco na towarzyszy.

– Pij, to wino niewolników – powiedział niski, rudawy człowiek z piętnem na czole.

– Wino... – powtórzył ze zdumieniem Kalias i znowu powąchał.

– Czyż może lepiej pachnieć mieszanka octu, wygotowanego wina i starej wody morskiej?* [*Przepis Katona na wino dla niewolników: wlać do beczki 10 amfor wina słodkiego, dwie amfory mocnego octu, tyleż wina wygotowanego, 50 sekstariów (litrów) wody słodkiej – mieszać to przez 5 dni kijem po 3 razy dziennie, a potem dodać 64 sekstarie starej wody morskiej.] – zapytał rudy. – Ale pij, bo do wieczora nic więcej nie dostaniemy. A zobaczysz, jak się w polu pić chce, gdy słońce przypiecze... Będiesz żałował, że ci tego tak mało dali... I pomyśl, że do końca życia nic innego pić nie będziesz... Na szczęście w ergastulum koniec nie jest daleki...

Kalias ostrożnie umoczył usta i wzdrygnął się.

– Nie wylewaj, daj – poprosił rudy i korzystając z tego, że decurion odwrócił się plecami, podsunął swój kubek.

Posiłek trwał krótko. Decurioni popędzali opieszających, więc niektórzy chowali resztki niedojedzonego chleba za tuniki i ustawiali się w dziesiątki do odmarszu. Kalias niewiele jadł, bo ościsty i suchy chleb dławiał go i drapał w gardle. Schował więc, jak inni, prawie nienaruszoną porcję za tunikę, z myślą, że może gdzieś w polu znajdzie strumień, z którego będzie się można napić i w którym można będzie

rozmoczyć ten suchar. Tak samo prędko podniosła się do odmarszu grupa, przy której przysiadł Kalias. Podniósł się również, choć nie wiedział, co ma ze sobą zrobić – jeszcze go nigdzie nie przydzielono. Ale główny nadzorca, subvilicus, nie zapomniał o niczym. Spojrzał na Kaliasa i kiwnął palcem.

– Świnie paść umiesz?

– Tak – odpowiedział szybko, choć nie miał pojęcia, jak taka praca wygląda. Widywał wprawdzie u babki po kilka świń w chlewie, ale nigdy się nimi nie interesował. Wolał paść krowy na łąkach wspólnie z chłopakami ze wsi. Chyba jednak pasienie świń nie jest trudniejsze niż pasienie krów.

Jednego był tylko pewien – pasterz nie może nosić na nogach ciężkiego łańcucha, a wszystko inne będzie z pewnością mniej straszne. Za wszelką cenę wyrwać się z tego piekła żywych, zwanego ergastulum!

– Pójdiesz z nim – subvilicus wskazał Kaliasowi młodego chłopca, silnie zbudowanego i ogorzałego, który przed chwilą przybiegł spod gaju z jakąś wiadomością, która zasępiła czoło zwierzchnika.

W drodze Kalias dowiedział się, że jego towarzysz jest pasterzem owiec tam za gajem, a pasterz świń, Grek z Cyrenajki, trzydziestoletni Aratos, zachorował i trzeba zająć się jego trzodą.

Mieściła się ona w naturalnej kotlinie, okrągłej, jakby wydrążonej w ziemi pięścią Giganta, o ścianach podwyższonych przez ułożone kamienie i darń. Świnie nie mogły się stąd samowolnie wydostać, tak jak też żaden drapieznik nie mógł się podkopać ani napaść zniecka. Mocna, z cienkich bali zbita furtka broniła wejścia.

Tuż przy furtce, w skleconym byle jak szałasie, na kupce mierzwy zmieszanej z liści i startej niemal na proszek, leżał siwobrody, o wyostrzonych rysach twarzy, wychudzony chorobą człowiek. Przykryty był podartym płaszczem i skórami owczymi. Czoło, niemal zielonkawe, zroszone miał kroplami potu, powieki i policzki płonęły purpurą gorączki. Człowiek dygotał z zimna – zęby białe i równe w tej starczej, pomarszczonej twarzy dzwoniły jeden o drugi i jęk ze świstem wyrывał się ze szerniałych warg. Czyż możliwe, by ten starzec miał trzydzieści lat?

– Parę razy dziennie ma takie ataki – szepnął pasterz owiec. – Pewno już długo nie pociągnie. Zajmij się trzodą, bo jemu i tak nic nie pomożesz. Nasze stada są tu obok, w tej kotlinie. Przyjdź dziś wieczorem. Damy ci sera, a dla chorego mleka. Jutro o świcie ruszamy w góry ze stadami, jak każdej wiosny. Zostaniesz tu sam, ale nie masz czego się bać, wilki teraz siedzą w górach... Będzie ci ciężko samemu, ale cóż,

musisz wytrzymać!...

Wy tłumaczył szybko i pobieżnie, jak ma wyglądać opieka nad trzodą, pokazał, gdzie jest najlepsze pastwisko świńskie, i pognął do swoich owiec. Kalias pozostał sam. Zauważył, że chory zapadł w jakąś niespokojną drzemkę, bo oczy zamknął i zaczął pospiesznie oddychać, chwilami tylko wstrząsając się całym ciałem. Kalias postawił obok legowiska kubek wody i wyszedł z szałasem do trzody. Było tu kilkanaście sztuk starych zdziczałych świń i dużo młodych. Wszystko kłębiło się w kotlinie, ryjąc ziemię, kwicząc i przewracając się. Dwa dziko patrzące, ponure psy leżały przed szałasem, uwiązane na powrozach, z łbami położonymi na przednich łapach i czujnie obserwowały tarzające się w piasku świnię.

Kalias zagwizdał na psy. Odpowiedziały warknięciem i nie ruszyły się z miejsca. Chłopiec wy dostał swoją porcję chleba i rzucił im po kawałku. Odskoczyły z gniewnym ujadaniem, lecz widząc, że obcy nie rusza się, podeszły nieufnie, obwąchały chleb, a potem spiesznie połknęły. Kalias ponowił próbę rzucając teraz bliżej swych nóg. Psy po chwili zbliżyły się z wahaniem, skradając się ostrożnie, i znowu gwałtownie capnęły rzucone kawałki. Chłopiec kilkakrotnie powtórzył ten sam manewr i psy zjadły przynętę. Wreszcie na obu wyciągniętych dłoniach położył resztki swej porcji śniadaniowej. Psy warcząc i podwijając pod siebie ogony zbliżyły się powolutku, cofnęły się, pokusa była widocznie zbyt silna, a głód czynił je odważnymi.

Kalias przymilnie cmokał i łagodnie przemawiał pieszczotliwymi słowami greckimi. Znajome zapewne dźwięki podziałały na nie uspokajająco, bo podeszły już ufniej i wylizwały drobne okruchy z dłoni chłopca. Jeden dał się nawet pogłaskać. Kalias, pewny już zwycięstwa, cofnął się do szałasem i zabrał długi i gruby, sękaty kij. Coś mu się zaplątało u nóg – spojrzał i aż gwizdnał z radości: sieci na ptaki i wędka. Widocznie pasterz tym sposobem uzupełniał sobie braki wyżywienia. Kalias umiał zakładać sidła, więc też postanowił dziś jeszcze wykorzystać znalezione narzędzia.

Niemaloby trudu kosztowało go wypędzenie trzody na pastwisko. Świnię rozbiegały się w różne strony, uciekały i tylko z pomocą psów i kija udało mu się jako tako je opanować. Cały dzień do zmierzchu uganiał się po polach, zmordowany, zły i głodny. Nawet nie miał czasu i ochoty przyrządzić sobie złowionego w potoku szczupaka. Psy wytropiły młode zające i pożarły je. Świnię ryły bez przerwy, wykopywały sobie korzenie i bulwy, żarły jakieś grzyby i pędy młodych roślin. Tarzały się w błocie i wycierały w piasku. O późnym zmierzchu udało mu się wpędzić je do kotlinki. Nazbierał chrustu i postanowił rozpalić ognisko. Ale czy da sobie radę, jeśli

nie znajdzie żaru pod popiołem obok szalasu? Ognisko wyglądało na wygasłe. Ostrożnie zgarnął warstwy popiołu. Na spodzie tliła się jeszcze mała iskierka. Zaczął dmuchać na nią pieczołowicie i z przejęciem. Rzucił żywiczne suche gałązki świerkowe. Po chwili buchnęły płomienie. Co za radość! Nad chrustem zawiesił na kiju złowionego szczupaka, w garnek gliniany nasypał ziarna przeznaczonego na dokarmianie świń, które znajdowało się w szałasie, i zalał wodą. W drugim glinianym garnku przyniósł czystej wody z potoku. Po namyśle, gdy woda zawrzała, wrzucił do niej pęczek ziół, które suszyły się na kołku przy szałasie. Widocznie Aratos suszył te zioła na wypadek choroby, po coś inaczej byłyby mu potrzebne.

Takiej uczty nie miał od dawna. Błoga sytość wypełniła mu żołądek. Chory w szałasie obudził się i zawołał cicho. Był przytomny. Kalias zaniósł mu cały kubek naparu. Aratos wyciągnął ręce, ale dygotały tak silnie z osłabienia, że nie mógł utrzymać kubka i gorący płyn polał mu się na palce. Kalias ostrożnie go napił.

– Ktoś ty? – zapytał po chwili Aratos.

– Kalias, Grek, przysłali mnie do pomocy – odparł chłopiec.

– Do pomocy... – słabo wyszeptał chory. – Mnie już żadna pomoc niepotrzebna... Ja umieram...

Umarł po trzech dniach. Wieczorem Kalias przygnał swoją trzodę i zajął się rozpaleniem ogniska. Z szałasu doleciał go jęk. Zaniepokojony zajrzał: Aratos kiwnął nań palcem.

– Odsłoń szałas na wschód... gdzie wschodzi... srebrny łuk Artemidy... do Grecji...

Dyszał ciężko i mówił zacinając się na każdym słowie. Jakiś skurcz bólu wykrzywił mu twarz.

– Grecja... Ateny... znasz?

– Tak.

– Mów...

Kalias zmieszał się i zawahał. Nie wiedział, od czego zacząć. Akropolis. Tak. To słowo najbardziej zrozumiałe dla każdego Greka. Święte Akropolis z cudami rzeźb i marmurów, z posągami bogów i bogiń. Ze wspaniałym Zeusem. Akropolis, u którego podnóża od wczesnej wiosny słały się różnobarwne dywany kwiatów... i ptaki śpiewały w stuletnich oliwkach. Tęsknota dodała skrzydeł poezji słowom Kaliasa. Mówił o świętym wzgórzu jak o bajce, która jest gdzieś za morzami – niedosiężna, a upragniona. Chory przymknął oczy. Uspokoił się, rysy twarzy ułożyły się w łagodne,

niemal piękne linie. Pierś podniosła się równo, prawie nieznacznie. Usta poruszyły się znowu. Kalias pochylił się, aby usłyszeć.

– Jaskółka... jaskółka... – ledwie dosłyszalny szept.

Czyżby Aratos tracił przytomność? Kalias zaniepokoił się i gorączkowo zaczął przypominać sobie wiadomości o jaskółkach.

– Jaskółki przylatują wiosną – zaczął powoli.

Powieki chorego zatrzepotały niecierpliwie. Znowu poruszył wargami.

– Śpiewaj...

Ponowny skurcz bólu wykrzywił mu twarz. I Kalias w tej chwili zrozumiał.

Jaskółeczka leci, leci,

Już na dworze słońko świeci.

Zaśpiewał drżącym, niepewnym głosem. Coś jakby uśmiech pojawiło się w kącikach ust umierającego. Pogoda zstąpiła na czoło.

Jaskółeczka przyleciała,

Wierzchem czarna, spodem biała,

Wynoś, wynoś placek spory

Z pełnej komory,

Wynoś wina też beczułkę

I sera gomółkę...

Aratos westchnął głęboko; głowa przechyliła mu się na bok i nogi wyprężyły. Kalias przerwał piosenkę i ujął jego dłoń. Była bezwładna, wilgotna i zimna. Zatrwożony pochylił się, by usłyszeć oddech.

Lecz Aratos już nie oddychał.

Kalias spędził bezsenłą noc, pełną strachu i przywidzeń. Psy wyły, a zatrwożone tym świny kwiczały i gryzły się napełniając całą dolinę hałasem i niepokojem. Wiatr szeleścił gałęzmi szalasu, trzeszczała słoma i Kaliasowi zdawało się, że zmarły lada chwila zerwie się, krzyknie strasznym głosem i ściśnie go za gardło. Przypomniały mu się wszystkie opowieści starej niani niewolnicy o wędrówkach duchów zmarłych, niepogrzebanych, napastujących żywych. Chciał uciec do ergastulum i tam szukać pomocy, ale bał się wyjść poza obręb szalasu. Noc jednak

minęła bez przygód. Ledwo zaczęło szarzeć, pobiegł do subvilicusa zawiadomić o śmierci Aratosa. Myślał, że tak być powinno, że to jego obowiązek. Ale subvilicus rozumował inaczej i Kalias przekonał się o tym.

– Ty parszywy szczeniaku – krzyknął wściekle, usłyszawszy nowinę – to ty stado opuszczasz, bo zdechł jakiś pastuch! Zdechły pastuch mniej wart niż zdechła świnia. Rozumiesz, bydlaku?

Na plecy Kaliasa posypały się rzemieńne razy. Wrócił do szałasów posiniaczony i głodny. Ale nie czas było myśleć o sobie. Musiał pognać w pole swoją trzodę. Wieczorem zajął się pogrzebem. Nie mógł nawet marzyć o spaleniu zwłok, zwyczajem ojczystym, bo w okolicy było zbyt mało drzewa. Chrust i drobne gałązki z gaju nie wystarczały na ułożenie stosu. Z westchnieniem pomyślał, że gdyby pasterze nie wywędrowali w góry, to by mu jakoś pomogli. Zagrzebał więc Aratosa na wzgórzu w piasku i przyrzucił kilkoma kamieniami. Napracował się i zmęczył, ale za to noc nie była już taka straszna, jak poprzednia. Wyczerpany, rzucił się na legowisko i przespał spokojnie kilka godzin. Nazajutrz przyszedł decurion z jednym niewolnikiem, aby zająć się pogrzebaniem zmarłego. Gdy dowiedział się, że Kalias sam już pogrzebał Aratosa, pochwalił go, zostawił mu tygodniowy przydział żywności, sprawdził stan trzody i odszedł. Kalias odetchnął z ulgą.

Następne dni upłynęły w spokoju. Nauczył się już trochę obchodzić ze zwierzętami, nabrał wprawy i doświadczenia, psy go słuchały, miał czas na łowienie ryb i zakładanie sideł. Wypoczywał i nabierał sił. Niedługo to jednak trwało. Klęska spadła niespodzianie.

Któregoś ranka Kalias zauważył, że dwie maciory nie chcą jeść. Wypędzone na pastwisko, położyły się pod krzewem kolczastej opuncji, ciężko dysząc. Nazbierał w gaju dębowym żółdzi, tego świńskiego przysmaku, ale maciory obojętnie spuściły łby. Przyniósł im wody, pochleptały trochę. Zauważył, że uszy ich i skóra pokryły się czerwonymi plamami. Nie wiedział, co robić, ale bał się pójść do subvilicusa. Nie ulegało wątpliwości, że maciory były chore. Może im jednak przejdzie? W nocy spał źle, budził się i nasłuchiwał. W świniami było dość cicho. Słyszał tylko mlaskanie i jakby gryzienie czegoś twardego. Ciemna noc nie pozwoliła nic dojrzeć. Zanosilo się na deszcz i gęste chmury zasnuły niebo. Rano trochę zasnął. Obudził go hałas przed bramą. Zerwał się wystraszony i wyjrzał. Do bramy dobijał się subvilicus siedzący na mule. Obok niego stało dwóch niewolników. Widocznie przed świtem padał deszcz, bo ziemia była wilgotna. Pole barwiło się świeżą zielenią i rozkwitłymi czerwono-białymi

kwiatami.

Kalias pospiesznie otworzył bramę przed niespodzianymi gośćmi. Drżał, że za chwilę subvilicus zbije go za niedbalstwo. Już słońce wzeszło, a on jeszcze nie w polu! Subvilicus zeskoczył z muła, którego uzdeczkę usłużnie pochwycił jeden z niewolników.

– No, przyjechaliśmy po tłustego wieprza – powiedział wesoło do Kaliasa. – Potrzebny na ofiarę dziękczynną. Prowadź.

Wyszli za szalasa. Psy skoczyły z ujadaniem do nóg przybyszów. Subvilicus zdzielił jednego grubą trzcina, trzymaną w ręku. Pies zaskamlał i ukrył się za szalasem. Drugi już nie ponowił ataku. Kalias spojrzął do świniami i nagle krew z głowy i serca odpłynęła mu do nóg. Zdawało mu się, że zapada się pod ziemię. Gdybyż go rzeczywiście chciał pochłonać Tartar! Pośrodku kotliny widniały świeżo ogryzione kości. Nawet krew na nich jeszcze nie obeschła. Kilka małych prosiąt leżało na piasku bez ruchu z kopytkami wyciągniętymi ku górze. U innych niepokojąco czerwieniły się uszy. Subvilicus jednym rzutem oka objął ten obraz. Twarz mu się skurczyła jak u złego wilka, wargi uniosły, odsłaniając zęby. W oczach zamigotał płomień.

– Co to? – wycharczał.

Kalias poczuł, że włosy na głowie mu się podniosły, a serce rozpoczęło niespodziewaną wędrówkę do gardła.

– Nie wiem, panie – wykrztusił.

– Nie wiesz! – ryknął subvilicus. – A jak było wczoraj?

– Dwie maciory, panie, nie jadły, dostały czerwonych plam... Ale myślałem, że im przejdzie...

– I nie zawiadomiłeś mnie o tym! Na Polluksa, nie ujdzie ci to bezkarnie!...

Już pierwsze uderzenie zważyło Kaliasa z nóg. Po następnym stracił przytomność. Subvilicus zaprzestał kary dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że zakrwawiona masa u jego nóg przestała się ruszać. Klnąc i złorzecząc wsiadł na muła. Nie było tu co zabierać. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie świny były chore. Wyszli już poza bramę, gdy subvilicus nagle coś sobie przypomniał.

– Zabierz psy – rozkazał jednemu z niewolników.

Ten zawrócił i widząc, że subvilicus nie patrzy, wciągnął Kaliasa do szalasu i rzucił na posłanie. Chlusnął mu w twarz kubek wody, ale spostrzegłszy, że chłopak się nie rusza, machnął ręką. Pies, uderzony przez subvilicusa, kulał na jedną łapę i warczał, gdy niewolnik chciał go zabrać. Po namyśle niewolnik spuścił go z łańcucha i

wyszedł tylko z jednym poza bramę.

– Panie, drugi pies kuleje, nie zajdzie do willi.

Subvilicus spojrzął, ale nic się nie odezwał. W milczeniu ruszyli w powrotną drogę.

* * *

Błyszczący łuk Artemidy srebrzył się na wschodniej pości niebios, gdy Kalias otworzył oczy. Trochę białego światła przenikało do wnętrza szałas, promienie drżały na słomie i gałęziach. To drżenie pochłonęło uwagę chłopca. Natężył umysł, by zrozumieć, co się stało. Poruszył ręką i jęknął. Ach, tak! I nagle przypomniał sobie wszystko. Poczul ciepłe, miękkie dotknięcie na nogach.

– Bubo, Bubo – wyszeptał.

Pies z radosnym skowytym przypadł mu do piersi. Zaczął lizać zapiekłe rany. Kalias oparł głowę na jego łbie. Gorące łzy spływały po policzkach. Pies nie zaprzestawał litościwych zabiegów.

„Bądź mężny, Kaliasie, bądź jak Herakles!”.

Tak niedawno słyszał te słowa, a zda się, że wiek cały upłynął! Kalias podźwignął się. Opodal stał gliniany garnek z wodą. Przyczołgał się ostrożnie i zanurzył obie ręce. Nabrał wody w dłoń i zwilżył sobie spieczone wargi, a potem zaczął chciwie pić. Poczul ulgę. Powoli zaczęła wracać świadomość czyhającego niebezpieczeństwa. Subvilicus na pewno wróci z ludźmi. Wstrząsnął się. Dłużej tu nie pozostanie. Opierając się na kij, a drugą ręką trzymając się ścian szałas, podniósł się i stanął. Nogi pod nim drżały i było mu zimno. Przykrył się płaszczem. Do woreczka płóciennego włożył nóż, resztki owczego sera, który dostał na pożegnanie od pasterzy, sól i chleb z przydziału przywiezionego przez decuriona. Czy daleko zdoła ujść i nieść te swoje skarby? Wyszedł z szałas do bramy. Pies, kuśtykając na trzech łapach, zaskamlał żałośnie. Kalias obejrzał się i zawrócił. Urwał kawał materiału ze swej tuniki, zmoczył w wodzie i zabandażował psu łapę. Potem ruszyli przed siebie – ślaniający się na nogach chłopak i kulawy pies. Odpoczywając co kilkanaście kroków, potykając się i padając na nierównościach, Kalias posuwał się naprzód. Byle dalej od tych strasznych miejsc, byle dalej... Pot zmieszany z krwią pokaleczonego czoła spływał mu z twarzy, boleśnie piekły plecy, więc ściągnął tunikę i nago wędrował przez dzikie pustkowia. Ciężka, nieskończona, zda się, była ta noc – pierwsza wolna noc na ziemi rzymskiej. Czyste, ciemnoniebieskie niebo pozieleniało, pierzaste

chmurki jak stado gołębi przemknęły na zachód. Tuż nad ziemią wykwitła nagle różowa smuga światła. Delikatne, liliowe blaski rozlały się po polach. Świtało.

W DRODZE

Cały dzień przespał Kalias pod samotną, zdziczałą oliwką. Obudził się trochę silniejszy i wypoczęty. Plecy poranione piekły jeszcze i bolały przy każdym ruchu, ale to nie była już męka nocnej wędrówki. Głucha pustka panowała wokół. Wyciągnął z woreczka swoje zapasy i zaczął jeść. Podał kawałek psu, ale ten odwrócił łeb. Wysunął suchy, czerwony język i popatrzył wymownie w oczy Kaliasa. Tak, trzeba poszukać wody.

– Szukamy wody, Bubo, wody – powtórzył.

Pies szczeknął potakująco i skoczył naprzód. Zadarł łeb w górę i pociągnął nosem, jakby badał kierunek wiatru. Potem pochylił się ku ziemi i zaczął czujnie węszyć. Obejrzał się na chłopca i ruszył wprost na zachód. Kalias, rozglądając się uważnie dookoła, poszedł za nim. W powietrzu dzwoniły skowronki, gdzieś w trawie nawoływały się kuropatwy i przepiórki. Ziemie nieuprawne, zarosłe trawami i krzewami ciągnęły się w nieskończoność. Nigdzie na horyzoncie nie widać było ani osad, ani zabudowań ludzkich.

Serce Kaliasa ścisnęło się trwogą. Zagubiony w tej głuszy i pustce zginie tu z głodu i wyczerpania. Nigdy nie ujrzy już matki ani matka nie dowie się, co się z nim stało. Czyż będzie miał siłę przetrwać i przebrnąć tę niezmierną, niegościnną ziemię? W którą stronę należy skierować swe kroki? Bubo zaszczekał wesoło i po stromej ścieżce zbiegł do głębokiego jaru. Kalias podążył za nim. W dole jak srebrny pasek wił się mały wiosenny strumyk. Strudzony chłopiec z radością zanurzył nogi w chłodną wodę. Strumyk nie był głęboki, widać było złociste dno pełne muszelek, okruchów granitu i wapnia. Pies chleptał wodę mrużąc ślepia z zadowolenia. Kalias napił się również, a potem, zrzuciwszy tunikę, zanurzył się cały. Obmył twarz i włosy, długo i starannie płukał wszystkie zranienia i blizny. Kąpiel przywróciła rześkość jego ciała. Poczul się zdrowszy i silniejszy. Teraz z psem rozpoczęli ucztę. Resztki sera i chleba zniknęły w ich głodnych żołądkach. W pewnej chwili usłyszał dalekie skrzypienie osi i jakby tupot kopyt końskich.

Czyżby w pobliżu znajdowała się jakaś droga? Nie spiesząc się, ostrożnie wyszedł z jaru i podążył w stronę odgłosów. Nie ulegało wątpliwości – o jakieś tysiąc, a może półtora tysiąca kroków znajdowała się droga. Jechały wózki. Kalias widział woźniców prowadzących wozy wyładowane towarem, widział samotnych jeźdźców spieszenie galopujących, widział nielicznych pieszych. Czyżby Via Appia? Postanowił o

zmierzchu podejść bliżej i sprawdzić. Poinformują go o tym słupy milowe, tak liczne na drogach rzymskich.

Pod krzewami wyczekiwał dotąd, aż słońce skryło się za bezkresnym morzem traw i zamilkł turkot pojazdów. Tak, to była Via Appia, równa, gładka, wyłożona kamiennymi płytami, zwleczonymi z dalekich gór na barkach niewolników.

Kalias ucieszył się i postanowił, że nocami będzie wędrować na południe, ku dalekiemu Neapolowi, w którego okolicach pracowała matka, a w dzień będzie odpoczywać. Tak będzie bezpiecznie.

Niewiele uszedł tej nocy. Zanadto bolało całe ciało i rany po bacie subvilicusa, choć niegłębokie, ale bolesne, dawały o sobie znać uporczywym kluciem i pieczeniem. Resztę nocy spędził w przydrożnej, zmurszałej i na wpół rozwalonej kapliczce.

Następnego dnia wędrował przez pola, starając się nie zboczyć z drogi. Było to raczej poszukiwanie pożywienia niż wędrówka. Właził na drzewa upatrując gniazd ptasich; w jednym znalazł kilka jaj, a w dziupli wiewiórczej trochę orzechów. Rwał młode pędy traw i wysysał, gryzł brązowe, gorzkie żołędzie. Po południu spał kilka godzin, a gdy zmierzch zapadł, wyszedł na Via Appia. Włókł się całą noc powolnym, zmęczonym krokiem. Szarzało już, zatrzymał się, by zdecydować, po której stronie szukać schronienia. Nagle do uszu jego dobiegł tupot licznych nóg i śpiewy. Pospiesznie skierował się na prawo, gdzie rosły jakieś rozłożyste krzewy. Zaledwie przebiegł kilkadziesiąt kroków, gdy nogi ugrzęzły mu w kleistym błocie, a ziemia zaczęła uginać się pod nogami. Zauważył, że pies przeskakuje z miejsca na miejsce ostrożnie, wyszukując kęp, na których trawa była wyższa. Hałas na drodze rósł, nie było czasu się cofać. Zaczął więc również przeskakiwać z kępy na kępę, badając ich twardość kijem.

I tak Kalias, nie wiedząc o tym, znalazł się na słynnych błotach pontyjskich. Pod drzewami, do których dotarł utrudzony i zamazany błotem, było dość sucho, zgarnął zeschnięte liście i położył się. Chłodne, wilgotne powietrze przenikało przez płaszcz i tunikę. Było mu zimno. Bubo przytulał się do niego i tak, wspólnie się grzejąc, doczekali świtu.

Ptactwo błotne wcześniej rozpoczynało dzień pracy i śpiewu. Kalias głodny i zziębnięty wyruszył na poszukiwanie pożywienia. Bubo towarzyszył mu dzielnie. Wypłoszył kaczkę z gniazda. Kalias znalazł dwanaście jaj. Niestety, były już zalęgnięte. Bubo nie przebierał – pożarł kilka niewylęgniętych kaczątek. W następnych gniazdach było tak samo. Wreszcie znaleźli jakieś małe, żółte, nakrapiane jajeczka. Ptaszek na

wysokich nóżkach, długodzioby i pstry, skrzeczał przeraźliwie na intruzów. Samiczka rzucała się z piskiem niemal pod nogi.

– Trudno, przyjaciele, nie mogę umierać z głodu – mruknął Kalias i zabrał się do uczyty.

Potem opróżnił kilka gniazd rybitw i mew. Nie był już głodny. W tym królestwie dzikiego ptactwa odpoczywał kilka dni, nabierając sił i lecząc swoje rany. Szczególnie dokuczala mu jedna, na ramieniu, ropiejąca i rozpalona. Przykładał do niej młode liście olszyny i zawiązywał szmatą. Bubo wyzdrowiał całkowicie i uganiał po błotach za zdobyczą. Wracał nażarty i zadowolony. Zapadłe boki wyrównały mu się, sierść nabrała połysku. Kalias nauczył się jeść surowe mięso. Bubo przynosił upolowane kaczki i inne ptactwo; długo wahał się Kalias, nim pierwszy raz odważył się na zjedzenie surowego bekasa, ale spróbował, posolił i jakoś poszło. Zbierał różne ślimaki, wysysał słodkie pędy młodych trzciny, jadł kłącza pałek i łącznia, malutkie bulwy sitowia i kwaskowate liście szczawiu. W dalszym ciągu wyszukiwał gniazd ptasich i czuł, że wraca dawna jego tężyzna i zdrowie. Tylko silny mózg zmierzył się z życiem, które go czekało. Wiedział, że pierwsza słabość lub choroba – to klęska. Wreszcie któreś nocy zdecydował się ruszyć dalej. Mimo wszystkich korzyści, jakie dawał pobyt na gościnnych błotach pontyjskich, zanadto dokuczały zimne, wilgotne noce i komary. Każdy ciepły ranek i wieczór wywabiał je z kryjówek. Rzucały się na niego i na psa kąśliwie i żarłocznie. Walka z nimi była beznadziejna. Na miejsce jednego zabitego zjawiały się setki innych. Lichy, dziurawy płaszcz nie dawał dostatecznej osłony. Tylko ciągły ruch bronił trochę przed nimi.

Wędrownica nie obfitowała w przygody. Nocami parł uparcie, choć powoli, na południe, dzień spędzał na błotach, które ciągnęły się wzdłuż drogi. Odpoczywał na wzgórkach nagranych słońcem, które od czasu do czasu przecinały niziną monotonię bagien i błot. Kilkakrotnie widział ludzi ukrywających się tak jak on, widział dymy dalekich ognisk, ale nie miał odwagi podejść do nich. W miejscach suchszych wymijał z daleka stada krów i owiec. Za mało znał życie i obyczaje miejscowe, by odważyć się na spotkanie z ludźmi. Ale wiedział, że to nieuniknione.

Błota skończyły się. Wyminął śpiące nad morzem miasteczko i poszedł na wschód, tak jak kapryśnie wykreślała linia drogi. Tu już tereny były bardziej zamieszkane. Trud pracowitych rąk niezliczonych rzesz niewolników znać było na świeżo zaoranych polach, starannie na stokach wzgórz pielęgnowanych winnicach i gajach oliwnych. Ciche wille spały wśród drzew figowych i Dini.

Gdzieniedzie, z da!..? od will, leżały ubogie lepianki „wolnych z pól”, tego najbiedniejszego proletariatu, zatrudnianego sezonowo w wielkich majątkach ziemskich. Nędzne dzieci, nagie i brudne, grzebały w piasku. Głód wyzierał z ich smutnych, starczo pomarszczonych twarzyczek. Dzieci nie śmiały się i nie hałasowały; głębokie, czarne oczy patrzyły bez żywości i zainteresowania na obcego przechodnia, tak samo wychudzonego jak one. Tu nie można się było spodziewać otrzymania jakiegokolwiek stawy. Więc Kalias omijał te osiedla nędzy i wędrował polami, głodny i osłabiony, bo ze zdobyciem pożywienia było coraz trudniej. Czasem w przydrożnych grobowcach znajdował skromne ofiary pozostawione dla zmarłych – orkisz zmieszany z solą, chleb rozmoczony w winie. Nie pogardzał niczym – żuł suche ziarnka, zjadał ofiarny chleb, nie zawsze smaczny.

Raz trafił na resztki stypy pogrzebowej, którą Rzymianie zwykle urządzali w pobliżu grobowca. Zmarły był widać zamożnym człowiekiem, bo dużo kości, resztek mięsa i kołaczy walało się wokół pogrzebowego stosu. Kalias przyszedł pewnie wkrótce po uczcie, więc zebrał niezły plon. Najadł się i zdołał jeszcze sporo skórek władować do swego płóciennego woreczka. Odwrót skończył się szczęśliwie tylko dzięki czujności psa, który w porę sygnalizował zbliżanie się jakichś ludzi. Zaczął warczeć niespokojnie, więc Kalias wziął nogi za pas. Ktoś biegł za nim, ale wkrótce tupot nóg ustał i chłopiec zatrzymał się, aby odpocząć.

Okolica wydawała się dosyć spokojna i mało zaludniona. Jasny wieczór pozwalał widzieć daleko. W niebieskim powietrzu wyraźnie granatowiały gaje oliwne i sady, a na polach wyniosłe, samotne topole jak kolumny strzelały wysoko w górę, zdając się, niby słupy Heraklesa, podpierać strop niebieski. Daleko, o kilka stadionów odległe, wznosiły się na wzgórzu mury osady czy miasteczka. Kalias wybrał sobie na nocleg duże, rozgałęzione drzewo, bardzo stare widocznie, bo o wypróchniałym pniu, w którym znalazł wygodne pomieszczenie. Zebrał trochę gałęzi i traw, wymościł posłanie i ułożył się wraz z psem.

Z głębokiego snu wyrwało go niecierpliwe szarpanie. Bubo ciągnął go ostrożnie zębami za włosy i poszturchiwał nosem. Kalias oprzytomniał i wyjrzał. Niedaleko od drzewa płonęło ognisko i czterej mężczyźni kręcili się ustawiając kołki, na których zawiesili kawały surowego mięsa. Przyjemny zapach pieczeni podrażnił nozdrza chłopaka. Poczul dojmujący głód.

Mężczyźni byli tylko w krótkich tunikach, boso i z gołymi głowami. Dwóch miało ciemne piętna na czole. Zbiegli niewolnicy, nie ulegało najmniejszej

wątpliwości. Kalias w pierwszym odruchu chciał zejść do nich, ale rozsądek i strach przeważały. Gotowi go zabić, nim zdąży się wytłumaczyć. Któż bowiem im zaręczy, że obcy nie wyda ich Rzymianom? W ten sposób można było przecież okupić swoją wolność, a zbiegów czekała śmierć na krzyżu.

W ruchach jednego z niewolników było coś dziwnie znajomego. Był bez wątpienia młody, silny, zręczny. Kalias wpatrzył się w niego uważnie, czekając na moment, aż młodzieniec odwróci się twarzą w stronę drzewa i stanie w świetle ogniska. Niskim, dźwięcznym głosem podśpiewywał wesołą piosenkę w nieznanym języku. I głos wydał się Kaliasowi znajomy. W pewnej chwili jeden ze zbiegów rzucił na ognisko duże naręcze chrustu, buchnął dym, a potem jasny snop światła. Młody niewolnik podniósł twarz ku górze i Kalias omal nie krzyknął: to był Gannikus, tylko jakoś dziwnie zmieniony, choć rysy twarzy pozostały te same. Naraz chłopiec zorientował się, że Gannikus stracił swoje gęste, wspaniałe brwi. Kalias zdecydował się zejść z drzewa, ale w tym momencie Gannikus wziął gliniany dzban i ciągle śpiewając skierował się do gaju oliwnego.

Noc pojaśniała, szedł świt. Powiał chłodniejszy wiatr. Niewolnicy ściągnęli mięso znad ogniska i zaczęli jeść. Bubo kręcił się niespokojnie. Sierść mu się zjeżyła i zaczął warczeć odsłaniając kły. Kalias ścisnął mu pysk dłonią, bo zbiegowie rozejrzeli się wokoło, nad słuchując uważnie. Kalias wychylił się i spojrział. Serce mu zadrżało. Od północy, na horyzoncie zamajaczyły jakieś sylwetki. Na przedzie biegło kilka psów. Zrozumiał od razu – to szła obława.

– Uciekajcie, uciekajcie... Rzymianie idą!... – krzyknął z przerażeniem.

Niewolnicy zerwali się pospiesznie i chwycili sękate maczugi. Widocznie również usłyszeli odległe szczekanie, spojrzeli ku północy i pojęli snadź niebezpieczeństwo, bo pozostawiając wszystko, z pośpiechem pobiegli w stronę gaju. Kalias chciał pójść w ich ślady, wysunął się ze swej dziupli, ale zorientował się, że już nie zdąży. Nim zejdzie z drzewa, zbiegowie będą daleko, a pościg zbliżał się szybko. Wsunął się więc z powrotem do swej kryjówki. Ścigający spostrzegli uciekających, krzyknęli coś i podwoili bieg. Psy były pierwsze. Zatrzymały się przy ognisku, pochwyciły porzucone kawały mięsa i zaczęły pożerać. Ale jeźdźcy batami zmusili je do pościgu. Psy ze szczekaniem rzuciły się w stronę gaju. Jeźdźcy pogalopowali za nimi. Kalias rozejrział się uważnie wokoło. Pusto. Pogoń zniknęła w gaju. Zlął ostrożnie. Na drążku nad przygasającym ogniskiem wisiły jeszcze dwa kawały mięsa. Zdjął je i chciał uciekać, ale po namyśle wdrapał się z powrotem do dziupli. Kto wie,

którędy będzie wracała obława?

Takiej uczty nie miał od dawna. Smakowita pieczeń rozpływała się w ustach.

Pełny dzień już się uczynił, gdy Kalias zobaczył wracającą obławę. Pośród koni, uwiązani na sznurach, szli trzej mężczyźni. Jeźdźcy batami popędzali ich do szybszego biegu. Kalias wyteżył wzrok, ale nie mógł rozpoznać, czy Gannikus jest między nimi.

Następnego dnia rozpoczął dalszą wędrówkę. Przyłączył się do karawany kupieckiej zdążającej na południe. Zmyślił jakąś historię o chorym ojcu w Noli, do którego wraca z Terraciny, gdzie uczył się rzemiosła garncarskiego. Kupiec chętnie przyjął jego usługi, bo jeden z poganiaczy mułów zachorował i pomoc Kaliasa okazała się bardzo potrzebna. Jednakże po dwóch dniach, gdy kupiec zbyt natarczywie dopytywał się o różne szczegóły, podejrzewając, że Kalias jest zbiegłym niewolnikiem, uciekł. Dwudniowa służba u kupca była dla niego korzystna, bo przybliżyła go znacznie do kresu podróży. Spodziewał się, że w Neapolu znajdzie służbę u któregoś z licznych greckich kupców czy rzemieślników, dostanie jaki taki kąs, wyżywienie, i będzie miał okazję poznać okolicę. Może to będzie najłatwiejszy sposób odszukania matki.

Któregoś dnia przyszedł do miasteczka położonego nad rzeką. Nie sposób je było wyminąć, bo jedyny most na rzece znajdował się w środku miasta. W obawie przed wigilami krążył bocznymi uliczkami, wąskimi, zaniedbanymi, pełnymi nagich dzieci, kóz i kur. Kalias był strasznie głodny i z zazdrością spoglądał na Buba, który wynajdował jakieś jadalne kąski w śmietnikach, a nawet raz dostał kawałek skórki chleba od umorusanego malca. Byłby psu odebrał ten cenny dar, ale bał się, że zwróci to uwagę przechodniów. Ze studni ulicznej zaczerpnął wody, napił się i ruszył dalej. Gdybyż jak najprędzej wydostać się z tego miasteczka! Może w polu uda mu się zdobyć coś do jedzenia.

Na przedmieściu znajdował się warsztat garncarski. Kilku robotników miesiło glinę. W przewiewnych szopach schły na policach różne garnki, misy, dzbany i inne naczynia kuchenne. Młody garncarz zręcznymi rękoma nadawał glinie różnorakie kształty szybko obracając nogą koło garncarskie. Praca sprawiała mu widocznie radość, bo śpiewał przy tym wesoło, pogwizdując i wykrzykując od czasu do czasu: hej!... o hej!...

Kalias zbliżył się i przystanął. Garncarz śpiewał po grecku, akcentem ateńskim:

Jeśli zapłatę mi dacie, tak będę wam śpiewał, garncarze,

Usłysz modlitwę, Ateno, i piec nasz ochraniaj prawicą,
Daj, by się dobrze udały dzbanuszki, garnki i miski...

Kalias zawtórował:

By wypaliły się pięknie i groszy przyniosły niemało...

Garncarz podniósł głowę, nie przerywając szybkich obrotów koła, i uśmiechając się śpiewał dalej:

Tłumnie niech je na rynku kupują i tłumnie w ulicach...

Kalias kończył:

Zyski niechaj wam rosną, a ja niechaj piosnki wam śpiewam...*

[* Starogrecka pieśń garncarzy śpiewana przy pracy. (Tłum. S. Srebrny).]

Na kole rodziła się wspaniała amfora o wymyślnym, smukłym kształcie. Pieszczotliwe niemal ruchy rąk mistrza wygładzały małe nierówności i braki. Po chwili koło stanęło. Gotowe. Garncarz strzepnął resztki gliny z palców.

– Kto ty?

– Kalias. Grek.

– Pracy szukasz?

– Nie, matki.

Orzechowe oczy garncarza wpatrzyły się badawczo w twarz Kaliasa.

– A gdzie matka?

– Sprzedana do niewoli, pod Neapol.

– A ty?

Kalias spuścił głowę. Nie chciał kłamać. Grek zmarszczył czoło i chwilę jeszcze badał go uważnie wzrokiem.

– Głodnyś, co?

Podszedł do jednej z półek, wyciągnął spore zawiniątko, dzban i gliniany kubek.

Podał mu dwa kawały chleba z zimnym mięsem pachnącym czosnkiem, nalał

do kubka wina rozcieńczonego wodą.

– Jedz i uciekaj potem. Mój patron może nadejść, a jest bardzo ciekawy. Lepiej, gdy się na niego nie natkniesz... W ogóle tu w miasteczku wszyscy się znają i obcego wypatrzą od razu. I strażnicy pytają zaraz, co i jak. A ty pewnie nie chciałbyś, by się tobą zanadto interesowali. Most najlepiej przechodzić teraz, gdy wieśniacy wracają z targu. Masz na drogę parę suszonych śliwek. Niech cię Atena strzeże... Nie dziękuj, cóż byłbym za Grek, gdybym rodakowi nie pomógł. Ateny znasz?...

– Urodziłem się w Atenach... Tam jest mój ojciec, rzeźbiarz, a wujek ma warsztat garncarski...

– Może kulawy Melikles?

– Tak.

Twarz garncarza zmieniła się pod wpływem wzruszenia.

– Przecież ja uczyłem się u twego wuja... Też się urodziłem w Atenach... miasto najpiękniejsze na świecie... Czyż ja je ujrzę kiedy jeszcze?... Żona tam została i dziecko maleńkie...

Opanował się i powiedział już spokojnie:

– Za miastem, na lewo od drogi, jest duża winnica. Pracuje w niej Bukolos, Grek. Idź do niego i powołaj się na mnie, Polinika z Aten... Nakarmi cię i przenocuje... Jutro o świcie będę jechał z garnkami do Sinuessy. Zabiorę cię ze sobą. Tam mam znajomych, może cię skierują do kogoś dalej...

Kaliasowi wydało się, że uśmiechnęło się do niego szczęście. Następnego dnia dostał od życzliwego garncarza żywność na drogę i adres Greków w Kapui, którzy mieli mu ułatwić dalszą wędrówkę. Pełen otuchy, podśpiewując z cicha i dźwigając dobrze wypchany woreczek, wędrował ścieżką wzdłuż Drogi Appijskiej. I tu spotkała go niespodziewana przykrość. Gdy mijał jakieś gęste zarośla, nagle spadło na niego dwóch wychudzonych jak szkielety mężczyzn, przewrócili go, wyrwali woreczek i jak duchy zniknęli. Kalias omal nie płakał. Wstał, otrzepał się z piasku, zarzucił na plecy płaszcz i sandały, których dziwnym trafem rabusie nie zauważyli, i ruszył dalej. Bubo, smutny, z poczuciem winy, powłókł się za jego nogą. Wędrowali niestrudzenie. Kalias wierzył, że pomyślność dalszej podróży zależy od szybkiego dostania się do Kapui. Głód mu już dokuczał. Od rana, gdy zjadł śniadanie z życzliwym Grekiem, nie miał nic w ustach. Słońce prażyło. Żal za straconym woreczkiem, zmęczenie, przykre ściskanie w żołądku i pragnienie dręczyło strudzonego wędrowca. Wreszcie, wyczerpany do ostatka, położył się pod cienistym platanem. Bubo położył się obok niego i usnął, ale

gdy popołudniowy upał zelżał, zerwał się i począł myszkować po okolicy. Długo nie wracał i Kalias już zdecydował się pójść dalej bez niego, gdy pies przybiegł. Poszczekując zaprowadził Kaliasa do źródła. Chłopiec ugasił dręczące pragnienie i znowu ruszył w drogę.

Następny dzień nie przyniósł im żadnej szczęśliwej odmiany. Spotkali jedynie chłodne, o przezroczystej wodzie źródło. Bubo upolował sobie polną mysz, ale Kalias nie mógł zasycić głodu zrywaniem trawami i wodą. Dawno już minęło południe, a Kapui nie było widać. Czy dotrze do niej przed nocą? Głód dokuczał mu coraz bardziej, chwilami kręciło mu się w głowie i bał się, że upadnie. Zdecydował się wyjść na drogę. Trudno. Nie ma już sił przekradać się ścieżkami. Uszedł może kilkadziesiąt kroków, gdy nagle nad rowem zobaczył pod rozłożystą pinią siedzących ludzi. Zbliżył się ostrożnie. Była to zapewne rodzina chłopska. Matka trzymając w płachcie niemowlę karmiła je piersią. Obok przykucnęła dziewczynka z czarnymi, prostymi włosami splecionymi ciasno wąską, czerwoną tasiemką. Młodszy od niej, może ośmioletni chłopczyk zrywał białe od kurzu chwasty, karmił kozę i osiołka objuczonego bagażem. Ciemnowłosa, zgarbiony chłop o pomarszczonej twarzy oparł brodę na sękatym kiju i patrzył uporczywie ku wschodniej stronie, gdzie przy ozłoconej refleksami zachodzącego słońca chałupie – odległej może o dwa stadiony – kręciło się kilku ludzi. Chłop patrzył, broda mu drgała i pionowa zmarszczka między brwiami pogłębiała się coraz bardziej. Obok niego leżały niewielkie tłumoczki w szarych płachtach.

Dziecko przy piersi snadź usnęło, bo kobieta ostrożnie złożyła je na trawie, przysłoniła pierś tuniką i sięgnęła po jeden z węzełków. Wyjęła dwa placki jęczmienne i kilka garści solonych oliwek. Dzieci podbiegły do niej. Kobieta rozłamała placek na cztery części i, dodawszy do każdego kawałka po pięć oliwek, wetknęła im w ręce. Dla chłopca przypadła większa porcja, ale on w milczeniu potrząsnął przecząco głową i dalej patrzył w stronę chaty. Zaczęli jeść. Bubo wysunął się naprzód, stanął przed dziećmi i natarczywie śledził każdy ruch rąk podnoszących ku ustom kawałki placka i oliwki. Kalias, nie zdając sobie sprawy z tego, posunął się również bliżej ku jedzącym i tak samo natarczywie zaczął obserwować. Czuł dotkliwe ściskanie w żołądku, a na spieczony język napłynęła ślina.

Chłopczyk ułamał spory kęs ze swej porcji i rzucił psu. Kalias pochylił się gwałtownie, jakby chciał mu wyrwać ten kęs, więc Bubo przezornie uskoczył w bok i w bezpiecznej odległości pograżył się w rozkoszy jedzenia. Kobieta podniosła oczy na

przybysza, potem spojrzała pytająco na męża. Chłop, nie odrywając oczu od interesującego go widoku, wyciągnął rękę w stronę Kaliasa, a potem wskazał na placek i oliwki.

Kobieta widocznie zrozumiała ten gest, bo podała Kaliasowi porcję męża. Chłopcu rozbłysły oczy. Schylił głowę w głębokiej podzięce i zanurzył ostre zęby w twarde, ale jakże błogą sytością pachnący placek. Byłby chętnie jak Bubo skrył się ze swym skarbem w gęste zarośla, by rozkoszować się samotności radosną pracą szczęk i chciwym wchłanianiem jadła przez pusty żołądek – ale uciekać nie wypadało. Usiadł więc obok i jadł. Gdy już skończył, do ostatniej kruszyny zbierając nawet te, które upadły na trawę, zapytał uprzejmie:

– Może przynieść wody, tam obok gaju figowego jest krynica. Dobra woda...

Kobieta wyciągnęła z tłumoczka gliniany dzbanek i podała. Mimo że obolałe i pościerane nogi piekły boleśnie, pobiegł żwawo po wodę. Zdało mu się, że po tym skromnym posiłku odzyskał dawne siły i zmęczenie odeszło.

Gdy wrócił, kobieta rozlała wodę w gliniane kubki i podała wszystkim. Chłop wypił również. Otrząsnął się i jakby ta woda przywróciła mu zdolność wydobywania głosu, ozwał się ponuro, wskazując ręką w stronę chaty:

– Patrz, co już pozostało z mojej ojcowizny, gdzie mój dziad i pradziad gospodarzyli... Z domu, któremu od wieków błogosławiły rodzinne lary, strzegąc świętego ogniska...

Kalias spojrzał i oniemiał. Ściany niedawno jeszcze stojącej chałupy były rozwalone, deski i bale ludzie układali na stos.

– Na Heraklesa, co oni robią? – wyszeptał zdumiony.

– Pan okolicznych włości, dostojny Publiusz Waryniusz, wypędził mnie dzisiaj, bom mu w przepisany czas nie oddał pożyczonych pięciu miar pszenicy... Już wczesną wiosną kazał niewolnikom zaorać kamień graniczny, zniszczył ten znak świętego Termina, nie bał się świętokradztwa. Prosiłem, błagałem, na Jowisza błagałem, który jest sędzią takich bezpraw. Ale czy bogaty boi się czego? Biedny już byłby sacer*[* Sacer – poświęcony] Jowiszowi, jego uprząż byłaby sprzedana dla skarbu świątyni, a on sam złożyłby głowę w ofierze. Ale bogaty... Dla bogatych nie ma, chłopcze, praw ani boskich, ani ludzkich... Oni tworzą prawa dla siebie... a bogowie są z nimi, bo oni bogom dają wspanialsze ofiary... Com ja nie robił, by tę ziemię rodzinną utrzymać w swojej garści... Przeszły wojny, zniszczyły wszystko, od nowa trzeba było zaczynać. Żonę i dwóch starszych synów zaprzęgam do pługów... Na własnych barkach

nosiliśmy wodę z rzeki w czas posuchy... Ale przyszedł głód... trzeba było od pana pożyczać... Dawał, chętnie dawał – a potem dwóch synów zabrał, zaprzedał w niewolę... W daleki, obcy świat, na poniewierkę... Myślałem: tę ofiarę krwawą przyjmą bogowie i może przeważą szalę losu... Ot i odwrócili... Do Rzymu idziemy na tani chleb i igrzyska... Panem et circenses dla nędzarzy wygnanych z ojczystych chat...

Chłop mówił monotannie, na wpół do siebie, patrząc ciągle tam, gdzie niedawno jeszcze białą malowanych desek jaśniała jego chata. Widocznie nagromadzony w sercu ból szukał ujścia i chłop wylewał go przed słuchaczami tak, jak wezbrana wiosenną powodzią rzeka wylewa swoje wody.

Po chwili podniósł się i, wskazując na miedziane chmury galopujące od zachodu, powiedział:

– Gniew Jowisza pędzi burzę... z piorunami idzie... Tu niedaleko jest stara, zaniedbana kaplica Larów Compitales, nie ma już właścicieli tych gruntów, którzy tę kaplicę wystawili. Tam się schronimy przed deszczem. Chodź z nami... A może pójdziesz z nami do Rzymu?

Kalias zawahał się. Może i warto spędzić tę noc z dobrymi ludźmi, a jutro ruszyć dalej? Nadzieja otrzymania rannego posiłku jest taka nęcąca... Ale nie, nie będzie się cofać z drogi, która go wiedzie do matki. Będą go namawiać na powrót do Rzymu, a on przecie nie może tym dobrym ludziom powiedzieć wszystkiego o sobie. Skłonił się więc i podziękował za dobroć.

Bubo bawił się z chłopczykiem i widząc, że Kalias odchodzi, zaszczekał żałośnie. Kalias cmoknął. Pies niezbyt zdecydowanie ruszył za nim. Chłopczyk zaczął głośno płakać. Pies zawrócił do niego.

– Twój pies? – zapytał chłop.

– Tak.

– Może go sprzedasz?

– Weźcie go sobie, mnie on niepotrzebny – odparł Kalias z ciężkim sercem. Bolało go, że Bubo tak od razu, za kromkę chleba zdradził go. Zresztą, co prawda, coraz większy z nim kłopot. Chłop wyciągnął z kieszeni rzemień, uwiązał psa. Kobieta podała Kaliasowi placek.

– Weź, przyda ci się. Widać daleko wędrujesz.

Bubo zaskamlał, ale Kalias nie oglądając się ruszył dalej, przezornie szerokim półkolem omijając pracujących przy rozbiórce chaty.

Ciemnomiedziane chmury zasłoniły słońce, mimo to na polach było jeszcze

dużo światła. Wydawały się jaśniejsze niż niebo. Kalias przyspieszył kroku. Jakiś cień wbił mu się w piętę, która zaczęła boleśnie krwawić. Usiadł więc na kamieniu przydrożnym i zajął się przykrym zabiegiem oczyszczenia ranki. Zrazu nie mógł uchwycić ciernia, ale gdy ścisnął piętę i podważył paznokciem wystający kawałek, uchwycił i pociągnął. Trysnęła obficie krew i poczuł ulgę. Wtem usłyszał czyjś śmiech. Podniósł zdumione oczy. Przed nim stał młody patrycjusz w krótkiej tunice chłopięcej, obramowanej purpurowym brzegiem. Kaliasowi wszystka krew zbiegła do nóg. Zdało mu się, że przyrósł do kamienia. Przecie to Marek, bratanek Waryniusza! Prawda, chłop mówił, że to majątek Publiusza Waryniusza, a więc ojca Marka! Że też sobie od razu tego nie uprzytomnił! Zdumienie i przerażenie Kaliasa zdziwiło Marka. I zaraz przypomniał sobie. Twarz nabiegła mu krwią, chciał skoczyć ku chłopcu, ale zawahał się i krzyknął:

– Ty psie, ty zbiegu, już ja cię nauczę!

Kalias poczuł, że nogi sprężyły mu się do skoku jak u spłoszonej sarny. Poderwał się nagłym ruchem, chwytając z ziemi sandały, płaszcz i chleb. Jednym susem odbił się od niebezpiecznej bliskości Marka. Panicz podniósł do ust trzymaną w ręku trąbkę i zatrąbił.

Kalias pędził drogą przed siebie, wiedząc, że ocalenie zależy od szybkości jego nóg. Wiatr świstał mu w uszach. Prędeej, prędeej!... Nagrodą biegu będzie nie laur olimpijski, lecz życie. Czy skręcić do tych krzewów na lewo? Jakiś gaj czy ogród, tam łatwiej będzie się skryć. A tam dalej widać domy, to już pewnie Kapua. Droga prowadzi prosto do miasta, trzeba skręcić w pole. Pod stopami miał nierówny, twardy ugór zarosły usychającą trawą, ostami i krzewami. Stopy bolały, sandały i płaszcz stały się niezmiernie ciężkie. Nagle tuż za plecami usłyszał sapanie. Obejrzał się. Za nim gnał olbrzymi pies kudłaty i straszny, podobny do wilka. Nie mierząc Kalias cisnął w niego sandałami. Usłyszał, że pies zatrzymał się, parsknął wachając je, a potem chwycił w zęby i zawrócił do swego pana. Kalias zdwoił wysiłki. Czuł, że słabnie, że serce mu bije tak, jakby miało pęknąć za chwilę, a tętnice rozsadzają skronie.

Znowu wyczuł za sobą bieg psa, rzucił więc placek owinięty w płaszcz. Pies ponownie chwycił zdobycz i pobiegł do swego pana. Język Kaliasa zeszywniał, ogromne pragnienie paliło gardło, każdy oddech kłuł w płucach tysiącami igiełek. Po chwili usłyszał tupot końskich kopyt i krzyk goniących ludzi. Zdyszany oddech psa owiał mu nogi.

I naraz Kalias spostrzegł pod swymi stopami przepaść. Równe pole kończyło

się niespodziewanie jak ucięte nożem, a w głębi kilkadziesiąt stóp poniżej, płynęła bystra rzeczka czy potok. Zbocze przepaści porośnięte było dzikimi różami i głógiem. Ostry, szarpiący ból w łydce podciął go jak uderzenie siekiery. Rozkrzyżował ręce i padł głową naprzód. Pies wychylił się ostrożnie i spojrział. Spojrzeli także nadbiegający ludzie. Kalias niby piłka staczał się po urwistym zboczu, chwytając dłońmi kolczaste gałęzie. Lecz te rwały się pod jego ciężarem. Po chwili ciało chłopca dosięgło wody. Stojący na górze usłyszeli plusk. Woda rozwarła się i zamknęła swą zdobycz.

Widowisko skończone. Marek roześmiał się głośno. Odpowiedział mu grzmot potężny, podobny do osunięcia się skały. Zawył wiatr, w powietrzu zawirowały liście i trawy. Miedzianobure zwały chmur, niby stado rozbieganych koni, pędziły po stropie niebios. Kilka dużych kropli deszczu spadło na ziemię. Ściemniło się prawie zupełnie.

Rozpętała się burza.

W SZKOLE GLADIATORÓW

Wczesnym rankiem, gdy jeszcze różane palce Jutrzenki mocowały się z otwieraniem podwoi niebios dla władcy słońca, boskiego Apollina, dwaj mężczyźni wyszli z dużego, dwupiętrowego domu. Uzbrojeni strażnicy, stojący przy masywnych, okutych drzwiach, przepuścili ich w milczeniu.

Dom stał na ogromnym, prostokątnym placu, ogrodzonym żywopłotem wysokim i gęstym. Tuż za nim widniała szeroka i głęboka fosa, w której po niedawnej ulewie bulgotała woda.

Mężczyźni szli wolno po ścieżce zasypanej połamanymi gałęziami, zbrukanymi płatkami kwiatów i strąconymi przez burzę młodymi pędami drzew. Żwir, którym kiedyś starannie wysypano ścieżkę, spłynął na boki, odsłaniając gliniaste podłoże, upstrzone jak rdzawe sukno niebieskimi plamami płytkich kałuż wody. Orzeźwiający i wonne powietrze nasycano się błękitem bezchmurnego nieba, czystego jak drogocenny kryształ.

– Więc sądzisz, Spartaku, że najlepszym momentem do powstania będzie dzień zaprzysiężenia, przed rozpoczęciem Ludi Florales? – odezwał się starszy z idących, siwy, o wspaniałej mlecznobiałej brodzie i łagodnych szarych oczach. Był średniego wzrostu, odziany w śnieżnobiałą tunikę, na którą miał zarzucony szeroki, fałdzisty płaszcz.

– Tak. Na Ludi Florales przeznaczeni są wszyscy moi chłopcy. Ma to być ich pierwszy występ publiczny, a dla większości – ostatni... Nie mogę do tego dopuścić... Przecież wiesz, że nowicjusze dają największą ofiarę krwi na arenach. – Twarz mówiącego o prostych, jakby z granitu wykutych rysach zasępiła się, a potężna pięść siłacza, zdolna jednym uderzeniem zabić wołu, zacisnęła się kurczowo, aż zwinęła się jak wąż krótką metalową laseczką, którą trzymał.

– Wiem, wiem – przytaknął stary z westchnieniem – rozdziawiona paszcza Saturna na arenie w czasie każdego igrzysk pełna jest młodej krwi... Moja sztuka lekarska staje się wtedy bezużyteczna, bo rzadko podnoszą się kciuki łap rzymskich na znak łaski...

Spartakus przystanął. Twarz stężała mu w gniewie, na czole pojawiły się grube żyły. – Nie mogę, nie mogę, Sotionie, spokojnie mówić o tym barbarzyństwie... Już kilka lat mija, odkąd zamknęli mnie w tej rzeźni, a nie zdołałem się przyzwyczaić... Pomyśleć, że rokrocznie lanista wypędza stąd kilkuset młodych, najzdrowszych i

najsilniejszych chłopców na rzeź, dla zabawy zwyrodniałych patrycjuszy i otumanionego przez nich, zdziczałego pospólstwa miast.

– Gdzie zwyrodniały jest system rządzenia, tam zwyrodniały są obyczaje i zabawy. Od głowy ryba psuć się zaczyna – odpowiedział Sotion.

– Mamy kilkadziesiąt mieczy – spokojnie już mówił Spartakus. – Spodziewam się, że przed samymi igrzyskami Batiatus sprowadzi tu więcej mieczów, tarcz i sztyletów... O, lanista dobrze wie, jak najkorzystniej sprzedać czy wynająć swoich gladiatorów. Uzbrojeni, w nowym błyszczącym rynsztunku – czyż nie można wtedy wyciągnąć podwójnej ceny? A znasz moje przywiązanie do tych chłopców... Tyle miesięcy nauk, wspólnych ćwiczeń i gier, te godziny kradzione odpoczynkowi dla kształcenia umysłów i charakterów... Z pacholąt rozwinęli się chłopcy i mężczyźni... jedna pięćdziesięcioosobowa rodzina... Tak się ostatnio szczęśliwie złożyło, że dostałem do uczenia moich ziomków, Traków, dzielne górskie orły... Może i to ułatwiło nam życie się i tak nas związało, jak braci...

– Nie tylko to, Spartaku, nie tylko to. Nad związki krwi mocniejszy jest związek przekonań, związek idei... Dałeś im wielkie hasło, dla którego żyć i umierać warto: wolność... Dałeś im wielką ideę, której urzeczywistnienie zmieni bieg dziejów, która przebuduje świat... Civitas solis – państwo słońca, państwo równości i braterstwa, wolności i sprawiedliwości, bez bata i przemocy.

Głos starego drżał wzruszeniem.

– To nie moja idea, Sotionie. Już przede mną wielu złożyło ofiarę z życia na jej ołtarzu... Ot, choćby król Agis z Grecji... najszlachetniejszy z szlachetnych.

– Tak, myśl wielka jest zawsze żywa... Walkę o równość, o wolność podejmują synowie po ojcach, a potem wnuki i prawnuki... Lecz z każdym pokoleniem idea rozwija się i rośnie na żyznym podłożu z krwi bojowników...

Rozmawiający wolno zbliżali się do szopy z sianem, za którą nie opodal widać było zabudowania stajenne.

Nagle starzec zatrzymał się, i klasnąwszy w dłonie, zawołał zdumiony:

– Patrz, Spartaku, głowa chłopca wśród siana!

Mężczyźni przystanęli. Śpiący wyczuł widocznie ich obecność, bo poruszył się niespokojnie i usiadł przecierając pięściami zaspane oczy.

Na bogi, czyż to dalszy ciąg snu? Tylko że to nie pracownia ojcowska, w której jeszcze przed chwilą oglądał wspaniałą posąg Heraklesa, dotykając wraz z matką marmurowych, zimnych nóg herosa. Czyżby posąg ożył? Stał przed nim potężny, nagi,

z wąską opaską wokół bioder, o szerokich ramionach i jak okrętowe liny prężących się mięśniach, uśmiechnięty. Złocistoróżowe blaski wschodu drżały na jego skórze ciemnej, lśniącej niby świeżo polerowany brąz. A ten obok, czyżby to był centaur Chiro, wychowawca i nauczyciel Heraklesa? Ta sama dostojna siwa broda spadająca do kolan, te same rozumne, łagodne oczy. Tylko kształty człowiecze, ale czy bogom trudno zmieniać postać?

Chłopiec ukląkł niespodziewanie i, składając ręce na piersi, wyrecytował spiesznie jak werset z Iliady:

– Bądź pozdrowiony, Piękny Zwycięzco, nieustraszony Heraklesie!

Głośno roześmiał się heros ukazując rząd zdrowych jak u wilka, równych, błyszczących zębów. Starzec chwycił go za przeguby ręki i powiedział ze wzruszeniem:

– Na Zeusa! Apollo przemawia przez usta tego pacholęcia!

Heros trochę niecierpliwie usunął dłoń starego i najpiękniejszym z języków świata, językiem rodzinnych Aten i bogów Olimpu, zapytał:

– Kto jesteś, chłopcze?

Wzruszony dźwiękiem ojczystych słów, odpowiedział drżącym głosem:

– Kalias, syn Filomena, rzeźbiarza z Aten.

– Dlaczego, chłopcze, uważasz mnie za Heraklesa?

– Bo, panie – zaczął pospiesznie, jękając się – śniło mi się, że oglądałem z matką posąg twój, to jest... chciałem powiedzieć... Heraklesa, który niedawno rzeźbił mój ojciec, a ocknąwszy się zobaczyłem ciebie... wspanialszego niż ten posąg... a wczoraj w czasie burzy bałem się strasznie i błagałem Heraklesa, by pomógł mi... i tyś się zjawił, i...

Umilkł, zawstydzony. Spartakus z niezmierną litością patrzył na wychudzoną twarz chłopca, na sterzące spod skóry żebra, liczne różowe ślady zagojonych niedawno ran, zadrapania i sińce.

– Któż cię tak podrapał, że wyglądasz, jakby cię czesano drucianym grzebieniem? – zapytał starzec.

– Gonił mnie Marek, bratanek mego pana, Waryniusza, i wpadłem do jaru, tu gdzie płynie rzeczka... ja uciekłem... – dokończył szeptem – bicia nie mogłem znieść...

Nie mógł sam zrozumieć, skąd wzięła się ta ufność do obcych, pierwszy raz spotkanych ludzi. Szczerze, nic nie tając, odpowiadał na zadawane pytania. Opowiedział o porwaniu przez piratów, o ucieczce ze służby, o tułaczce, o strasznych, wczorajszych przeżyciach i gorącym pragnieniu odszukania matki.

– Matkę chcesz odnaleźć, chłopcze, i zwrócić ojczystym Atenom? – powiedział łagodnie, stłumionym głosem Spartakus. – Tak, każdy z nas miał matkę, od której go oderwano przemocą... Dobrą, kochającą matkę... Wywieziono ją pod Neapol? I nie wiesz, jak się teraz matka twoja nazywa?... I jak się nazywa jej pan?...

– Mówiono mi, że kupił ją najbogatszy człowiek w Rzymie...

Na czole Spartakusa pojawiła się poprzeczna zmarszczka. Usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu.

– Tak, to zapewne Secator – powiedział po namyśle. – Siekacz, jak go pospolicie nazywają, skupujący majątki skazanych na śmierć czy wygnanie. Na konfiskatach utuczył się Marek Licyniusz Krassus, znakomity pan... Zapamiętaj sobie, chłopcze, to nazwisko – Krassus Secator. On skupia w sobie wszystkie zbrodnie zdobywców świata: chciwość, okrucieństwo, pogardę dla innych ludów, pychę i zuchwalstwo... Żadna zbrodnia nie jest mu obca... Nie martw się, pomożemy ci wydostać matkę z jego łap... Uwolnimy ją z pewnością... Na razie zostaniesz tu, w szkole gladiatorów, pod moją opieką... Chodź...

Kalias wygrzebał się z siana. Ale rozdarta psimi kłami łydka zaboląła straszliwie, tryskając świeżą krwią. Chłopiec zbladł i opadł bezsilnie.

Spartakus wydostał go delikatnie i ostrożnie jak matka niemowlę z koszyka i przytulił do swej potężnej piersi. Kalias zawstydział się swojej słabości.

– Ja sam, pójdę sam, panie... – wyszeptał z trudem.

Tymczasem przy drzwiach budynku ukazali się dwaj młodzieńcy. Strażnicy zagroździ im drogę długimi mieczami. Jeden z młodzieńców, smukły, jasnowłosy, o białej skórze człowieka Północy, wskazał ręką na grupę stojących przy szopie, tłumacząc coś. Strażnicy opuścili miecze pozwalając im przejść. Drugi z idących był to Murzyn o atletycznej budowie ciała. Obaj spiesznym krokiem zbliżali się ku szopie.

– Polluks i Kastor biegną ku nam, zapewne musiało się coś stać i szukają ciebie, Spartakusie – powiedział Sotion.

– No cóż, Polluksie, jakie nowiny? – zwrócił się Spartakus ku jasnowłosemu.

– Carissime doctor, na oddziale sieciarzy, u mistrza Celtów, Kriksosa, bunt. Zatrulo się wczorajszą zepsutą baraniną pięciu gladiatorów, reszta oddziału pobila dostawcę i kucharza...

– Zanieście chłopca – Spartakus wskazał Kaliasa – na nasz oddział. Od dziś będzie adeptem w naszej szkole. A ty, Sotionie, opatrz jego rany i nakarm go.

To powiedziawszy, spiesznie skierował się ku lewemu skrzydłu gmachu, gdzie

znajdowały się drugie drzwi. Dolatywały stamtąd krzyki i przekleństwa.

Kastor i Polluks splekli dłonie w „siodełko” i jasnowłosy, szczerząc w uśmiechu wszystkie zęby, zawołał wesoło:

– Siadaj, junior, i chwyć nas za szyję!

Kalias usłuchał bez sprzeciwu. Podobali mu się ci dwaj, tylko trochę dziwne mu się wydawało, dlaczego im nadano imiona boskich Dioskurów. Czarny i jasnowłosy – to bliźniacy Kastor i Polluks?

Strażnik zatrzymał ich.

– Kto to? – zapytał wskazując na Kaliasa.

– Syn Spartaka – odparł szybko Polluks mrugnawszy w stronę chłopca. – Uciekł piratom, którzy go pojмали.

Strażnik roześmiał się złośliwie.

– Od przybytku głowa nie boli. Idźcie. Będzie pomocnik do szorowania garnków. Szeroko tu wrota otwarte dla wchodzących...

Minęli drzwi wejściowe, dużą salę i znaleźli się na obszernym, wewnętrznym, prostokątnym dziedzińcu przeznaczonym snadź do ćwiczeń, bo w jednym rogu grupa kilkunastu młodzieńców uprawiała poranną gimnastykę.

Kaliasa posadzono na kamiennym stole pośrodku podwórca obok fontanny ocienionej płaczącymi wierzbami. Rozejrzał się wokoło. Zaciekawiał go gruby słup wkopany niedaleko fontanny, z licznymi śladami uderzeń i głębokimi nacięciami. Był to, jak mu wyjaśnił Polluks, słup do ćwiczeń, gdzie młodszy gladiatorzy ćwiczyli szybkość i siłę uderzeń miecza. Budynek od strony dziedzińca wyglądał ładniej niż od zewnątrz. Z czterech stron otoczony był portykiem podtrzymywanym przez kolumny pomalowane na czerwono. Dwie kolumny środkowe po obu dłuższych stronach gmachu były niebieskie, węższe strony portyku miały po jednej kolumnie również niebieskiej. Dach portyku tworzył szeroki taras na pierwszym piętrze.

Sotion nadszedł z lekami i bandażami.

– No, Kaliasie, licz kolumny, tylko uważnie, zapomnisz, że boli.

Płyn, którym Sotion przemywał ranę, piekł jakby ktoś sypał sól. Kalias zagryzł wargi i zacisnął pięści. Kolumny mu się myliły. Uciekały sprzed oczu albo zlewały się w jednolitą ścianę.

– A więc, Kaliasie, ile?

– Dwadzieścia z szerszej strony...

– Źle.

Jakże piecze ta rana. Czyż można liczyć uważnie, gdy tak boli? Jedna, dwie, trzy, zagina do bólu palce, aż trzeszczą w stawach.

– Ile, Kaliasie?

– Dwadzieścia dwie od węgla do węgla i siedemnaście z węższej strony, też od węgla do węgla...

– Brawo! Ile razem?

– Siedemdziesiąt cztery – wyrzucił z gardła ze złością.

– Kaliasie, gladiator uczy się panować nad sobą i lekceważyć ból... Bądź mężny, Kaliasie... – głos Sotiona brzmiał wyrzutem.

Chłopiec zawstydził się. Pielęgnują go, a on odpłaca gniewem i niecierpliwością. Na szczęście opatrunek skończony. Noga spowita jak kukła wydaje się obca i niepotrzebna. Kastor i Polluks niosą go na pierwsze piętro do maleńkiej sypialni o kilku wąskich, żołnierskich łózkach. Pokoik nie ma okien, wystarcza snop światła idący od drzwi.

– Pośpisz na razie u mnie – powiedział Polluks – a do wieczora wystaramy się dla ciebie o jakieś łóżko czy siennik.

Nakarmiony i po raz pierwszy od wielu tygodni wolny od trosk o najbliższe jutro – Kalias zasnął. Młody organizm wyczerpany niedolą tułaczki łaknął odpoczynku i snu.

W przyjaznej atmosferze opieki i życzliwości gladiatorów Kalias prędko wracał do zdrowia. Przez kilka pierwszych dni nie opuszczał łóżka. Sotion nie pozwolił.

– Spokój jest lepszym lekarzem niż ja – tłumaczył cierpliwie, gdy Kalias chciał wstawać. – Spokój i czas leczą cię, a ja tylko kontroluję przebieg choroby i bronię od powikłań. Dlatego nie wolno ci podnosić się bez mego pozwolenia.

Kastor i Polluks okazywali mu dużo serca. Godziny wolne od zajęć i służby spędzali przy nim. Wesoły Polluks błaznował, a Murzyn łypał tylko swymi ognistymi oczyma i śmiał się czasem z udanego żartu serdecznie i zaraźliwie. Prawie nigdy nie zabierał głosu, a gdy już odezwał się, to jakimś jednym słówkiem czy nawet sylabą. Mruknięcie i pochrząkiwanie zastępowało mu cały słownik. Polluks rozumiał go i paplał za to za dwóch. Jak ci dwaj mogli tak się zaprzyjaźnić? Kalias zagadnął najpierw Polluksa, ale ten machnął ręką i roześmiał się – ot, nie ma o czym mówić. Akurat w tym wypadku stracił całą elokwencję. Kastor jeszcze mniej był podatny do zwierzeń. Kalias dowiedział się tylko, że przyjaciele mieli niewolnicze imiona: Zopir i Dekoratus, ale przekorni koledzy nazwali ich bliźniakami „Dioskurami” i tak już

pozostało. Tamtych imion nikt nie pamiętał.

Kalias żywo interesował się ćwiczeniami gladiatorów. Odbywały się one na wewnętrznym dziedzińcu, a w czasie deszczu w wielkiej sali wewnątrz gmachu. Gimnastyka, podnoszenie ciężarów, gra w piłkę i fechtunek, to były podstawowe zajęcia. Siła i zręczność – oto co decydowało o szczęściu i o życiu. Wszystkie prace zmierzały do tego, by wyrobić gibkie, elastyczne ciało, odporne zarówno na ból, jak i zmęczenie. Do fechtunku używano krótkiej, tępej szpady, niejednokrotnie nawet drewnianej lub drewnianych mieczy. Do walk pięściarskich, ulubionych przez młodszych gladiatorów, używano skórzanych rękawic lub, na wzór grecki, owijano rzemieniami z niewyprawionej skóry palce i dłonie obu rąk. Przydział broni zależał od stopnia wyszkolenia gladiatora i jego rangi. Starsi, mistrze, jako oznakę swej godności posiadali oprócz metalowej laseczki małe prostokątne tabliczki z kości słoniowej zawieszane na szyi na sznurku lub niekiedy nawet na cienkich, srebrnych łańcuszkach. Tabliczka była opatrzona imieniem gladiatora i jego pana oraz datą pierwszego wystąpienia na arenie.

W szkole panował ostry rygor wojskowy. Karność, bezwzględne posłuszeństwo, ściśle wymierzany czas pracy, odpoczynku i posiłków – to były podstawy, na których opierał się system wychowawczy. Chłosta, ciemnica, głodówka – oto najczęstsze kary, jakimi posługiwano się względem winowajców. Namoczone różgi i rzemienie nie miały dni świątecznych, wolnych od pracy. Kat, potężny, o głowie i ramionach tura, kudłaty, dziki Celt, nie próżnował. Zlecone sobie obowiązki wykonywał gorliwie i sumiennie... Bito zresztą nie tylko za karę, bito, aby przyzwycząić do bólu, uodpornić organizm, wychować w pogardzie dla życia. Do tego celu służył jeszcze jeden środek, stosowany nieczęsto, ale z prawdziwą sztuką. Tortury. Straszliwa deska z pierścieniami i sztabą żelazną, w której zakuwano winnych, zwana przez gladiatorów Batiatusa „Letiferem”*. [* Letifer – śmiertelny, śmierć przynoszący]

Zastosowano „Letifer” względem winnych po awanturze o zepsutą baraninę; Lentulus Batiatus kazał zakuć pięciu gladiatorów, ale po dwóch godzinach – rzecz niebywała – zwolnił. Uląkł się groźnej postawy całej szkoły. Nie warto stawiać sprawy na ostrzu noża, gdy już tak blisko do igrzysk.

Ordynarne, prostackie jadło, przygotowane byle jak, nie dla przyjemności podniebienia, lecz dla zapchania żołądków, też nie mogło rozwijać chęci do życia. Kapusta, fasola, bób, kasza, jęczmienne placki, czasem baranina – to były codzienne, zawsze jednakowo niedbale przyrządzane posiłki. Cóż więcej potrzeba człowiekowi,

któremu pozostawała w życiu do odbycia tylko jedna droga – ze szkoły na arenę, a stamtąd przeważnie w śmierć. Wolność gladiator zdobywał rzadko, nim wysłużył wyzwolenie, zdobywał wolność wieczystą – na cmentarzu gladiatorów.

Jakie siano ziarno, taki wschodził plon. Gladiatorzy słynęli z niezwyklej odwagi, brutalnej siły i dzikości. Ludzie, którzy nie bali się śmierci. Więcej, ludzie, którzy lekceważyli śmierć, a nawet jej pragnęli. Zamknięci w strzeżonych pilnie klatkach, wolni synowie Północy lub przedstawiciele kulturalnych plemion greckich i małoazjatyckich jedną tylko widzieli drogę wolności – śmierć. Nie każdy gladiator zgadzał się na hańbiącą śmierć na arenie. Długo opowiadano sobie szeptem o germańskim wojowniku Zygfyrdzie, który wieziony do cyrku zarzucił rzemienią pętlę na swoją szyję, a drugi koniec przywiązał do koła wózka. Pamiętano też grupę kilku młodzieńców greckich, którzy podusili się wzajemnie w przeddzień igrzysk.

Jak woły składane na ofiarę bogom, tak oni przeznaczeni byli do rozrywki tłumów żądnych krwi i mord. Woły jednak nie myślą i nie wiedzą, co je czeka. W gladiatorach nie potrafiono, mimo całej sztuki, zabić wszystkich uczuć ludzkich. Usiłowano więc skierować je w odpowiednie łożysko. Rozbudzano w nich żądzę błyszczenia na arenie i sławy niezwycięzonych, nienawiść do współzawodników. Były to nie tylko rzeźnie, jak nazywano te niezwykle szkoły, były to kaźnie, gdzie otumaniano głowy, deprawowano dusze i zabijano człowieczeństwo. Tak było, z małymi różnicami, prawie we wszystkich szkołach. Tak było też u Lentulusa Batiatusa. Tak było we wszystkich oddziałach – z wyjątkiem oddziału Spartakusa.

Uczniowie Spartakusa byli to przeważnie młodzi ludzie – od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Jak w ogniu z rudy wytapia się żelazo, tak pod twardą i mądrą ręką mistrza z prostych, dobroduszych, na wpół dzikich górali i pasterzy wychowywali się nieustraszeni, dzielni, o prawych sercach młodzieńcy. Swoją ideal wzorowany na mistrzach greckich – szlachetność ducha i zdrowe, silne ciało – Spartakus wcielał w czyn. Forsowne ćwiczenia i codzienny fechtunek nie mogły przeszkodzić w pracy nad doskonaleniem umysłu. Nowicjusze zrazu niechętnie, w miarę zaś przebywania pod opieką Spartakusa coraz gorliwiej wciągali się do nauki. Na własnoręcznie spreparowanych tabliczkach pociągniętych woskiem mozolnie dłubali rylcem pierwsze znaki i litery. Chciwymi uszami chłonęli wiadomości o Homerze, Likurgu, Agisie, o prawodawcach i bojownikach o lepsze jutro dla uciemiężonych. Otwierał się przed nimi nowy, szczęśliwy świat.

„Carissimus doctor” umiał opowiadać i uczyć. Rzeczy trudne stawały się łatwe i

proste, niezrozumiałe – nabierały sensu, ciemne – stawały się jasne. Bardziej zaawansowani wciągali zdolniejszych z innych oddziałów. I co się działo? Zamiast o krwawych jatkach na ostatnich igrzyskach, zamiast o sławnych bójkach i mordach, chłopcy rozprawiali o urządzeniu Likurgowego państwa, o powstaniu ziemi, o mądrości nauki Sokratesa. Wieści o tym docierały do uszu lanisty.

Niepokoił się czcigodny Lentulus Batiatus i miał ważne powody. Myślący gladiator, czyż to nie pachnie buntem?

Zajęcia służbowe i nadobowiązkowa nauka nie przeszkadzały młodym ludziom w płataniu figłów. Jak uczniacy z elementarnej szkółki potrafili codziennie zrobić jakąś psotę znieawidzonemu katowi, lizusom Batiatusa i o zgrozo! niekiedy nawet dostojnemu Batiatusowi.

Czasem figle były niewymyślne, pospolicie praktykowane w innych szkołach: pokrzywy, kolce lub jeże kładzione do łóżek złych kolegów i lizusów, zdechły szczur pod poduszką, piasek w zupie, ale czasem o wiele złośliwsze. Nie wykryto sprawców domieszania rycynusu do sosu rybnego, którym lanista chciał wyróżnić ulubieńców. Tak samo nie dowiedziano się, dlaczego jednego dnia kat po wypiciu codziennej miarki wina zwałił się jak kłoda pod stajnię i chrapał całą dobę. Nie były to mało znaczące wybryki, a dochodziło już do gorszych wykroczeń. Ot, choćby ostatnia awantura o baranię albo bolesny żart z wózkiem. Wyciągnęli z wózka lanisty wszystkie śruby, a spojenia połączyli kołkami z drewna i sznurkami. Wózek w drodze na forum rozsypał się i korpulentne ciało Batiatusa zmierzyło głębokość przydrożnego rowu. Winnych jak zwykle nie wykryto.

Trzeba zastosować radykalne środki. Lentulus Batiatus postanowił na najbliższe igrzyska Ludi Florales, trwające od 23 kwietnia do 3 maja, rzucić całe swoje żywe mięso – wszystkich jako tako przeszkolonych gladiatorów. Trzeba też pozbyć się tego draba Spartakusa. Wprawdzie to mistrz nad mistrze w nauce szermierki, ale... Tak, tak... taki człowiek nie powinien pozostać dłużej w szkole, jeśli chce się mieć żywot spokojny. Ale sprzedać go niebezpiecznie. Tak jakby sprzedać komu niewyfermentowane wino w zamkniętej kadzi. Ciekawe, że ten tracki pastuch tak potrafił sobie zaskarbić łaskę pospółstwa. Kto otrzymuje najgorętsze brawa w czasie igrzysk? Czyje imię ryczą górne rzędy amfiteatru? Komu rzucają na arenę drobne podarki? Niejeden wódz mógłby mu pozazdrościć popularności. Za gladiatorów przeszkolonych przez Spartakusa można zawsze wyciągnąć wyższą cenę. A jego herkulesowa siła... Na ostatnich igrzyskach, Ludi Plebei, w październiku zeszłego

roku, rzucił się bezbronny dobrowolnie na arenę i skrzył łeb potężnemu bykowi andaluzyjskiemu, broniąc od śmierci swego ulubieńca Enomaosa skazanego na tę walkę za nieposłuszeństwo. I lud wybaczył zuchwalstwo, lud oklaskiwał śmiało i darował życie Enomaosowi.

Na 23 kwietnia wyznacza lanista ostatni popis szermierki w szkole, zakończenie kursu szermierki i zaprzysiężenie młodych gladiatorów. Będzie to nie lada uroczystość; bez mała dwie setki młodzieńców otrzyma tytuł gladiatora z prawem występowania na arenie. Trwają ostatnie, gorączkowe przygotowania.

Na popis przybędzie wielu znakomitych panów z pobliskich miast, nawet z Rzymu, dla oceny i wyboru gladiatorów. To już tak niedługo. Przezorny lanista nie zapomina o niczym. Dla pewności umieszcza szpiega w oddziale Spartakusa. Na kilka dni przed uroczystością każe przenieść Kastora do oddziału Kriksosa, a na jego miejsce przysła nikomu nieznanego Germanina, Hermana. Chłopcy są rozwścieczeni tym zarządzeniem. Polluks z błahego powodu sprawia lanie Hermanowi. Lanista wyznacza mu za karę pięćdziesiąt różeg. Niestety, więcej nie można, bo znaczniejszy wpływ krwi uczyniłby go niezdatnym do walki na arenie.

Wiosna rozkwitła całą swą urodą w kampańskiej ziemi, najpiękniejszym zakątku pięknej Italii. „Felix Campania” – mówią o niej nie tylko poeci. Czy nie można mówić tak o krainie, gdzie cały rok niemal bez przerwy kwitną róże na polach, gdzie winorośle uginają się pod ciężkimi, złotymi gronami owoców słodszych niż miód, wyglądających jak stężałe krople słońca? Tam drzewa rodzą większe owoce i więcej niż gdziekolwiek na świecie. I pszenica daje obfitszy plon. W łagodnym ciepłe słońca, pod niebem czystym i lazurowym rozkwitają pola barwnym kobiercem, młode pędy strzelają z drzew i nabrzmiałe pąki otwierają delikatne płateczki.

Gladiatorzy nie widzieli wiosny. Wierzby nad wodotryskiem dawno już przekwitły, a gałązki drżą teraz w krasie młodziutkich liści. Gladiatorzy i tego nie widzą, zajęci przygotowaniem się do igrzysk i stokroć ważniejszą sprawą, o której mówi się szeptem, w tajemnicy, unikając świdrujących oczu szpiegów. Liczą niecierpliwie dni i godziny, które odmierza spokojnie piaskowa klepsydra. Kalias wie, że zbliżają się jakieś decydujące wypadki.

Powiedział mu o tym Polluks nie wtajemniczając w szczegóły.

– Dowiesz się w oznaczonym czasie, a teraz milcz i obserwuj. Nie podoba mi się ten Herman, nie spuszcza go z oczu. Jeśli zauważysz, że on podsłuchuje, kręci się tam, gdzie nie potrzeba, daj znać. Łatwiej ci to przyjdzie niż nam, starszym.

Kalias obserwował. Nic szczególnego nie zauważył. Herman ćwiczył jak inni, odpoczywał, gdy odpoczywali wszyscy, kładł się spać, gdy to czynili inni. Jednej tylko nocy wyszedł z sypialni i długo nie wracał. Kalias powiedział o tym rankiem Polluksowi, ale ten przyjął wiadomość obojętnie.

Nadszedł dzień 23 kwietnia. Rozsłoneczniony, ciepły, pachnący. Kolumny portyku umajono wieńcami. Z boku, na podwyższeniu, ustawiono stołki i ławy dla gości. Gladiatorzy namaszczeni oliwą, podnieceni i sztucznie weseli rozmawiali głośniejszym niż zazwyczaj, śpiewali, żartowali. Spartakus zaproponował laniście, by uroczystość rozbić na dwie części: rano popisy lekkobrojnych, urozmaicone występem pieśniarzy i deklamatorów, po południu zapasy ciężkobrojnych i przysięga.

Batiatus długo tarł frasobliwie dostojną, rudą brodę i małymi niespokojnymi ślepkami, w obramowaniu białych jak u świni rzęs, świdrował twarz gladiatora. Po co śpiewy i tańce? By monotonią nie znużyć szlachetnych gości? Cały program trzeba rzeczywiście rozbić na dwie części – jednorazowo wyczerpać się nie da. A więc dobrze, niech będą wiersze i pieśni, byle niedużo. Po południu reszta programu. Zapewne wtedy zbiorą się znakomitsi goście. Rzeczywiście, popisy gladiatorów ładniej wyglądają w blasku zachodzącego słońca, pochodni i oliwnych lamp. A i patrzeć przyjemniej, gdy powiewa miły wieczorny wietrzyk, niż w spiekocie południowych godzin.

Polluks uprzedził Kaliasa:

– Po południu trzymaj się boku Sotiona. Nie odstępуй od niego, gdy będzie przysięga.

* * *

Zagrały trąby na rozpoczęcie uroczystości. W zwartych szeregach pojawili się na dziedzińcu gladiatorzy. Przedefilowali przed gośćmi witając ich podniesieniem rąk. Ustawili się po prawej i po lewej stronie portyku, odpowiednio do rodzajów walk, do jakich byli przeznaczeni. Na dany przez lanistę znak wybiegli najpierw w dwóch szeregach lekkobrojni, odziani w krótkie, jaskrawoczerwone, fałdziste fartuszki (subligaculum) i błyszczące, blaszane napierśniki. Uzbrojeni byli tak, jak pierwsze szeregi piechoty atakującej wroga, w oszczepy dłuższe niż przeciętny wzrost człowieka. Owe „pilae” gladiatorów nie posiadały na tym próbnym pokazie hartowanych w ogniu ostrzy, były całe drewniane. Trafiony zapaśnik uważany był za

pokonanego. Była to gra zręczności – uskokczyć w porę czy uchylić się przed lecącym oszczepem, a samemu ugodzić przeciwnika.

Gibkie ciała migają w słońcu. Chłopcy niemal tanecznymi skokami przebiegają zwir dziedzińca. Uśmiechnięci, pogodni. Przecież to dzisiaj tylko zabawa. Na daninę krwi przyjdzie czas. Goście są trochę niezadowoleni. Żadnej emocji. Batiatus czyni nieznaczny ruch ręką. Nauczyciel lekkozbrojnych rozumie. Trzeba bawić gości. Skinął ręką. I za chwilę jeden z lekkozbrojnych pada tak nieszczęśliwie, że podcina od razu dwóch innych. Tworzy się kłębowisko ciał. Zamieszanie i krzyki. Goście śmieją się. Jednego z gladiatorów podnoszą z rozbitym nosem. Jest już krew, a więc gościom coraz weselej.

Teraz czas zabawić zebranych deklamacjami i wesołymi piosenkami gladiatorскими. Goście są zdumieni: skąd u gladiatorów takie zręczne, dowcipne piosenki? Wysztydają swoją dolę, rubasznie kpią z kolegów, nawet z lanisty. Ale pod pozorem bez troski i kpin kryje się głęboka, smutna treść. Oto wychodzi przodownik chóru i śpiewa:

Kampanio, Kampanio szczęśliwa,
Śpiewają o tobie poeci...

A chór po lewej stronie odpowiada:

Tu szczęście gladiator zdobywa,
Gdy dusza z areny uleci...

I znów śpiewa przodownik chóru dźwięcznym, mocnym głosem:

Ptak każdy gniazdeczko buduje,
Ma żonę i dzieci ma swoje,
Przed głodem i wrogiem ratuje...

A chór pyta zwracając się na prawo:

Hej, Traku, a szczęście gdzie twoje?

I oto odpowiadają wszyscy skandując wolno, przejmująco:

Niedola jednaka nas brata,
Te same nas sieci pętają,
Numidę, Samnitę czy Traka
Jednakie złe losy czekają...

Goście okazują niezadowolenie. Trochę zuchwałe te porównania. Kto układa te zręczne piosenki? Batiatus unizenie usprawiedliwia się i przeprasza. Podobno ten stary lekarz, Sotion. Ale właściwie nigdy go nie przyłapano na tym. Tak zawsze bywało – nagle rankiem kilku śpiewało jakąś piosenkę, a wieczorem powtarzała ją cała szkoła. Dopóki się nie znudziła, bo potem szła inna, nowa. Zresztą, czyż warto żałować im, że swoje niewesołe życie umilają rubasznym żartem czy piosenką? Kto śpiewa, ten chyba nie knuje podstępnych zamiarów. Tak. Tak. Goście ze zrozumieniem kiwają głowami.

Potem szermierze obrzucają się strzałami. Torównież pokaz zręczności. I nowość wprowadzona do szkoły Batiatusa przez Spartakusa: mocowanie się na wzór grecki. Trzeba przeciwnika trzykrotnie położyć na łopatki. Wymaga to elastyczności wszystkich mięśni, zręczności, siły i przytomności umysłu. Tej sztuki dokazało kilku. Enomaos, ulubieniec Spartakusa, kładzie dwóch przeciwników. Niektórzy goście pamiętają go z zeszłorocznych igrzysk. Wykrzykują jego imię. Batiatus zaciera ręce. Cena Enomaosa rośnie. Trzeba przyznać, że ten Spartakus każdego niedźwiedzia potrafi przerobić na zręcznego szermierza, gibkiego i zwinnego jak pantera, błyskawicznego w uderzeniach jak tygrys.

Po przerwie południowej rozpoczęły się spotkania ciężkozbrojnych. Występowały pary modnych od ostatnich wojen macedońskich Traków, potem zręcznych Galów, zaciętych Samnitów. To nie narodowość decyduje o nazwie, lecz uzbrojenie. Murzyn ubrany w strój wojenny Gala jest Galem, Żyd czy Grek w stroju Traka jest Trakiem. Pozłacane, drewniane miecze, proste lub zakrzywione w kształcie kopy, skrzą się w słońcu, powiewają na wietrze różnobarwne kity na hełmach, metalicznie podzwaniają posrebrzane blaszki, tworząc ochronne pancerze na piersiach, chrzęszczą skórzane tarcze. Szermierze walczą w milczeniu, tylko ciężkie przyspieszone oddechy mówią o zmęczeniu. Różnorodność broni zachwyca widzów. Batiatus widzi to po błyszczących oczach, przychylnych szeptach. Zaciera ręce. Szykuje niespodziankę dla swoich widzów i nauczki dla gladiatorów. Krwawą nauczki. Niech wiedzą, że Batiatus nie przebacza nigdy. Odkłada niekiedy karę, ale

jest potem tym surowsza.

Klasnął w ręce. To znak, że rozpocznie się kulminacyjny punkt programu: spotkanie mirmillona z sieciarzem. Wybiega z siecią zręczny, wesoły Polluks. Jego roześmiane oczy są tak pogodne i błękitne jak niebo. Namaszczone oliwą ciało jaśnieje w słońcu złotem dojrzałej pszenicy. Uzbrojony w trójząb i przytwierdzoną do krótkiego kija sieć, ubrany wbrew przepisom zamiast w skórzaną, w zwykłą, kusą, płócienną tunikę. Głowa również odsłonięta, jasne włosy rozwiewa wiatr. Za nim wytacza się spod filarów Herman. Gładki, połączony kask zakrywa mu głowę, krótki fartuszek osłania biodra. W lewej ręce trzyma okrągłą, blaszaną, ozdobioną wizerunkami ryb tarczę, w prawej galicki miecz. Podnosi go do góry. Polluks odskakuje w tył. Ostrze stała zaśniło w słońcu. Spartakus zmarszczył brwi.

– Stać! Stać! – krzyknął groźnie. – Gra nieprawidłowa!

Grający na moment stanęli w bezruchu. Ale Batiatus podnosi tłustą, owłosioną prawicę. Twarz ma fioletową z gniewu.

– Grać! – warczy zduszonym głosem. – Ja wiem co prawidłowe!

Herman ze świstem przeciął mieczem powietrze. Nieszczęściem Polluks był zbyt blisko, nie zdążył uskoczyć, nim zrozumiał, co się stało. Koniec ostrza zahaczył o ramię. Czerwona struga spłynęła na tunikę. Wściekłość zamigotała w jego ściemniających nagle, jak morze przed burzą, oczach. Złośliwy, pogardliwy uśmiech wygiął młode usta ku dołowi. Cofnął się gwałtownie. Herman natarł z furią. Goście – niby wilki okrążające stado owiec – czują krew, powstają z miejsc i z podnieceniem śledzą ruchy zawodników. To nie popis gladiatorskiej zręczności, to walka na śmierć i życie. Jakieś ciemne, nieznane sprawy zapaliły nienawiść między tymi dwoma. Tu nie będzie łaski. Ktoś zginąć musi. Szkoda, że Batiatus od razu dał nierówne szansę walczącym. Przyjemny ten smukły sieciarz. Szkoda go. A sieciarz ciągle umyka. Ciężki, zakrzywiony miecz mirmillona ze świstem tnie powietrze. Celnie wymierzone razy nie sięgają przeciwnika. Jasnowłosy odskakuje jak piłka. Pogardliwy, wyzywający uśmiech nie znika mu z twarzy. Na czole mirmillona ukazują się błyszczące krople potu. Szczęki ma kurczowo zaciśnięte, w kącikach ust pianę.

Sieciarz ciągle unika ciosów. Ucieka w lekkich susach, przysiada, odskakuje. Drażni mirmillona niby przepiórka odciągająca psa od swego gniazda. Podsuwa się niemal pod uderzenie i nagle niepojętym jakimś ruchem usuwa się na czas.

Podniecenie widzów rośnie. Krzyczą. Krzyczą również stojący po bokach gladiatorzy: „Polluks! Polluks!...”

I nagle sieciarz zmienia taktykę. Rzuca się do natarcia. Podnosi groźnie sieć i mirmillon cofa się. A Polluks zaczyna śpiewać refren popularnej piosenki wszystkich sieciarzy:

Non te pęto, piscem pęto,

Quid me fugis, Galie?*

[*Nie ciebie łowię, rybę łowię, czemu mi uciekasz, Galu?]

Sieć gwizdże mirmillonowi wokół głowy, a trójzab sieciarza kłuje go, gdzie popadnie. Niestety, trójzab jest drewniany. Przy silniejszym uderzeniu w pierś przeciwnika zawadza o tarczę i jeden zab wyłamuje się z trzaskiem. Herman wykorzystuje to, uderza mieczem i nowa plama krwi barwi tunikę Polluksa. Ale przy gwałtownym ruchu Herman zanadto pochylił się ku przodowi i Polluks trójzębem uderzył go w prawą rękę. Miecz ze świstem przeleciał nad fontanną i utkwiał w piasku dziedzińca. A sieciarz świsnął w tej samej chwili swoją siecią i wyłamanym trójzębem wymierzył straszliwy cios w brzuch oszołomionego mirmillona.

Herman padł bezwładnie, oplatany siecią. Polluks postawił stopę na jego piersi i uniósł swój trójzab w górę. Dziedziniec zatrzęsł się od wrzasku.

Następne walki stały się dla gości nudne. Gladiatorzy byli podnieceni j złowrogie błyski migwały im w oczach. Walczyli niedbale, nieuważnie. Wroga, ciężka atmosfera jak burza wisiała w powietrzu i nagle prostokąt dziedzińca wydał się gościom więzienną celą, z której najlepiej uciec. Gościnne ławy opustoszały. Batiatus kazał przerwać gry i ustawić się do przysięgi. I wtedy okazało się, że nie ma na dziedzińcu starszych gladiatorów ani mistrzów. Rozgniewany Batiatus kazał ich szukać. Usłużny Herman, który zdążył oprzytomnieć, szepnął mu coś do ucha i wybiegł.

Kalias przejęty walkami nie widział, co się wokół niego dzieje, toteż gdy wszczęło się zamieszanie, rozejrzał się i spostrzegłszy, że Sotiona nie ma, pospieszył do wnętrza gmachu.

Tymczasem młodszy gladiatorzy ustawili się w szeregu, a Polluks stanął przed nimi i dał znak ręką. Z młodzieńczych piersi wyrwała się potężna pieśń:

Kędy spojrzysz, oręza blask,

Cały odział się dom ku czci

Aresa w spiż...* [* Pieśń Alkaiosa, poety greckiego. (Tłum. S. Srebrny)]

Batiatus zgłupiał. Czyżby to dalszy ciąg pieśni i deklamacji? Ale Spartakus, gdy układali program uroczystości, nic mu o tym nie wspominał! Chłopcy spokojnie śpiewali. Jeszcze jedna pieśń. Głupstwo. Tylko czemu mistrze nie przychodzą? Czemu tak groźnie, z takim zapalem ryczą tę bojową pieśń? Jak to dobrze, że posłuchał Hermana, by na dzisiejszą noc prosić magistrat kapuański o przysłanie oddziału straży miejskiej. Niedługo pewno nadejdą. Chyba gladiatorzy nie zechcą przed wieczorem wszczynać żadnych burd. A widok oddziału straży uspokoi ich zapędy.

Polluks poddaje takt ostatniej strofki:

Broń gotowa! Drużyno, bacz!
Jeśliś, bracie, zmierzył czyn,
Za oręż chwyć!

– Broń gotowa! – odpowiada gromkie echo wewnątrz gmachu.

Nagle we drzwiach staje Spartakus i starsi gladiatorzy z naręczami mieczów. Miecze ze zbrojowni. Rozbili zamek. To już. Batiatus pojął groźbę położenia. W mgnieniu oka młodzieńcy rozchwytyją broń. Pod gwałtownymi ciosami ginie nieliczna garstka strażników, którzy chcieli rozbroić gladiatorów. Batiatus chowa się pod ławę, ale wyciąga go stamtąd kilkanaście rąk. I w ostatnim błysku świadomości lanista zrozumiał, że już nigdy więcej nie będzie wysyłał gladiatorów na arenę.

Tymczasem Kalias, zaniepokojony nieobecnością Sotiona, przeszukał salę ogólną i sypialnię, a nie znalazłszy go, wybiegł na dziedziniec zewnętrzny. Wartownicy zaaferowani odjazdem gości nie zwrócili na niego uwagi. Kalias pospieszył ku stajniom, a gdy i tam nie było Sotiona, zawrócił ku bramie. Odźwierny wypuścił ostatni pojazd z gośćmi. Kalias spojrzał na drogę wiodącą ku rynkowi. W stronę szkoły maszerował w zwartym szyku oddział wojska. Lęk ścisnął mu serce.

– Tam, co?... – wyjąkał wskazując ręką.

Odźwierny spojrzał.

– To straż miejska – odpowiedział machinalnie i nagle ryknął gniewnie:

– A ty tu skąd? Co?!

Ale Kalias już nie słuchał. Gwałtownie zawrócił ku budynkowi, skąd dochodziły głośne krzyki. Strażnicy, stojący przed drzwiami, zaniepokoiłi się i wbiegli do

wewnątrz. Kalias pospieszył za nimi. Ledwo zdążył uskoczyć w bok, gdy na wchodzących rzuciło się kilkunastu uzbrojonych gladiatorów.

Nad tłumem zbrojnych mężów górowała wysoka postać Spartakusa. Mówił coś do nich podniesionym głosem. Kalias pochylił się, przecisnął między nogami stojących i szarpnął Spartakusa za tunikę.

– Mistrzu... mistrzu! – krzyknął resztką tchu.

Spartakus odwrócił się ku niemu i zapytał spokojnie:

– Czego chcesz, chłopcze?

– Mistrzu... na drodze... oddział... straży... miejskiej... tu... idą...

Wahanie i niepokój odbiły się na niektórych twarzach. Ktoś rzucił pod ścianę tarczę, która zadudniła głucho. Ciasna obręcz otaczająca Spartakusa rozluźniła się. Kilku niezdecydowanych usunęło się na bok.

– Chłopcy, kto serce ma nieulekłe, za mną! Po sławę i wolność! – zawołał jasnym głosem.

– Po sławę i wolność! – ryknęło kilkadziesiąt gardzieli. Wybiegli na zewnętrzny dziedziniec. Nieuzbrojeni rozproszyli się po placu, by zdobyć jakąś broń. Niektórzy poszli ku szopom i wnet deski i krokwie zaczęły trzeszczeć w ich muskularnych prawicach.

Zmierzch już zapadał. Na drodze, o jakieś dwieście kroków od szkoły, maszerował oddział straży. Spartakus wydawał pospiesznie krótkie rozkazy:

– Enomaos i Polluks, załóżcie strój wartowników i stańcie przy bramie. Odźwierny tam nasz. Powiedzcie, że tu spokój i Batiatus dziękuje, że przyszli. Jeśli zechcą wejść i sprawdzić, nie otwierajcie bramy. A wy wszyscy schowajcie się za budynek, niech nikt nie płacze się od frontu!

Tak niedawno gwarny plac zaległa śmiertelna cisza. Słysząc było nie tylko przybliżający się miarowy tupot żołnierskich sandałów i szczęk tarczy czy miecza. Miarowe kroki stawały się coraz bliższe i nagle donośny rozkaz uciął marsz. Oddział zatrzymał się jak wryty.

– Wezwał nas Lentulus Batiatus, jesteśmy – głośnie zabrzmiał ten sam rozkazujący głos – otwórzcie bramę!

– Lentulus Batiatus dziękuje wam i oznajmia, że w szkole spokój. Gladiatorzy spożywają wieczerzę – odpowiedział równie donośnie Enomaos.

Po chwilowej ciszy zapytał głos zza bramy:

– A gdzie Marek? On tu miał pełnić straż.

– Marek w gmachu. Zamieniłem się z nim, bo chciał posłuchać przysięgi gladiatorów.

I znowu zapadła minuta denerwującej ciszy. Widocznie dowódca straży wahał się, co ma czynić. Nagle skądś z góry przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze:

– Na pomoc, na pomoc! Bunt!

Zakłęli. Wszystkie głowy uniosły się ku dachowi budynku. Stał tam kat i krzyczał. Jakże mogli o nim zapomnieć! I tam właśnie udało mu się skryć! Kilku gladiatorów rzuciło się do wnętrza gmachu. Za późno. Dowódca straży zażądał otwarcia bramy, a gdy Enomaos odmówił, strażnicy rzucili się do wyważania. Na głowy atakujących posypały się kamienie, deski, piasek, ale brama zaskrzypiała i padła. Zaczął się bój pierś w pierś. Zgniecieni w bramie strażnicy nie mogli rozwinąć bojowego szyku, a fosa i żywopłot broniły szerokiego dostępu. Gladiatory nacierali całą masą. Jeśli któryś padał, broń jego chwycił następny i parł naprzód. W zgiełku bitewnym nie słychać było jęków, choć kośba śmierci zgarniała obfite żniwo.

Źle uzbrojeni gladiatory padali gęsto, przeredzały się również szeregi atakujących. Ktoś podpalił suche deski szopy, niektórzy porwali płonące żagwie i poczęli rzucać na strażników. Ci cofnęli się w popłochu. Ryknęli zwycięsko na ten widok oblegani i wsiedli na karki uciekającym. Rozpoczęła się rzeź.

Spartakus opuścił ku ziemi skrwawiony miecz i stanął. Nie będzie ścigał uciekających. Niech się chłopcy zabawią. Podbiegł ku niemu Polluks.

– Mistrzu, bierzemy konie?

– Tak. Niech ci pomogą Enomaos i Kastor.

– Kastor tam! – zawołał Kalias pokazując ścigających. – Ja pomogę.

– Dobrze, idźcie.

Ale konie prowadzili już inni gladiatory. Kilku pobiegło do spiżarni. Polluks z nimi. Załadowano pospiesznie trochę prowiantów, zebrali na wózki swoich rannych i broń rzymską. Trzeba uchodzić spiesznym marszem, zanim nadbiegną posiłki z miasta. Błogosławiona noc osłoni ich ucieczkę. Kilku gladiatorów wpadło do przydrożnej oberży, skąd wyszli zaopatrzeni w noże i różny. Wszystko, co może służyć jako broń, jest użyteczne.

Po dwu godzinach pospiesznego marszu na zachód Spartakus zarządził postój. Powstańcy padli na ziemię zmęczeni niehumanie i głodni. Ale nikt nie myślał o jedzeniu. Zbyt ciężkie i bolesne straty ponieśli, zbyt krwawe było to zwycięstwo. Odpocząć trochę i uchodzić stąd w bezpieczne miejsce.

Spartakus usiadł z Sotionem i Kriksosem, by naradzić się nad planem dalszego działania. Spartakus był zły. W jaki sposób Batiatus zorientował się, że coś się knuje? Przecież byliby wyszli ze szkoły bez żadnych strat, gdyby nie ta niespodziewana bitwa ze strażą. Ktoś musiał uprzedzić lanistę, ktoś zdradził. I jak się ustrzec od dalszej zdrady? Trzeba obliczyć i sprawdzić, kto zginął i kogo nie ma.

Niezbyt chętnie podnosili się zmęczeni chłopcy, by stanąć w szeregu. W odliczaniu mylili się kilkakrotnie, aż wreszcie doszli do ładu. Było wszystkich siedemdziesięciu dwóch.

Tyłu zginęło! Spartakus chcąc się upewnić, kto zginął, wywoływał kolejno imiona.

„Padł, zabity, padł” i rzadkie: „jestem” stwierdzało to, czemu oczy wierzyć nie chciały.

– Kastor?

Z wozu, gdzie leżeli ranni, podniósł się Murzyn. Chwiejnie, wspierając się na mieczu, podszedł do Spartakusa. Głowę i jedno oko miał przewiązane szmatą zabarwioną ciemnymi plamami. W świetle niebieskiego wieczoru migotało białko nieosłoniętego oka. Wargę straszliwie spuchniętą wykrzywiała w jakąś maskę jego twarz.

– Polluks?

Cisza. Coś jak jęk wyrwało się z ust Kastora.

– Polluks? – powtórzył Spartakus jeszcze raz.

– Widziałem go w spiżarni – odezwał się jakiś głos – podawał chłopcom worki z żywnością. Wziąłem jeden i do spiżarni już nie wróciłem.

– Zawróciłem do spiżarni jeszcze raz, gdyśmy już ruszali. Nie było tam nikogo – odezwał się ktoś inny – a przy wyjściu widziałem jakiegoś jasnowłosego strażnika, leżał, nie ruszał się. Obok niego rozsypany był worek chleba, ale nie zbierałem, bo bałem się, że was nie dogonię.

Spartakus milczał chwilę, a potem zapytał znowu:

– Herman?

– Jestem – gruby, schrypnięty głos załamał się nagle.

Spartakus przerwał sprawdzanie. Pochylił się nad Sotionem i Kriksosem; długo naradzali się szeptem. Potem wezwał Enomaosa, rozmawiali jeszcze chwilę, na koniec Kriksos i Enomaos dosiedli koni i pomknęli w noc, każdy w inną stronę. Sotion również dosiadł konia i wyruszył przed oddziałem.

Kalias, który spał zwinięty w kłębek u nóg Spartakusa, nie słyszał nic i nie czuł, że troskliwe ręce podniosły go i ułożyły na wózku pomiędzy rannymi. Potem ruszyli wszyscy.

Jak latarnia morska wskazuje spokojną przystań zbłąkanym statkom, tak wyniosły szczyt Wezuwiusza na ciemnoniebieskim tle rozgwieźdzonego nieba przyciągał ku sobie oczy garstki straceńców. Obiecywał złudne bezpieczeństwo i opiekę, wabił ku sobie niedostępnością i dzikością niby gromadę orłów chcących założyć niedosiężne gniazda.

Wytrwale dążyli ku niemu w jasną, pachnącą noc kampanijską.

Tak się rozpoczęła ciernista droga ku wolności i sławie.

NA WEZUWIUSZU

Jedna wąska ścieżyna wiodła na wierzchołek Wezuwiusza. Pozostałe zbocza, urwiste i śliskie, zarastały skłębione jak wodorosty morskie dzikie winorośle, odwieczne kryjówki wszelakiego ptactwa, ślimaków i owadów. Cichy, nieczynny krater wulkaniczny posłużył za twierdzą zbuntowanym. Prowizoryczne szałas i kuchnie polowe, legowiska uplecione z gałęzi i siana dawały pozór jakich takich wygod. Ludziom tu zebranych nie zależało na wygodach, zresztą nie znali ich. Ostra szkoła, jaką była służba niewolnicza u rzymskich panów, nie dawała okazji do posmakowania przyjemności życia. Toteż nie o prawo do korzystania z jego uroków, ale o samo prawo życia, o możliwość powrotu do człowieczeństwa wystąpili ci wyjęci spod praw. Było ich tu ponad dwie setki. Niestety, zaledwie połowa miała uzbrojenie mniej więcej równe uzbrojeniu piechoty rzymskiej – reszta zaopatrzona była w drewniane maczugi o żelaznych końcach zahartowanych w ogniu, wiklinowe kosze, które miały zastępować tarcze, w łomy żelazne, rożny, kije, noże rzeźnicze. Obiecywano sobie zdobyć broń na wrogu.

Oprócz szkoły Batiatusa byli tu gladiatorzy ze szkoły mamertyńskiej, do której przed zbliżającym się oddziałem Spartaka dotarł Sotion i wywołał bunt. Oddziałek Spartakusa pomógł im w wyzwoleniu i na górę podążyli już razem. Zgromadzono obfite zapasy żywności i wiele wody, którą wypełniono wszystkie posiadane naczynia skórzane i beczki. Na rozkaz Spartaka próbowano wypełnić wodą jedną ze skalistych szczelin góry, ale nie trzymała się tam długo, uciekała gdzieś do wnętrza. „Żelazna porcja” wody była nienaruszana, codziennie świeżą przynoszono z doliny. Przy ścieżce wiodącej z góry powstańcy gromadzili całe masy kamieni. Szeroki wał, ułożony z głazów zebranych na szczycie, zamknął jedyne wejście na górę. Wezuwiusz stał się warownią nie do zdobycia.

Kriksos i Enomaos, wysłani dla nawiązania łączności ze szkołami w okolicy, jeszcze nie wrócili i nie dawali znać o sobie. Codziennie wieczorem wypatrywano na dalekim horyzoncie ognisk – zwiastunów nadciągania zbuntowanych szkół, ale w dolinach włóczyły się tylko białawe delikatne mgły i bladozłote światło zapalała na gwiazdzistym niebie Luna, bogini księżyca.

Gdy księżyc rozsiewał srebrzyste pasma blasków po morzu bezkresnym, które mieniło się i drżało u stóp góry, Sotion siadał z lutnią na szerokim głazie i zapatrzony na południe śpiewał tęsknie:

Sycylio, ojczyzno ma,
Sycylio waleczna, daleka,
Twój bój o wolność wciąż trwa,
Krew mężnych strumieniem wycieka...

Zbierali się wokół niego gladiatorzy i w ciszy słuchali smutnych melodii starca. Nie wiadomo, skąd się wzięła między nimi wieść, że Sotion jest starym powstańcem sycylijskim. Pragnęli usłyszeć z jego ust jakąś opowieść o słynnych powstaniach niewolników sycylijskich, ale nie mieli odwagi pytać. Może go to zabołec, rozdrażnić jakieś przyschnięte dawno rany. Kto odgadnąć może?

Aż raz Kalias zapytał ciekawie:

– Sotionie, dlaczego ciągle śpiewasz o Sycylii?

Przerwał starzec pieśń żalną i po długiej chwili odpowiedział:

– Na Sycylii się urodziłem i przeżyłem lata młode... A kraj rodzinny jest zawsze najmiłszy na świecie...

Kalias oparł głowę na kolanach Sotiona i poprosił nieśmiało:

– Sotionie, opowiedz o sobie i o Sycylii. Mówią, że tam niewolnicy ciągle walczą o swoje prawa... Czy ty się też biłeś?...

Gladiatorzy otoczyli ich ciasniejszym kołem.

Sotion odłożył lutnię, przygładził małą, szczupłą ręką siwą brodę i zaczął powoli:

– Jestem synem „wolnych z pól”, jak nazywają panowie robotników rolnych nieposiadających własnej ziemi. Nieposiadających właściwie nic oprócz żony i dzieci. Nieposiadających innej wolności oprócz wolności umierania... Ale i tej wolności nie mogli nam panowie przebaczyć. Wielki bogacz, pan olbrzymich latyfundiów, Damofil, lubił urządzać polowania na ludzi. Ze zgrają swoich psów i sług uzbrojonych przebiegał cały kraj i chwycił spotkanych wolnych. Zakuwał w kajdany i by odjąć chęć ucieczki, wypalał okrutne piętno na czole. Tak znaczonego niewolnika można było rozpoznać i na krańcach świata. Z tym piętnem nie skryłeś się nigdzie... Raz w takim polowaniu pochwycił moich rodziców. Napiętnowany ojciec poszedł do ergastulum, a matka została służebnicą żony Damofila, okrutnej Megalis. Kilka dni tylko moja matka pełniła ciężką służbę, za jakieś drobne przewinienie rozgniewana pani zbiła ją strasznie. Urodziłem się tej samej nocy, a matka moja zmarła. Megalis kazała zrzucić

noworodka ze skały, ale niewolnice, choć bały się i drżały, by nie wydało się nieposłuszeństwo, postanowiły mnie ocalić.

Ta para oprawców miała piętnastoletnią, śliczną i jak boginki leśne dobrą córkę. Do niej, do jasnowłosej dobrej Lidii zanosły mnie niewolnice. Piękna dziewczyna kazała ukryć mnie wśród swojej służby. W kilka dni potem wybuchło powstanie. Na czele stanął bohaterski Eunus i mój ojciec. Damofil wraz z Megalis uciekli do swego wiejskiego domu, ale i tam dosięgły ich mściwe ręce niewolników. Przywieziono ich z powrotem do Enny i sąd powstańczy skazał oboje na śmierć. Damofila ścięto, a żonę jego zrzucano ze skały. A dobrą Lidię z troskliwością i miłością, na jaką zasłużyła za swe litościwe serce, oddział powstańców odwiózł do rodziny, do Katanii. Wśród orszaku starych niewolnic, które nie chciały opuścić swojej szlachetnej pani, wieziono mnie w kołysce. W tych strasznych chwilach nikt nie pomyślał, by oddać mnie ojcu. I może dlatego ocalałem...

Zdradą i przekupstwem zwyciężyli panowie to pierwsze, wielkie powstanie sycylijskie... Nie ujrzałem nigdy swego ojca... Powstanie ugasili panowie krwią po trzyletnich, ciężkich zmaganiach. Podstępem zdobyli Rzymianie naszą twierdzę Tauromenium, zdradą weszli do Enny... Tymczasem chowałem się u Lidii. Niewolnice kochały mnie i pieściły. Panienka dbała o mnie jak o rodzzonego brata. Zaczęła mnie uczyć, gdy tylko podrosłem. Poznałem łacinę i język grecki, zapamiętałem wiele pieśni i wierszy. Niedługo było tego szczęścia. Miałem zaledwie osiem lat, gdy Lidia wyszła za mąż. W przeddzień ślubu wyzwoliła swoich niewolników. I ja wtedy otrzymałem wolność. Prawie wszyscy zostali u niej na służbie, ale już jako wyzwolenicy. Zostałem i ja. Gdzie zresztą miałem się podziąć? Tam nie było najgorzej. Nie był dobry mąż Lidii, ale nie był też okrutnikiem, można było jakoś wytrzymać. Gdy miałem piętnaście lat, Lidia zachorowała nagle i zmarła w parę godzin potem. Zaraza wygubiła wtedy wielu ludzi. A pan po jej śmierci stał się okrutnikiem. Mówił, że Lidia umarła przez nas. Nieszczęście odebrało mu rozum. Przecie myśmy wszyscy ją tak kochali! Kary i chłosty sypały się na nas bez miary. Zasłużone i niezasłużone. Trudno było wytrzymać. Młodzi i odważniejsi uciekali. Uciekłem i ja. Poszedłem w góry, zostałem pasterzem wołów. I tam doczekałem się drugiego powstania... Straszego powstania... Znów popłynęło morze krwi... Byłem wtedy mężczyzną w sile wieku.

Zamilkł Sotion i oparł ręce na kamieniu, usiłując wstać.

Kalias pochwycił go za połą płaszcza.

– Sotionie, opowiedz jeszcze o tej drugiej wojnie niewolników.

Starzec pokręcił głową.

– Późno już... Czas spać... Nie wiadomo, co jutro przyniesie.

Gladiatorzy spojrzeli ku niebu. Roziskrzone, pogodne. Widocznie Jowisz przesyłał piasek w swej wiecznej klepsydrze, bo złoty pył zamigotał w górze i opadł na dno morza.

– Sotionie, zaśpiewaj pieśń dla nas – poprosił któryś z gromadki.

Lecz pieśniarz milczał. Już chłopcy zwątpili, że starzec usłyszał prośbę, i ociągając się wstawali, gdy Sotion wyciągnął rękę po lutnię, przebiegł palcami po strunach i zaśpiewał bojową pieśń:

Tułacze bez kraju i domu,
Jak orły szukamy tu gniazd.
Choć dzisiaj nieznani nikomu,
Wnet sławą dotrzemy do gwiazd...

Mocnym akordem zadźwięczały struny. Pochwycili chłopcy melodię i potężnym chórem zabrzmiała następna zwrotka:

My, wolność kochając jak słońce,
Z tyranem idziemy na bój.
Nowego my świata obrońcę,
Nie straszny nam ból ani znój!...

„Ból ani znój” – powtarzały góry i echo wsiąkało w doliny.

* * *

Po kilku dniach, o świcie, straż stojące przy ścieżce zaalarmowały cały obóz – na drodze pojawił się jakiś oddział maszerujący w zwartym szyku. Nadzieja zakołatała do serc gladiatorów.

– Pomoc idzie!

Kalias wdrapał się na spiętrzony wał kamieni obronnych i wychylił się. Swoim bystrym wzrokiem rozeznał już uzbrojenie oddziałów.

– Wszyscy uzbrojeni jak piechota rzymska! – zawołał.

– To Rzymianie – spokojnie powiedział Spartakus.

Twarze mężczyzn stwardniały. Wargi zacięły się, w oczach rozgorzała nienawiść. Zaciśnęli pięści, a ze zdławionych gardzieli wyrwał się ochryply okrzyk:

– Śmierć Rzymowi! Niech żyje wolność!

Kompanie zbliżały się. Kaski, pancerze i groty pil lśniły w różowych blaskach wschodu.

– Taka broń! Mieć taką broń – wzdychali gladiatorzy – zawojowalibyśmy świat!

– Pójdziemy i zabierzemy ją – zażartował Sotion. – Tylko jest jej trochę za dużo dla nas.

– Będzie dla tych, którzy nadejdą – roześmiał się ktoś.

– Dużo ich – zafrasowanym głosem powiedział Myron, pomocnik kucharza. – Naliczyłem trzy tysiące.

Wojsko rozkładało się u stóp góry. Podoficerowie wymierzali prostokąt kijami i sznurami, żołnierze rozstawiali namioty. Patrzącym z góry wydawali się dużymi mrówkami, które budują mrowisko.

– Rozkładają się jak na leże zimowe – mruknął ktoś ponuro.

Powstańcy z podziwem patrzyli na ład i porządek, z jakim Rzymianie wykonywali swe prace. Nikt nie kręcił się tam bez celu – każdy spełniał powierzone sobie zadanie spokojnie, sprawnie i zręcznie. Tak wdrożeni mogli być do służby tylko starzy, zaprawieni w trudach i bojach legionieści.

Napatrzywszy się na wrogów, gladiatorzy rozeszli się. Oficerowie i podoficerowie wybrani w pierwszym dniu obozowania na Wezuwiuszu zwołali swych żołnierzy do codziennych ćwiczeń. Uczono tylko jednego rodzaju walki – atakowania wroga. Żołnierze zdobywali tę prostą zasadę, że cofać się – to przegrywać. A kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Gladiator nie cofa się nigdy, jeśli pada, to tylko z raną w piersiach, nigdy w plecach. Ćwiczone się w rzucaniu oszczepów i pil, w cięciu mieczem, w rzucaniu kamieni.

Kalias kręcił się między ćwiczącymi, ale czuł się nieszczęśliwy i upokorzony. Przepadli bez śladu dwaj jego przyjaciele, Kastor i Polluks. Wszyscy wiedzą, że Polluks zginął w szkole Batiatusa, ale co stało się z Kastorem? Przecie ranny wędrował z oddziałem na Wezuwiusz i gdzieś zniknął wśród nocy. Co się z nim stało? Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Został za to w ich oddziale złośliwy i grubiański Herman, który nie wiadomo dlaczego na każdym kroku starał się chłopcu dokuczać. Nie pozwolił mu ćwiczyć się razem z innymi.

– Wynoś się! – krzyknął groźnie. – Co myślisz, że będziemy po tobie pieluchy prac? Nie dla smarkaczy wojsko!

Kalias ukrył się wśród gęstych winorośli i wypłakał swój żal i gniew. Myślał, by poskarżyć się Spartakowi lub Sotionowi, ale zaniechał tego. Naprzykrzać się tym zapracowanym, mającym takie ważne sprawy, dowódcom? Może go wysłuchają pobłażliwie, może zlekceważą i roześmieją się? To byłoby okropne. A może rzeczywiście taki smarkacz, jak on, nie powinien plątać się wśród prawdziwego wojska? Nikt w oddziale nie stanął w jego obronie, więc może Herman miał rację. Nawet oficer wyznaczony na dowódcę i zastępcę w oddziale Polluksa, nie wziął go w obronę, gdy Herman mu wymyślał. Jakoś ten Herman umiał się wkraść w łaski kolegów, że wybaczyli mu nieuczciwą walkę z Polluksem i jakby zapomnieli o tym. Szybko wymazali z pamięci jasnowłosego, wesołego i koleżeńskiego Polluksa. Oj, szybko! Gorycz i poczucie krzywdy jak piołun spływały do serca Kaliasa. Niepotrzebny nikomu, a nawet zawadzający wszystkim...

Po trzech dniach oblężeni zrozumieli, że Rzymianie nie mają zamiaru zdobywać góry. Rozłożyli się wygodnie u stóp jedyne go zejścia z Wezuwiusza, rozstawili strażę i beztrosko czekali.

– Głodem chcą nas zwyciężyć – szeptali gladiatorzy.

Nie głód jednak był największą groźbą, czyhała gorsza klęska, która ukazała swe straszliwe pazury powstańcom – pragnienie. Majowe słońce świeciło spokojnie, żadna chmurka nie plamiła czystego błękitu i noce jasne, ciepłe nie przyniosły ani kropli dżdżu. Wydzielano skąpe miarki z niewielkich zapasów, ale te już się kończyły. Co będzie za trzy lub cztery dni?

Klęska uderzyła wcześniej – zdradą.

Już przed świtem następnego ranka wszczął się alarm. Pozrywali się z legowisk gladiatorzy i przybiegli do namiotu, który osłaniał naczynia z wodą. Wartownik, stary Myron, leżał związany, z zakneblowanymi ustami, a ziemia wokoło ciemniała wilgocią bezcennej, życiodajnej wody. Wszystkie skórzane worki były podziurawione, blaszane i gliniane naczynia wywrócone.

Ledwo docucono starego. Okazało się, że pełnił straż w trzeciej zmianie – wigilii – wraz z Hermanem. Herman zaproponował mu, by odpoczął i przespał się, lecz stary odmówił, wolał chodzić wokoło namiotu. Wreszcie usiadł na chwilę na kamieniu, by poprawić sobie rzemień u sandała. I wtedy ten zdrajca rzucił się na niego z tyłu. Nie zdążył nawet krzyknąć, bo zapchał mu usta jakimś gałganem.

Wściekłość odebrała głos gladiatorom. Bez słowa rozeszli się do swoich zajęć.
A dzień wstał słoneczny zapowiadając upał.

* * *

Już dwa dni walczyli gladiatorzy z męką pragnienia. Umilkły rozmowy, śmiechy i szczęk oręża. Cisza zawisła nad obozem. Tylko strażę pilnowały wejścia na górę. Reszta powstańców kryła się w cieniu szałasów. Suche kawały placków jęczmiennych i wędzonego mięsa leżały nietknięte. Ludzie nie mogli poruszać zeszywniałymi językami, nie chcieli jeść.

– Pić!...

Lecz ani bezlitosne, rozpalone niebo nie dawało kropli deszczu, ani znikąd nie nadchodziła pomoc. Niektórzy próbowali szukać wody w rozpadlinach, rozgrzebywali ślady wyschłych, zimowych strumieni – było to jednak bezskuteczne. Inni próbowali gryźć liście winorośli. Były suche i gorzkie. I ziemia łaknęła...

Następnego nocy zniknął Kalias. Doniesiono o tym Spartakusowi. Pionowa zmarszczka przecięła mu czoło. Milczał chwilę, a potem powiedział cicho do Sotiona:

– Biedny chłopiec! Zaniedbałem go ostatnio w nawale innych spraw. Pewno czuł się pokrzywdzony. Ale nigdy nie myślałem, że dopuści się zdrady...

Minął jeszcze jeden ciężki dzień. Rzymianie nie rozpoczynali ataku. Widocznie uważali, że szkoda choćby jednego żołnierza i jednej strzały, by walczyć z gladiatorami. I tak odniosą całkowite, bezkrwawe zwycięstwo. Jeszcze tylko dzień lub dwa.

Niektórzy z powstańców leżeli jak martwi pod ścianami szałasów, obojętni i apatyczni, inni zaczęli szeptać i naradzać się między sobą. Oczy lśniły im gorączką, popękane, czarne wargi ledwo wypuszczały pojedyncze, ostre słowa. Wreszcie dziesięciu delegatów wybrało się do namiotu Spartakusa. Najśmielszy z nich, wielokrotny zwycięzca areny, ciemnoskóry Bato, wystąpił na czele delegacji:

– Wodzu, chcemy się bić. Nie będziemy tu konać z pragnienia. Gladiator może umierać tylko w walce.

Spartakus patrzył na nich uważnie. Szerniałe, obrośnięte twarze, obciążone spierzchniętą skórą, były zacięte i złe. Oczy płonęły jak u wilków.

– Dobrze. Będziemy się bić, chłopcy. Patrzcie, chmury zaciągają niebo od zachodu. Może w nocy spadnie deszcz. Może też nadciągnie odsiecz. Wydam rozkazy oficerom, o świcie uderzymy. A teraz idźcie odpoczywać.

Jakiś czas obóz rozbrzmiewał stłumionym gwarem i szczękiem broni. Żołnierze czyścili miecze, naprawiali tarcze, ostrzyli noże. Potem chwilowe podniecenie minęło. I znów cisza legła nad znękanymi ludźmi. Wieczór był pochmurny, bezksiężycowy. I przyszła taka sama noc, ale nie spadł upragniony deszcz. Porywisty wiatr pogałał chmury na wschód jak zły pies stado baranów. Szarpał namiotami i szałasami i wysuszał wyschnięte ciała. Nikt nie spał, ale też nikt się nie odzywał. Milczące straże co pewien czas zmieniały się przy ścieżce.

Spartakus wyszedł przed namiot. Serce jak głaz ciążyło mu w piersi. Brzemieniem ponad siły zwała się na niego odpowiedzialność za tych ludzi. Dlaczego odważył się na czyn tak szalony? Zawiódł się w swoich rachubach i obliczeniach. Na śmierć musi wysłać dobrych i dzielnych, kochających go chłopców.

„Przeliczyłeś się, wodzu, przeliczyłeś – urągał w duszy jakiś nieustanny głos. – Czyż naprawdę nie ma innego wyjścia, tylko pchnąć w nienawistną, niesytą krwi rzymską gardziel tę ofiarę z dwustu dzielnych? Gdyby tak znaleźć inną drogę z tej przeklętej góry... Gdyby tak mieć mocne liny!...”

Pochylił głowę na piersi i splótł silnie dłonie, aż zatrzęszczały w stawach. I w tej samej chwili dziecinny głos pisnął mu nad uchem:

– Carissime doctor, już jestem...

Spartakus podniósł oczy. Przed nim stał Kalias. Dwa skórzane worki przewieszane przez ramię zabulgotały. Tak przemawia woda.

– Kaliasie, skąd ty?!

– Wodzu – zaczął chłopak z podnieceniem – zeszłej nocy spuściłem się z góry, ot tam, z tej najbardziej spadzistej strony, czepiałem się gałęzi i było wygodnie jak po drabinie... Pobiegłem do pasterzy, którzy tu pasą niedaleko stada owiec Krassusa... Opowiedziałem o nas... Obiecali pomoc na jutrzejszą noc. Słyszeli, że zbuntowały się szkoły w Noli i Nucerii. Biją się i podążają w naszą stronę... Jutro powinni tu być. A wśród pasterzy znalazłem Kastora i Polluksa. Już są zdrowi... Kastor zawrócił wtedy do Kapui i w szkole znalazł ранego Polluksa... To Herman chciał go zabić...

Kalias wyrzucił te nowiny jednym tchem i zamilkł.

Spartakus chwycił go w ramiona.

– Synu mój, a ja cię tak strasznie posądziłem!...

Chłopak załkał ze wzruszenia.

– Myślałem o tym, ale bałem się... gdy powiem, to mnie nie puścicie...

Spartakus wyciągnął trąbkę z namiotu i podał mu.

– Wołaj wszystkich... Na zwycięstwo!...

Gładiatorzy z pośpiechem wybiegli z namiotów, chwytając broń i tarcze. Czyżby atak Rzymian? To gra trąbka wodza. I wyniosła postać Spartaka bieje przed namiotem.

Gdy ustawili się wokół, Spartakus opowiedział o wycieczce Kaliasa. Onieśmielony chłopiec schował się za jego plecy.

– Pokaż się, Kaliasie, zuch jesteś! Prawdziwy gladiator! – wołano zewsząd.

Spartakus odwrócił się i położył mocarną pięść na ramieniu chłopca.

– Od dziś będziesz pełnił służbę przy mnie, Kaliasie. Nie rozstaniemy się nigdy, co?

Kalias przełknął ślinę, ale nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego wzruszeniem gardła.

Z gromadki gladiatorów wysunął się naprzód oficer oddziału Polluksa.

– Przebacz mi, chłopcze. Herman powiedział, że szpiclowałeś w szkole Batiatusa i doniosłeś mu o naszym spisku. Nie wiedziałem czy mu wierzyć, ale straciłem dla ciebie serce...

Oficer uściskał mu mocno dłoń. Kalias aż zbladł od tego uścisku. Co za szczęście, że dopiero szary świt, to nikt nie zauważył.

Gdy umilkł już gwar głosów komentujących doniosłe nowiny, Spartakus podniósł rękę. Był to znak, że jeszcze chce mówić. Uciszyli się natychmiast!

– Słuchajcie, towarzysze, wyprawa chłopca nasuwa mi wspaniałą myśl. Widzicie te winorośle wokół? Natniemy ich i spleciemy drabiny... Sprawimy Rzymianom niespodziankę... A teraz jeszcze jedno. Kalias przyniósł dwa juki wody. Dla wszystkich nie starczy... Po małym kubku dostaną choroby i najsłabsi. Dowódcy niech sprawdzą w swoich grupach i wyznaczą kandydatów...

Następna noc nadchodziła jeszcze chmurniejsza i czarniejsza od poprzedniej. Wiatr chwilami przycichał, by zerwać się potem z podwójną gwałtownością. Obóz rzymski układał się leniwie do snu. Żołnierze rozpróżniaczyli się bezczynności. Niedbale spełniali rozkazy, grali całe dni w kości, wcześniej chodzili spać. Zniechęcenie i złość wybuchały w ciągłych kłótniach i burdach. Na jakąż wojnę ich pognano? Przeciw garstce wyrzutków, którzy zdychają tam pod niebem z głodu i pragnienia. Czy długo mają czekać, aż tamci wymrą?

Gajusz Klaudiusz Glaber, propretor i dowódca trzytysięcznej armii, niechętnie przyjął wydane przez senat polecenie zlikwidowania buntu gladiatorów. Hańba to dla

starego rzymskiego wojownika gonić te dwie setki bydła z aren. Niesławna będzie bitwa i niesławne zwycięstwo. Czyż nie lepiej uniknąć bitwy? Niech oni tam wyzdychają, nie warto się spieszyć. A podobno i w innych szkołach też doszło do rozruchów. Rozprawić się z tymi – senat pošle gdzie indziej. Nie, stanowczo nie warto się spieszyć. Propretor Glaber nie będzie maczać swego miecza, okrytego chwałą w wojnach z Mitrydatesem w Azji, z Sertoriuszem w Hiszpanii, w posoce tej plugawej zbieraniny zegnanej z różnych krańców świata.

Ale coś Jowisz przychylny zawsze Rzymianom, zdaje się, odwraca swe boskie lica. Niebo się chmurzy obiecując deszcz. Czyżby ostatnia ofiara złożona Jowiszowi nie była skuteczna? Może nieprawidłowo przecięto gardziel wołu, może on, Glaber, pomylił się w słowach modlitwy? A może Jowisz rozgniewał się, że wół był za chudy, a nawet trochę chory? Nie opłaci się oszczędzać, gdy się zabiega o przychylność bogów. Nie tacy naiwni ci bogowie, nie zawsze dadzą okpić się byle jaką ofiarą.

Oficerowie dziś donieśli, że legionieści sarkają i pragną bitwy. Może się zdecydować na atak przed deszczem? Niestety, kalendarz wskazuje feralny „czarny dzień” – dzień parzysty. A czy którykolwiek prawdziwy Rzymianin może rozpocząć ważną sprawę w feralny dzień parzysty? Propretor Glaber źle czuje się w swoim namiocie. Dręczące myśli niby erynie nie dają spokoju, nie pozwalają usiedzieć w miejscu. Wreszcie oznajmia, że po jutrzejszych porannych wróżbach wyznaczy termin natarcia. A dziś rozkazuje wydać żołnierzom dodatkową miarkę wina. Legionieści wiwatują na jego cześć.

Propretor zasłania ciężką kotarą wejście do swego namiotu. Wyciąga amforę mocnego, kampańskiego wina i srebrny puchar. Przeklęta służba. To ten podlec Krassus podszeptał w senacie, by właśnie jego wyznaczyć na ten niezaszczytny odcinek. Zemścił się za „Sekatora”. Po pijanemu wymknęło się Glaberowi to przezwisko na ucztę u Waryniusza. Donieśli przyjaciele... Glaber duszkiem wypija dwa puchary. I potem z wściekłością rzuca puchar na ziemię, a sam wali się bezwładnie na łożę pokryte wilczą skórą.

Chrapie. Chrapie też cały obóz rzymski. Nieliczne straże nawołują się przeciągle. Niemila noc. Wietrzna i czarna. W konarach drzew skrzeczą sowy i śmieją się puchacze. A może nie tylko puchacze? I nagle pośrodku tej ciemnej nocy na tyłach obozu niedbale zabezpieczonych i niedbale strzeżonych podnosi się jakiś nieludzki wrzask. To chyba furie spadły z poświstem wichru. Żołnierze osłupiali i nieprzytomni ze snu wyskakują z namiotów. Rzadko który porywa w pośpiechu miecz lub tarczę.

Kto zresztą odważy się wystąpić przeciw mocom nieczystym? Ludzie przecie nie potrafią tak wyc i spadać z nienacka. Nikt się nie broni. Panika ogarnęła najmężniejszych. Pijanego Glabera zadźgali gladiatorzy u wejścia do namiotu.

Kalias po całym obozie rzymskim szukał sprawcy swoich krzywd, Hermana. Ale nie znalazł go. Tylko zdobył dla siebie krótki, o pozłacanej rękojeści miecz i niedużą, lekką tarczę. Żaden pancerz ani hełm nie nadawał się dla niego. Kiedyż wreszcie tak urośnie, że będzie mógł być prawdziwym żołnierzem?

Kilku schwytych do niewoli legionistów rzymskich zeznało, że „German” z Wezuwiusza był u propretora Glabera. Chwalił się, że zniszczył wodę powstańcom. Prosił, by Glaber dał mu wolność. Ale propretor rozgniewał się i powiedział, że zdrajcom wolności dawać nie będzie. I odesłał go pod eskortą do Rzymu.

Olbrzymia zdobycz przypadła zwycięzcom. Całkowite uzbrojenie otrzymali wszyscy: gladiatorzy z Wezuwiusza i pasterze zbiegli od swoich trzód, i „wolni z pól”, którzy przybyli gromadnie, i gladiatorzy ze szkół z Noli i Nucerii.

Bogato zaopatrzony obóz pozwalał dłuższy czas nie troszczyć się o żywność.

Wojsko Spartaka liczyło wieczorem tego dnia ponad trzy tysiące głów.

Było między nimi dużo Celtów i Germanów – ci wydzieliли się od razu w oddzielne grupy. Dowódcą Celtów został gladiator z Kapui, Kriksos, dzielny i nieustraszony wojownik, ale mający w sobie dużo cech barbarzyńskich – gwałtowność i lekkomyślność, zamiłowanie do świecideł i hałaśliwych zabaw, próżność i okrucieństwo. Młodszy od niego wódz Kastus, również Celt, był człowiekiem o niezwykle prawym charakterze, ale uparty i ambitny. Wodzowie ci mieli się stać powodem niejednej ciężkiej zgrzyoty Spartakusa, przyczyną wielkich niepowodzeń.

Na razie wśród dowódców panowała zgoda i przyjaźń.



DROGA ZWYCIĘSTW

Kalias czuł się prawie szczęśliwy. Wrócili kochani, dobrzy przyjaciele Kastor i Polluks. Wśród gladiatorów z Noli spotkał starego znajomego, Gannikusa. Chłopiec stał na placu ćwiczeń i przyglądał się żołnierzom rzucającym do celu oszczepy, gdy nagle ktoś pociągnął go z tyłu za włosy. Odwrócił się rozgniewany, by rozprawić się ze śmiałkiem, i ujrzał przed sobą Gannikusa.

– Salve! – zawołał ten wesoło. – I ty tutaj, Kaliasie?

– I ja – odparł dumnie chłopak. – Nie ukrzyżowali ciebie po złapaniu tam w gaju, gdzieście piekli mięso? – zapytał dziecinnie.

– Widzisz przecież, że nie – roześmiał się znowu Gannikus – bo mnie tam wcale nie złapali. Wsiąłem dopiero w Nucerii. Nie skazali na krzyż, tylko do szkoły gladiatorskiej, i mądrze zrobili. Dwustu chłopców w szkole przekonałem, że nie warto umierać dla zabawy Rzymian, i tu ich przyprowadziłem. A skąd ty wiesz, że mnie tam ścigali?

Kalias opowiedział o swojej wędrówce, o szkole Batiatusa, o buncie i o przybyciu na Wezuwiusz. I o tym, jacy to nadzwyczajni przyjaciele, Kastor i Polluks.

Gannikus słuchał uważnie.

– Wspaniały chłop ten wasz Spartakus. Nie dziw, że pod jego okiem mogła powstać taka szkoła. A ja tak się uczyć chciałem... żeby choć umieć napisać swoje imię i parę słów... ale teraz – zakończył z westchnieniem – gdzie myśleć o nauce... Wśród szczęku broni milczą muzy, jak mówi przysłowie rzymskie...

– Wiesz, przychodź po służbie do naszego namiotu, to obok namiotu Spartaka, my trzej: ja, Kastor i Polluks pełnimy służbę przy wodzu – wyjaśnił Kalias z dumą, widząc zdziwienie Gannikusa. – Zachowała się przypadkiem moja tabliczka jeszcze ze szkoły Batiatusa. Pokażemy ci nauczysz się.

Czasu na naukę czytania i pisania rzeczywiście nie starczało. Każdy, ktokolwiek umiał obchodzić się z mieczem, szkolił zastępy niewprawnych, ale chętnych pasterzy i „wolnych z pól”. Musztra i ćwiczenia z bronią zajmowały cały dzień. A spieszyć się trzeba było, bo krążyły wieści, że senat rzymski pospiesznie organizuje legion wojska, który lada dzień wyruszy przeciw powstańcom. Spartakus całe dni spędzał wśród żołnierzy. Uczył, tłumaczył, upominał. Chciał z tych niesfornych, dzikich band stworzyć prawdziwe wojsko, mogące stawić czoło potędze Rzymu. Jego jasne, proste słowa padały jak pełne ziarna na urodzajną glebę. Do prostych, nieskomplikowanych

dusz wydziedziczonych docierały po raz pierwszy słowa: wolność, sprawiedliwość. I znajdowały zrozumienie. To nie tylko zemsta na wrogu, to święta sprawa wszystkich skrzywdzonych, za których oni stoczą bój z Rzymem. I zwyciężą. Muszą zwyciężyć, bo za nimi staną wszyscy, którym panowanie Rzymian narzuciło kajdany, muszą tylko zjednoczyć się we wspólnym wysiłku, działać i myśleć, jak jedna rodzina.

Codziennie przybywali nowi zbiegowie z okolic. I wszyscy donosili, że Rzym zbroi się, że w pośpiechu sformowany legion jest już w drodze. Spartakus wysłał swoich gońców na zwiady. Nie chciał, by go Rzymianie zaskoczyli zniemacka. Kalias prosił, by wódz zwolnił go na kilka dni lub wysłał razem z oddziałkiem zwiadowców. Pragnął rozpocząć poszukiwania matki.

Spartakus namyślał się chwilę, nim odpowiedział:

– Widzisz, Kaliasie, jeśli pójdziesz z oddziałem, to będziesz przeszkadzał w spełnianiu zadania, gdy będziesz chciał jednocześnie szukać matki. Jeśli pójdziesz sam, to zginiesz. W miastach zdwojone straże, na drogach oddziały żołnierzy rzymskich. Bez sądu krzyżują wszystkich złapanych, podejrzanych o przekradanie się do nas. Bądź jeszcze trochę cierpliwy. Mój drogi – zakończył ze smutnym uśmiechem, który zmiękczył jego twarde rysy – ja też mam kogoś szukać... Żona i synek są w Neapolu... nie widziałem ich już kilka lat i nie wiem, co się teraz z nimi dzieje...

Kalias skłonił się i cicho wyszedł z namiotu. Dręczyły go wyrzuty i niepokój. Czy wolno w takich ważnych chwilach myśleć o sobie? Ale czy można nie myśleć?...

* * *

Wykwintny elegant, pretor Publiusz Waryniusz, który otrzymał od senatu pełnomocnictwo i dowództwo nad wojskiem dla zdławienia powstania, lekcewał przeciwnika. Wystarczy jeden oddział jego dzielnych żołnierzy, by rozpędzić tę zbieraninę niewolniczą, uzbrojoną w kije i wiklinowe kosze, głodną i bosą. Nie chcąc psuć sobie przyjemnego wypoczynku pod Neapolem, gdzie rozłożył się obozem, wysłał przeciw buntownikom dwa tysiące legionistów pod wodzą swego legata, Furiusa. Żołnierze Furiusa – w przeciwieństwie do reszty legionu Waryniusza, który składał się w większości z młodych, dopiero co do wojska powołanych chłopców – byli to weterani wojen hiszpańskich, żołnierze wypróbowani, niezawodni w natarciu.

Czterdziestoletni, silnej budowy, o posiwiałych skroniach eques romanus, legat Furius był znakomitym dowódcą. Z niejednej ciężkiej opresji potrafił wyprowadzić swoich wiernych legionistów. Był bezwzględny w walce. Nie cenił swego życia, ale też

nie popuszczał cugli żołnierzom. I może dlatego zawsze zwyciężał. Sławę Rzymu niósł na ostrzu swego długiego i prostego miecza. Jednakże rozkaz o wyruszeniu przeciw gladiatorom przyjął niechętnie. On, który nigdy, nawet wysyłany na najniebezpieczniejsze stanowiska, nie sprzeciwiał się, prosił Warynusza o cofnięcie go z tej misji. Poniżył się do prośby. A Warynusz rzucił mu wtedy w twarz obelgę:

– Co, boisz się gladiatorów?

Furius zadławił się zniewagą jak ością rybią. Poczerwieniał, żyły na szyi nabrzmiały fioletowo, zakaszłał i wyszedł z namiotu. Tylko latami nabyta karność powstrzymała go od rzucenia się na pretora. Przyczyny dziwnej prośby nie umiał i nie chciał tłumaczyć. Czarne jak gradowa chmura myśli otaczały jego głowę, gdy dosiadał konia. Ci, wyjęci spod praw, słusznie porwali się do walki. Czyż mógł to powiedzieć Warynuszowi? Czy człowiek powinien uciskać drugiego i być jego panem? Podobno w złotym wieku ludzkości wszyscy byli sobie równi – dlaczego przypadło mu żyć w haniebnym wieku żelaznym? Niejedną buntowniczą myśl musiał tłumić legat w zarodku, niejedną raz dręczyły go pytania, na które nie znajdował odpowiedzi. Kazali walczyć, zabijać i zdobywać dla sławy Rzymu – Furius szedł, walczył, zabijał, ale nieszczęście i złe myśli szły za nim w ślad. I tak już trwało cztery lata. Cztery lata minęły, odkąd piraci porwali w Balae jego szesnastoletniego syna, zdolnego, ukochanego Tytusa. I od tej chwili w każdej twarzy niewolnika i gladiatora widział nieszczęśliwy ojciec swego syna. Wiedział, że to tylko urojenie, że chłopiec został wywieziony gdzieś do portów azjatyckich czy afrykańskich, że może pod pokładem jakiegoś statku przykuty łańcuchem porusza wiosła lub bawi pospólstwo walką na arenie czy też pod batem decuriona wylewa pot na polach pszenicznych. Odtąd los niewolników wzruszał go i niepokoił. Nie uderzył żadnego ze swoich niewolników, nie karał za przewinienia. Ale czyż jego łagodność nie była kroplą w morzu krzywd? A teraz musi na rozkaz iść i zabijać takich samych nieszczęśników jak jego syn.

Legioniści, podobnie jak ich dowódca, ponuro przyjęli rozkaz wymarszu. Ta walka nie przyniesie im ani sławy, ani korzyści.

Długim węzłem wyciągnął się oddział na drodze. Podobno Spartakus ucieka ze swymi na południe. Dogonią ich i rozpędzą. Może na widok regularnego wojska banda rozbiegnie się, że nawet miecza z pochwy nie trzeba będzie wyciągać.

Wódz powstańców rzeczywiście zarządził odmarsz. Stanowisko pod Wezuwuszem nie było dogodnie do walki, Spartakus nie chciał czekać na wroga i bronić się, wolał go zaskoczyć i atakować.

Po dwudniowym spiesznym marszu znalazł odpowiednie miejsce do ataku. Okrągłe pagórki z lejowatymi wgłębieniami, pośrodku zarośnięte bujną płataniną dzikich róż, oleandrów i opuncji, mogły doskonale ukryć i zamaskować większą liczbę wojska. Poza pagórkami znajdowały się stare gaje oliwne, gdzie ukryła się również znaczna część powstańców. Spartakus usunął się nieco na lewo i zajął największe, pagórkowate wzniesienie. Rozkazał sklecić naprędce dużo i byle jakich szałasów i namiotów. Byli tu widoczni ze wszystkich stron. Pod wzgórzem o jakie dwa stadiony, oddzielona wąskim strumieniem, znajdowała się prostokątna polanka – wymarzone miejsce na założenie obozu. Rzymianie zapewne zechcą przed wydaniem bitwy odpocząć po spiesznym marszu, zajmą polankę, a wtedy powstańcy, ukryci w gajach, zajdą im tyły. Uwaga Rzymian skupi się na obozie powstańców, nie będą podejrzewać, że kolczaste opuncje kryją jakąś niespodziankę.

* * *

Wojsko rzymskie nadciągnęło następnego dnia. Dochodziło południe. Legioniści maszerowali wolno, znużeni upałem i dźwiganiem ciężkiego ekwipunku. Bo nie lada sprzęt wojenny obciążał każdego wojaka: dzida i tarcza podłużna, z obu boków przywiązana broń sieczna, piłą, koszyk, rydel, siekiera, wiązka rzemieni, sierp, łańcuch i porcja żywności na trzy dni*. [*Takie uzbrojenie rzymskiego legionisty opisuje Józef Flawiusz, historyk żydowski (żył 37-100 r. n.e.).]

Furius zarządził postój. Nie zsiadając z konia, w asyście dwóch oficerów podjechał na brzeg strumienia. Obóz powstańczy leżał przed nim jak na dłoni. Nie trzeba było długo obserwować. Legat spojrział i roześmiał się. Jak echo zawtórowali mu oficerowie. Obóz powstańczy wyglądał jak koczowisko licznej włóczęgowskiej bandy. Przed szałasami kręciły się rozczochrane kobiety, na wpół ubrane dzieci, nieuzbrojeni mężczyźni. Niektórzy, przysłoniwszy oczy rękoma, patrzyli w stronę Rzymian. Krzyczeli coś, zagłuszając chwilami głos fletów i hałaśliwą muzykę jakichś barbarzyńskich instrumentów. Między ludźmi wałęsały się psy, chuda kobieta okładała kijem wrywającego się chłopaka. Ciekawe tylko, że ta banda nie zdradzała zbyt dużego lęku. Czyż liczą na chyżość swoich nóg? Pewno spodziewają się, że Rzymianie teraz nie uderzą, myślą uciec pod osłoną nocy. Furius przez chwilę zawahał się: czy nie należy od razu uderzyć i rozpedzić tej niezorganizowanej bandy? Powoli zawrócił w stronę czekających żołnierzy. Legioniści wyprężyli się w szeregach. Patrzyli wyczekująco na wodza. Zmęczone, ogorzone twarze spływały potem. Nie ulegało

wątpliwości: przede wszystkim muszą odpocząć. Furius wydał rozkaz rozbicia obozu. Legioniści z okrzykiem radości złożyli broń i zapasy żywności. Niektórzy z kubkami i butelkami podbiegli nad strumień, inni chwyciwszy rydle i łańcuchy zaczęli wytyczać plac.

Nagle ostre gwizdy świdrujące uszy rozległy się ze wszystkich stron. Na ten sygnał, jak spod ziemi, zaczęli wyskakiwać z małych krzaczków na wzgórzach ukryci powstańcy. W biegu spadały z nich gałęzie i liście, którymi byli okryci. Z szałasów wybiegli również uzbrojeni wojownicy. Zasypali Rzymian kamieniami i oszczepami, które rzucali celnie. Legioniści, rozproszeni po całym placu, w pośpiechu porwali broń, wydzierając sobie wzajemnie miecze i tarcze. W zgiełku i zamieszaniu nie słychać było trąbek wodza, które wzywały do skupienia się wokół niego. Konie z kwikiem przeraźliwym rozbiegły się tratując wszystkich po drodze. Jęki i wrzaski pierwszych rannych powiększyły grozę sytuacji. Zaledwie garstka najprzytomniejszych skupiła się przy wodzu. Reszta, rzucając tarcze i hełmy, zawróciła na dopiero niedawno przebytą drogę. A wtedy z gajów oliwnych wyskoczyły dzikie postacie i przecięły odwrót. Walka kończyła się, rozpoczęła się bezlitosna rzeź.

Furius postanowił drogo sprzedać swoje życie. Nieliczna garstka, która skupiła się wokół niego, walczyła dzielnie przeciw przeważającym siłom. Słabli jednak i padali jak młode drzewa pod pięścią huraganu. Oto młodzieńcy Lucjusz wypuścił już miecz z ręki, oto wierny przyjaciel Sekstus ranny w nogi, klęcząc, zadaje ostatnie ciosy. Furius czuje, że to niedługo już. Z kilku lekkich, ale dokuczliwych ran na piersiach ciekną wąskie strumyki krwi i spływają po udach. Banda napiera na niego uparcie. Nic to, że położył kilku śmiałków. Jemu sił nie przybywa, a tu jednak następują inni. Niby przez mgłę widzi w tłumie młodzieńcą, niezapomnianą twarz Tytusa. Chce krzyknąć, zawołać na niego, ale zdaje sobie sprawę z niedorzeczności przywidzenia. Wtem przez tłum nacierających przedarł się mąż silnej budowy, w pysznym, gladiatorskim stroju, wyróżniający się wzrostem i budową, o prostych, jakby z granitu wykutych rysach. Krzyknął coś i Furius ze zdumieniem spostrzegł, że plac boju wokół niego opustoszał.

– Spartakus będzie walczył z nim! – krzyknął ktoś. „Ach, więc to ten” – pomyślał mgliście Furius.

– Poddaj się – powiedział gladiator.

Furius milczał. Pierś podniosła mu się mocniejszym oddechem. Na białej tunice pojawiły się większe niż poprzednio, czerwone plamy.

– Poddaj się – powtórzył Spartakus.

– Nigdy! – krzyknął rwącym się głosem legat. – Nigdy!

– A więc – odpowiedział spokojnie Spartakus – godzien jesteś, by zginąć w walce... Może ty jeden z całej armii rzymskiej... Broń się...

Skrzyżowały się miecze. Niedawni napastnicy otoczyli kołem pojedynkujących się. Ostrza jak smugi błyskawic migały w oczach patrzących. Potężny gladiator walczył po mistrzowsku. Lekkie, szybkie ruchy jego miecza, nieuchwytnie niemal dla oczu, odbijały najbardziej wyszukane, nielicznym szermierzom znane ciosy rzymskiego rycerza. I naraz Furius zrozumiał, że wróg ma nad nim ogromną przewagę – nie tylko siły, lecz i zręczności. Po co przedłużać ten popis? Furius zaatakował wściekle. I nim pojął, co się stało, miecz jego zawarczał i przeleciał półkolem ponad głowami patrzących.

Furius przymknął powieki, ciężko dysząc. Lekki wiatr musnął rozpalone skronie. Może to łagodne skrzydła śmierci-wybawicielki? Czekał. Uderzenie nie przychodziło. Zdumiał się i spojrzał. Wódz powstańczy opuścił swój miecz ku ziemi, oparł się na rękojeści i uśmiechając się życzliwie, patrzył na legata.

– Poddaj się – szepnął cicho po raz trzeci.

Gdy Furius poruszył przecząco głową, Spartakus skinął na swoich. Zrozumieli i bez słowa podali Rzymianinowi miecz. Gladiator czekał.

– Kończ – poprosił Furius zbielełymi wargami.

Spartakus odpowiedział krótko:

– Dobrze.

Miecze skrzyżowały się jeszcze raz. Ostatni. Furius padł. Z głębokiej rany na barku jak ze źródła trysnęła krew. Nad leżącym pochylił się Sotion, który wysunął się z tłumu.

* * *

Zaledwie kilkunastu zwiastunów klęski zdołało przedrzeć się do Waryniusza. Donieśli, że powstańcy wzięli dużo jeńców. Pretor zarządził, by większy oddział pod wodzą Cossiniusa ruszył natychmiast z odsieczą.

Publiusz Cossinius lubił wygodne życie. Tylko przypadek zrządził, że został żołnierzem. Gdyby nie powstanie niewolników, na pewno nie opuściłby swojej luksusowej insuli w Rzymie. Zawsze umiał wykręcić się od nudnej i przykrew służby wojskowej, ale tym razem nie udało się. Gladiatory podnieśli rokosz akurat w momencie, gdy Rzym był prawie pozbawiony obrony wewnętrznej. Legiony walczyły

poza granicami kraju w dalekiej Hiszpanii i Azji Mniejszej. A tu trzeba zapobiec szerzeniu się buntu. Trzeba było przyjąć wezwanie senatu i wyrzec się rozkoszy życia miejskiego. Późnym wieczorem wojsko dotarło do małej wioski Salinae, gdzie wódz wydał rozkaz zatrzymania się na nocleg. Niedobitki z legii Furiusa twierdziły, że wojsko Spartaka znajduje się zaledwie o kilka godzin marszu, niedaleko Pompei. Miasto przysłało gońca – zawiadamia, że zamknęło bramy i nie spodziewa się, by powstańcy chcieli je zdobyć. Wydaje się, że wódz gladiatorów upojony zwycięstwem pragnie odpocząć ze swoją bandą.

Cossinius zarządził wcześniejsze udanie się na spoczynek. Przed świtem mieli wyruszyć na spotkanie buntowników.

Powoli cisza ogarniała prowizoryczny obóz. Żołnierze układali się do snu. Podoficerowie rozstawiali warty.

Tylko wokoło namiotu wodza ruch panował jeszcze ożywiony. Zmęczony upalnym dniem i jazdą Cossinius rozkazał przygotować sobie wonną, ciepłą kąpiel. Balneatorzy i pielęgniarze wydobyli z taboru wodza potrzebne olejki i prześcieradła. Wreszcie wanna gotowa – lekarz grecki sprawdza ciepłość, rozciera na rękę kroplę wody, wacha, czy zapach nardu jest dostatecznie silny i daje przyzwalający ruch ręką.

Dostojny Cossinius zrzuca tunikę na ręce Greka i pogrąża się w cudownej kąpeli. Niewolnicy czekają w skupieniu. Pan dziś gniewny, więc dopóki sen nie zamknie jego powiek, dotąd lęk trzyma w napięciu nerwy sług.

Nagle przeraźliwe i trwożne głosy trąb podrywają czuwających i śpiących. Straszliwy wrzask jak ryk burzy morskiej paraliżuje na chwilę serca. Czy huragan zerwał namioty, czy może trzęsienie ziemi? Usypiający obóz porywa się na nogi. Za późno. Jak stado zgłodniałych sępów walą się na nich masy powstańców. Obrona jest trudna. Siły wroga przeważające.

Spracowane ręce niewolników, ręce, które lata całe żęły dojrzałe łany pańskie, które ścinały dojrzałe kiście winogron, dziś po raz wtóry tną szlachetniejszy plon – niezwalczone, dumne wojska wiecznego miasta.

I – o hańbo z hańb największa! Legioniści rzucają broń i masowo się poddają. Zaciężni żołnierze z obcych krajów krzyczą w swoich ojczystych językach – tych niewolnicy oszczędzają. Wielu szuka ratunku w ucieczce. Noc im sprzyja.

Cossinius zdążył zaledwie narzucić tunikę na mokre ciało i chwycić miecz, gdy zwała się na niego gromada wrogów. Oparł się mocno o drążek namiotu i rozpoczął nierówną walkę. Zdumienie i rozpacz przemieniły się we wściekłość. Wytluc jak

najwięcej tego plugastwa. Wykwintnego patrycjusza mierzyła jedna wstrząsająca myśl – oto ginąć mu przyszło z rąk tej obmierzłej bandy, którą najbardziej pogardzał. Zginąć jak pies rozszarpany przez zgraję wilków. Gdzieś w piersi zadrgał żal za życiem, które odchodzi. W krótkim olśnieniu jak w świetle błyskawicy ujrzał swój wspaniały pałac, pełen marmurów i złota, składy doborowych win i stajnie pełne rasowych koni. Czerwona płachta przesłoniła mu oczy. To krew. Krew płynąca strugami z pleców katowanych niewolników.

– Za naszą krew zapłacisz swoją krwią! – krzyknął mu w twarz przed śmiercią, skazany na ukrzyżowanie, Bukolos.

I oto teraz płaci.

* * *

Było to drugie wielkie zwycięstwo tego samego dnia. Upojeni radością zwycięzcy nie myśleli o spoczynku. Wiwatowali i ucztowali. Każdy już zdobył dobre uzbrojenie. Niedawna zbieranina, gdzie zaledwie co trzeci czy czwarty posiadał jaki taki sprzęt wojenny, zmieniła się w dobrze zaopatrzone wojsko. Spartakus surowo nakazał udanie się na spoczynek, zapowiadając, że następnego dnia wyruszą przeciw Waryniuszowi. Ryk zapалу powitał tę zapowiedź.

Spartakus nie zamierzał jednak stoczyć walnej rozprawy z Waryniuszem. Rozumiejąc, że jego oddziały nie sprostają przeważającym siłom rzymskim, nieuchwytny, a ciągle bliski, to cofał się przed dążącym do starcia Waryniuszem, to zaskakiwał go z boków, to szedł jego śladami. Drobnymi potyczkami nużył ich i zniechęcał, podrywał zaufanie legionistów do swego wodza. Okoliczności były dla niego pomyślne – swoje ruchliwe oddziały nieobarczone zbędnym balastem ekwipunku żołnierskiego, jaki posiadali Rzymianie, przerzucał z łatwością z miejsca na miejsce, zawsze ostrzeżony na czas i dokładnie informowany o ruchach wojsk Waryniusza przez wrogą Rzymowi ludność miejscową. Wiedział jednak, że decydująca bitwa jest nieunikniona – trzeba było zaczekać na szczęśliwy moment i uderzyć zniemacka.

* * *

Przed świtem trzech ludzi wyjechało z obozu. Byli to Kastor, Polluks i Kalias. Spartakus, choć niechętnie, zgodził się na udział Kaliasa w patrolu. Przywiązał się bardzo do tego chłopca i nie chciał go narażać na niespodzianki rzymskich dróg. Ale

Kalias usłyszawszy, że patrol jedzie pod Neapol, nie mógł usiedzieć na miejscu. Błagał Sotiona o wstawiennictwo.

Wkrótce po nich ruszyło całe wojsko.

Chłopcy jechali rażno, pełni radości i humoru. Opowiadali sobie wczorajsze przeżycia z walki. Nawet Kastor rozruszał się i opowiadał, jak to rzuciło się na niego od razu czterech legionistów i gdyby nie pomoc Polluksa, kto wie, czy teraz siedziałby tak spokojnie na koniu i gryzł placek. Kalias zląkł się, że przy sukcesach przyjaciół zbledną jego czyny, więc po raz drugi zaczął o tym, jak to wziął do niewoli dwóch Rzymian. Polluks mrugnął w stronę Kastora i powiedział poważnie:

– Spartakus już nam obiecał, że podczas następnej bitwy będziesz przy Sotionie. Ażebyś nie próbował uciec, przywiążę cię za kostkę do ręki Sotiona.

Kalias aż zbladł z oburzenia i zawołał gwałtownie:

– Rzemień przegryzę i pójdę za wami... ja... ja!... – i gniew nie pozwolił mu mówić dalej.

– Kaliasie, w każdej bitwie można zostać rannym, a nawet zabitym. Jeszcze zdążysz posmakować wojny. Masz przecie dopiero trzynaście lat.

– Zacząłem czternasty – odparł chmurnie chłopiec i, uderzywszy konia piętami, pogalopował naprzód. Przyjaciele spojrzeli na siebie i roześmieli się.

Droga przed nimi była pusta. Gdzieniedzie za płotem czy wśród krzewów ukazywała się wystraszona twarz wieśniaka, patrzyły ciekawe oczy, ale nikły przy zbliżaniu się. Jeźdźcy w strojach rzymskich nie budzili zaufania.

– Biorą nas za legionistów, czemuśmy nie założyli naszych gladiatorских szyszaków? – zafrasował się Polluks. – Nie uda nam się zasięgnąć wiadomości od nich.

– Mam pióropusz – odpowiedział Kalias i z torby wyciągnął wspaniały pęk piór. – Chcesz?

Pióropusz wywarł pożądaný skutek. Wkrótce spotkali starego pasterza, niewolnika, który na ich widok odsłonił w uśmiechu bezzębne dziąsła.

– Witajcie, ptaki wolności! – zawołał drżącym głosem. – Przeżyłem wiek w niewoli, może choć umrę wolny!

Chętnie udzielił wskazówek. Droga dalej jest wolna, bo, jak wiadomo, wojska Waryniusza po kilku nieszczęśliwych spotkaniach z oddziałami powstańców cofnęły się na północ. Niech się Spartakus spieszy, bo gotowi uciec do Rzymu. Warsztaty tkackie Krassusa są stąd niedaleko. Podobno wczoraj wybuchł tam bunt. Więcej już

nic nie wie.

Zaniepokojeni pomknęli galopem. Dawny humor gdzieś znikł. Serce Kaliasa tłukło się niespokojnie. Przeczuwał, że z matką stało się coś strasznego. Przed oczyma migwały krwawe obrazy. Przyjaciele pocieszali go i uspokajali, ale nie słuchał. Pędzili galopem, dopóki konie nie pokryły się pianą. Polluks zarządził postój. Mniejsza o nich, konie jednak muszą odpocząć. Zatrzymali się na niewielkiej łączce pod gajem orzechowym. Puścili konie, by podjadły trochę, a sami rozłożyli się pod krzewami. Nagle zaszeleściły liście w gaju pod tupotem kilkudziesięciu par nóg. Zerwali się wystraszeni, chwytając miecze. Przeciw nim biegła zgraja półnagich i zakrwawionych postaci. Chciwe ręce porwały za grzywy końskie. Kilku mężczyzn uzbrojonych w sękate maczugi rzuciło się ku nim.

– Śmierć Rzymianom! – krzyknął jeden z nich.

– Śmierć! – ryknęła reszta.

Polluks rzucił miecz i, powiewając kitą swego hełmu, zawołał mocno:

– Stać! Stać! My gladiatorzy!

Może nie tyle krzyk, co widok rzuconego miecza zatrzymał na chwilę napastników. Jeden z nich – pewnie przywódca – dał znak ręką. Wszyscy opuścili maczugi ku ziemi.

– Jaki dacie dowód, że nie jesteście Rzymianami? – zapytał groźnie.

– Spójrzcie na nasze przekłute uszy – odpowiedział Polluks.

– Spójrzcie na moje plecy! – zawołał Kalias i jednym ruchem zrzucił tunikę, pokazując różowe pasy – ślady wygojonych ran od kijów.

Niedawni wrogowie otoczyli ich przyjaznym kołem. Polluks opowiedział im o wczorajszych zwycięstwach. Słuchali jak cudownej bajki. Kilku miało łzy w oczach. Pytali, czy mogą zgłosić się do armii Spartaka. Gdy usłyszeli, że nawet dostaną broń, zaczęli jak dzieci tańczyć z radości. Kalias zapytał, skąd idą. Okazało się, że byli to tkacze z warsztatów Krassusa. Cofające się wojska Waryniusza chciały zabrać z sobą wszystkich niewolników, a wtedy oni chwycili za broń. Nieosobliwa była to broń – polana z drewna, kołki z płót, części warsztatów tkackich. Walka niedługo trwała. Garstce udało się przebić i uciec do lasu, reszta wyginęła lub poszła w niewolę.

– Czy w tkalniach pracowały kobiety? – zapytał Kalias.

– Owszem, było dużo. Ale te wysłano wcześniej w stronę Rzymu.

– Czy między kobietami była Greczynka, Arsinoe, która umiała pięknie śpiewać? – głos Kaliasa zadrżał wzruszeniem.

Opowiadający nie wiedział. Z grupy wysunął się chudy, przygarbiony człowiek z okropnym, wypalonym na twarzy piętnem.

– Śpiewała najładniej „Jaskółkę”, prawda? – zapytał po grecku.

– Tak, tak – przyświadczył gorączkowo Kalias. – Taka czarnooka, drobna kobieta.

Greki patrzyli na Kaliasa z uwagą.

– Tyś nawet podobny do niej... a może tyś jej syn? Ona często płakała, że straciła syna... parę razy nadzorca przyłapał ją na płaczu i zbił za to...

Kalias zbladł.

– Czy... czy... mocno ją zbił? – wykrztusił z przerażeniem.

– No nie, mocno nie – odpowiedział chudzielec. – Ani razu po biciu nie leżała chora.

Pożegnali się i ruszyli w dalszą drogę. Tkacze poszli na południe, chłopcy skręcili bardziej w lewo, po tropach wojsk Waryniusza, jak im wskazali tkacze. Wkrótce zobaczyli Neapol. Mienił się bielą marmurowych will i jasną zielenią ogrodów, skąpany w lazurowym powietrzu słonecznego dnia.

Po namyśle zdecydowali, że ominą Neapol i dotrą możliwie najbliżej do tylnych straży wojsk rzymskich. To według objaśnień tkaczy już niedaleko. Jechali teraz ostrożniej, rozglądając się bacznie. Ale spokój dookoła dzwonił tylko trelami skowronków i brzęczeniem pszczół. Żadnej groźby nie kryła w sobie ta jakby uśpiona w słońcu okolica. Opodal Neapolu widniały zgliszcza, nad którymi kołysane wiatrem włóczyły się nikle pióropusze dymu.

– To zakłady tkackie Krassusa – rozpoznał Polluks.

– Podjedziemy tam, dobrze? – poprosił cicho Kalias.

Przyjaciele bez słowa skierowali konie w tamtą stronę. Tkalnie były spalone. Z małego budynku farbiarni, jak krew z rany Giganta, płynęła szerokim łożyskiem czerwona struga farby.

Strzępy wełny pozaczepiane na sznurach łopotały na wietrze. Zdeptane setkami nóg walały się na ziemi kawały różnobarwnych tkanin i skołtunione pasma przędzy. Kalias i Polluks zeskoczyli z koni i poszli w kierunku baraków niewolniczych. Kastor stanął opodal trzymając konie. Baraki były częściowo spalone. Natknęli się jeszcze na inne widome oznaki walki. Ułożone równo, jak sagi drzewa w lesie, leżały na gromadzie trupy. Zaciekawieni podeszli bliżej. Zabici, ze śladami uderzeń i ran zadanych tępych narzędziami, byli przeważnie boso lub w starych, zniszczonych

sandałach żołnierskich, w żołnierskich krótkich tunikach. Obok przygotowany był olbrzymi stos.

– To Rzymianie – poznał Polluks i rozejrzał się niespokojnie wokoło. I w tej chwili z rozwartych drzwi baraków wyskoczyło ku nim kilkunastu uzbrojonych legionistów. Odcięli im drogę od Kastora. Polluks chwycił polano ze stosu, ale tę słabą broń wytrącił mu z ręki mieczem jeden z napastników. Kalias pochwycił mniejsze kawałki drewna i zaczął nimi ciskać z rozpaczą. Żołnierze natarli z wściekłością.

– Żywcem brać! – krzyknął podoficer.

Kastor widząc nieszczęście przyjaciół zawrócił konie i pognął galopem drogą powrotną.

Chłopcy bronili się zażarcie, ale drewna ze stosu ubywało, pozostały już tylko wielkie szczapy, których nie byli zdolni udźwignąć. Żołnierze wydali okrzyk i natarli z wyciągniętymi mieczami. Jednocześnie jakieś ręce chwyciły Polluksa z tyłu za włosy. Padł. Rzemienie skrępowały mu nogi. Polluks spojrział w bok i zobaczył, że dwóch innych legionistów wiąże wrywającego się i kopiącego Kaliasa. Ogromny żal ścisnął go za gardło.

Podoficer rozkazał zawieźć jeńców do Waryniusza.

– Pospieszcie się, może jeszcze ich dogonicie w drodze. Wkrótce podążymy za wami, gdy tylko podpalimy stos.

Skrępowanych umieszczono na koniu i mały orszak ruszył natychmiast w drogę. Pędzili bez wytchnienia kłusem po świeżych śladach przemarszu wojska. Wkrótce dotarli do celu.

Gdy skręcili na lewo i minęli na stokach wzgórz położone winnice, zobaczyli gładką równinę, piaszczystą i szeroką. Wrzały tam gorączkowe prace fortyfikacyjne.

Żołnierze sprawnie i gorliwie okopywali z trzech stron czworobok obozu. Czwarta nie wymagała zabezpieczenia. Tu granicą było morze, spokojne i przezroczyste jak niebo.

Jeńców pospiesznie odwiązano i popędzono na środek placu, gdzie jaśniał już w słońcu wykończony niedawno biały namiot wodza. Inne dopiero ustawiano. Wśród huku młotków i siekier uwijali się zapracowani żołnierze.

Jeden z konwojentów zniknął pod płótnem namiotu. Jeńców otoczyła gromadka ciekawych, trzymali się jednak w pewnym oddaleniu, szepcząc coś między sobą. Kaliasowi drętwiały związane do tyłu ręce, jakby bolesne ukłucia mrówek biegly od dłoni aż do barków. Zagryzł wargi i zapatrzył się na dalekie drzewa na horyzoncie.

Jak długo stali tak pod złośliwymi spojrzeniami gapiów, nie umiałby odpowiedzieć, ale w pewnej chwili usłyszał poza sobą przytłumione szuranie cofających się sandałów, a szepty umilkły. Spojrzał w stronę namiotu – przy wejściu stał wyniosłej postawy mężczyzna, o wygolonej twarzy. Byłby przystojny, gdyby nie szpeciła go wysunięta ku przodowi dolna warga, nadająca mu wyraz zarozumiałości i pychy. Coś ogromnie znajomego uderzyło Kaliasa w całej postaci rzymskiego wodza, aż się zadziwił.

– Kto jesteś? – zapytał ostro wódz zwracając się do Polluksa.

Ten milczał patrząc gdzieś ponad głowy stojących.

– Kto jesteś? – powtórzył jak echo stojący obok wodza oficer.

– Zbuntowany gladiator – odpowiedział dumnie Polluks.

– Jesteś z bandy Spartaka?

– Nie. Jestem z armii Spartaka.

Legioniści stojący obok parsknęli śmiechem, lecz skarceni wzrokiem oficera, umilkli cofając się nieznacznie.

– Ile sztuk liczy banda Spartaka?

Polluks milczał. Zniecierpliwiony wódz szepnął coś do oficera. Ten podbiegł ku jeńcowi i z całej siły trzepnął go w plecy trzymaną w ręku krótką pałeczką okutą metalem.

Polluks stał spokojnie, tylko na bladą twarz wystąpiły krwiste plamy.

– Będiesz mówił? – ryknął wściekle oficer.

– Jeśli nie będziecie mi ubliżać, będę – odpowiedział Polluks.

Nalana twarz wodza skurczyła się od gniewu, ale pohamował się i zapytał:

– Ilu jest zbuntowanych?

– Dwieście tysięcy.

– Co? – zapienił się wódz, a żołnierze śmieli się, zatykając usta kułakami.

– Mówię, że zbuntowanych jest dwieście tysięcy – powtórzył twardo Polluks. –

Tyłu, ilu niewolników jęczy na służbie panów rzymskich.

– Pytam, ilu jest żołnierzy w armii Spartaka – wykrztusił wódz.

– Tego nie powiem – odparł spokojnie Polluks.

– Nie powiesz?! – ryknął oficer i prętem przejechał po głowie Polluksa. – Już my ci otworzymy gębę.

Czerwona pręga ukazała się na policzku gladiatora, a po niej kroplami zaczęła spływać krew.

– Pytaj tego szczeniaka! – zawołał wódz.

Kalias drgnął. Spojrzał na Polluksa. Ten uśmiechnął się. Chłopcu wróciła odwaga.

– Ty kto? – zapytał oficer.

Nim Kalias zdążył otworzyć usta, rozległ się młodzieńczy, pełen szyderstwa wysoki głos:

– To Kalias, zbieg mego stryja.

Przy wejściu do namiotu stał Marek. Urósł i zmężniał. Nie nosił już dziecinnej tuniki. Złośliwie mrużąc oczy, śmiejąc się urągliwie, patrzył na Kaliasa.

Mały jeniec wciągnął więcej powietrza, odetchnął jak człowiek wydobyty z głębokiej studni i wyprężył się.

„A więc to Waryniusz, ojciec Marka. Teraz mogą mnie rozpalonymi hakami szarpać, nie powiem ani słowa” – postanowił w duchu.

Gdy Kalias nie odpowiedział na kilka pytań, oficer zbił go i skopał.

– Poddać torturom i potem ukrzyżować – rozkazał Waryniusz – ale dopiero w czasie suprema.

Jeńców wepchnięto do wkopanego w ziemię szałas. Było to widocznie pospiesznie sklecone miejsce, przeznaczone dla żołnierzy czekających na kary za jakieś przewinienia, bo znajdowało się w nim już dwóch związanych młodych ludzi. Mrucząc jakieś przekleństwa zrobili im trochę miejsca. Chłopcy usiedli podkurczając kolana. Przy szałasie kręciło się dwóch strażników rozmawiając półgłosem.

– Słuchaj, Seks, co ty tak ciągle żujesz? – usłyszał Kalias zza ściany słowa wymówione głośniejszym chropawym głosem.

– Daktyle.

– Co?! Skąd masz?

– Zwędziłem.

– Cha! cha! cha! Dobrze czasem pełnić straż przy taborach wodza, no nie? – roześmiał się drugi.

Kalias usłyszał soczyste mlaskanie i energiczne wypluwanie pestek. Po chwili znowu rozpoczęła się rozmowa.

– Będziemy mieli dziś podwójne widowisko... chłosta tych żołnierzy i tortury gladiatorów.

– Ano, będziemy – przyświadczył bez entuzjazmu drugi.

– Jak myślisz, będą krzyczeć?

– Chyba nie. To przecie gladiatorzy... Szkoda ich, sposobne chłopaki...

– E, niewielka.

– Wiesz, ten młodszy to zupełnie podobny do mego brata. Aż mnie za serce chwyciło, gdym go zobaczył... Taki młody i już Parki kończą jego nić... – mówił powoli chropawy głos.

– A gdzie twój brat?

– Pod Mutiną, na wsi. Tam moi starzy mają kawał ziemi...

Rozmowa ucichła. Przez szpary niedbale zbitych desek przedzierało się światło słoneczne. Żółte plamy jak motyle drżały na głowach drzemiących uwięzionych legionistów.

– Cóż, Kaliasie, będziemy mężni – uśmiechnął się Polluks – na tym naszym ostatnim gladiatorskim popisie.

– Nie boję się – odparł urażonym głosem chłopiec.

– No stary, czego się złościysz? – ciepło powiedział Polluks i pieszczotliwie otarł policzek o jego ramię.

Okrutny żal ścisnął serce Kaliasa. Przełknął z trudem ślinę i tłumiąc westchnienie zagadnął:

– Dobrze, że Kastor uciekł, prawda?

– Ba, pewnie. Lepiej nie mógł zrobić. Wiesz, myślę, że Spartakus już spieszy nam na ratunek...

Polluks powiedział to bardzo głośno, bo chciał nadać pewność swoim słowom, choć nie czuł jej w duszy.

Legioniści jak na komendę podnieśli głowy.

– Spartakus... idzie tu?... – zapytał jeden z niedowierzaniem i radością.

– Tak – przyświadczył Polluks. – Jeszcze przed wieczorem na pewno tu będzie.

Uśmiech rozjaśnił twarze więźniów. Poruszyli się żywiej i usunęli pod ścianę, dając więcej miejsca chłopcom.

– Opowiedz nam o Spartaku – poprosił jeden.

Polluks zaczął opowiadać. Słuchali w skupieniu, patrząc na wargi mówiącego, jakby zdejmowali mu z ust słowa, które płynęły wolno, przekonywająco. Polluks skończył mówić i nabrawszy powietrza w płuca, zaśpiewał donośnie:

My, wolność kochając jak słońce,

Z tyranem idziemy na bój...

Zawtórowały mu trzy głosy. Męczące ściskanie w gardle ustało, Kalias poczuł, że spokojnie już pójdzie na spotkanie losu.

– Ej, wy, cicho tam! – huknął pięścią w deskę strażak i sam zaczął do wtóru pogwizdywać.

Przez cienkie ścianki szałasów przeciekały jak przez sito odgłosy życia z zewnątrz. Tam niestrudzenie czas szedł naprzód i twarde życie żołnierskie nie mogło wyłamać się z przepisanych ram. Szczękały naczynia jedzących południowy posiłek, potem znowu słychać było szczęk łopat, stukanie młotów i siekier, zgrzyt pił tnących drzewo.

– Sami młodzi żołnierze tu u was – zagadnął Polluks.

– A tak – przyświadczył jeden z uwięzionych – to wszystko jeszcze mało przeszkoleni jak i my, rekruci, niedawno wzięci do wojska. Dużo ucieka, całe noce pilnują strażę, ale czasem i strażę uciekają.

– A za co was skazali?

– Rozkazali nam zabić stare niewolnice z tkalni Krassusa, nie opłacało się pędzić ich do Rzymu. A myśmy nie chcieli. Jeszczem prawdziwej wojny nie próbował, a bezbronne baby będę mordować – mówił z oburzeniem legionista. – Niech Waryniusz zabija albo ten jego zły wilczek, Marek...

Godziny płynęły niezmordowanie jak woda w rzece. Już wóz Febusa przetoczył się na zachód i jego złote promienie zabarwiać się zaczęły kolorem ognia.

Polluks w dalszym ciągu starał się zachowywać beztrosko i bawić towarzyszy, ale chwilami znużenie brało górę, czuł szum w uszach i drżenie obejmowało całe ciało. Przerzywał wpół słowa i nie mógł sobie przypomnieć, co mówił, nie kończył zaczętego zdania. Kalias opuścił głowę na piersi i zdawać się mogło, że drzemie. Coś bezradnie dziecięcego było w całej jego zgiętej postaci, bezbronnego i budzącego litość jak widok ptaka schwytanego w sieci. Polluks spoglądał na niego i wtedy żyły nabrzmiewały mu na skroniach i szczęki zaciskały się mocno aż do bólu. W pewnej chwili usłyszeli gwałtowny tupot kopyt końskich i podniesione głosy:

– Do wodza! Do wodza!

– Co to?! – wrzasnęli z trwogą obydwa legionieści. Poderwali się i przytknęli oczy do szpar. Zagrały trąbki alarmowe. Więźniowie zobaczyli, jak żołnierze wśród klątw i nawoływań, szczękając tarczami, kaskami i mieczami, pędzą do swych oddziałów.

– Bitwa! Bitwa! – krzyknął z uniesieniem Polluks i nie zważając na ból pobitych pleców podparł ramieniem deskę, która zatrzeszczała. Pomogli mu uwięzieni legionieści i po chwili deska wypadła z hukiem. W otworze ukazała się zarośnięta twarz strażnika.

– Bierzcie nóż – powiedział chropawym głosem.

Błyskawicznie rozcięli krępujące więzy. Ręce Kaliasa zwisły bezwładnie. Nie czuł ich zupełnie. Na przegubach widniały nabrzmiałe, czerwono-fioletowe pręgi od powrozów. Zaciskając zęby i przewyciężając dojmujący ból, zaczął je rozcierać. Miał uczucie, jakby obsiadło go tysiące mrówek.

Wyłamali ścianę. Oczom ich ukazał się straszliwy obraz bitwy. Naprędce sformowane oddziały broniących się usiłowały powstrzymać nacierające tłumy napastników. Legionieści walczyli mężnie, ale do serc ich wkradać się zaczął strach i świadomość klęski. Czyż zmęczeni marszem i całodzienną pracą przy budowie obozu potrafią odeprzeć szaleńczy atak tych dzikich bestii? Ostateczny cios Rzymianom zadali Celtowie pod wodzą Kriksosa, uderzając z prawego skrzydła, gdzie przekradli się pod osłoną winnic. Regularna bitwa przerodziła się w bezładną rąbaninę. Oddziały broniących się zaczęły topnieć. Większość uciekała w szaleńczym popłochu, rycząc z przerażenia, rzucając tarcze i miecze. Polluks pochwycił porzucony miecz i wsiadł na karki uciekających. Kalias podniósł również jakiś miecz i obaj popędzili za tłumem, który gnał w stronę namiotu wodza. Tu panowało największe zamieszanie. Kwik przerażonych koni, przeraźliwy głos trąbek, bezskutecznie nawołujących do opamiętania, klątwy i wymysły oficerów zlewały się w jakiś nieopisany szum i ryk jakby rozgniewanego morza.

Waryniusz dosiadł konia. Z rozdygotanych dłoni wypadła mu tarcza. Jeden z oficerów schylił się, aby mu ją podać, ale koń kopnął go i oficer upadł twarzą w piasek. Marek stał obok, wciągając na siebie pancerz z błyszczących blaszek. Wskoczył również na konia i pognali w stronę północy, ku wolnemu, niewykończonemu oszańcowaniu obozu. Za nimi popędziła gromada pieszych. Garstka legionistów spychała w pośpiechu do morza kilka łodzi rybackich leżących na piasku.

– Polluks, hej Polluks! – usłyszał Kalias. To na koniu gnał Kastor, a za nim kilku jeźdźców.

– Hej! Tuuu!. – odkrzyknęli chłopcy. Po chwili dosiedli koni.

– Waryniusz tam! – końcem wyciągniętego miecza wskazał Polluks.

Równym klusem pędzili za uciekającymi. Rozegnali na boki grupki pieszych i

wysunęli się na piaszczystą drogę... Tuman kurzu zasłonił uciekających. Gnali bez opamiętania. Konie chrapały. Płaty piany białej jak ta, którą wyrzuca morze w czasie przyływu, spadały im z pysków. Odległość między ściganymi a goniącymi nieco się zmniejszyła. Koń Kaliasa obciążony mniejszym ciężarem wysunął się o kilkadziesiąt kroków naprzód. Chłopiec pochylił się nad jego grzywą, ściskając w ręku miecz. Nie czuł nic, oprócz chłodnego pędu powietrza rozcinanego końskim łbem, zniknęło gdzieś niedawne zmęczenie i ból zdrętwiałych ramion, a w piersi rozgorzała żądza dopędzenia uciekających.

Nagle koń jednego ze ściganych potknął się o kamień. Jeździec omal nie wypadł z siodła. Głową uderzył o kark koński. Hełm mu się odpiął od tego uderzenia i spadł do rowu. Uciekający krzyknęli coś, obejrzeli się. Kalias nacisnął piętami boki konia, przynaglając go do szybszego biegu. Koń chrapnął i dał potężnego susa. Odległość między Kaliasem i niefortunnym jeźdźcem zmniejszyła się. I nagle Kalias poznał Marka. Mściwa radość rozpałała mu oczy. Rękojeścią miecza uderzył w kark swego konia. Jeszcze kilkanaście kroków i koń jego dotknął chrapami boku uciekającego. Wtedy Kalias uniósł się w strzemionach i z taką siłą, na jaką mógł się tylko zdobyć, uderzył mieczem w ciemną, pochyloną nad karkiem końskim, głowę. Trzasnęła kość, miecz wysunął się Kaliasowi z dłoni. Koń Marka poniósł, a jeździec potoczył się w pył drogi.

Kalias wydał okrzyk triumfalny. Jeden z Rzymian zawrócił gwałtownie i, rycząc z wściekłości, rzucił się w stronę chłopca. Koń Kaliasa uskoczył w bok i to uratowało młodego jeźdźca od śmierci. Miecz napastnika lekko zawadził o jego ramię, ale napastnik już nie zdążył ponowić uderzenia. Groźnie zawyli nadjeżdżający w galopie Kastor i Polluks. Kastor dosięgnął jeszcze konia wroga, raniąc go z rozmachem w bok. Ranny koń ubiegł kilkadziesiąt kroków, ale gdy potknął się raz i drugi, jeździec zeskoczył z niego i skręcił w gęste zarośla przydrożne. Kastor nie gonił go. Zatrwożony o małego przyjaciela, zeskoczył z konia. Nie wiedział, że tym uciekającym w trwodze i pohańbieniu był pretor Waryniusz, dumny wódz rzymskiego legionu. Towarzysze Kastora również nie zauważyli wypadku i ucieczki pretora. Pogonili za resztą uciekających i znikli za zakrętem.

Kalias nie słyszał przerażonych głosów przyjaciół. Świat mu nagle zawirował w oczach, ciemność przesłoniła słońce i jak Marek zsunął się bezwładnie w żółty piasek drogi. Przyjaciele pochylili się nad leżącym.

– Lekko ranny – odetchnął z ulgą Polluks. – Sotion go w tydzień wykuruje.

Zemdlał z wyczerpania... Bo i ciężki mieliśmy dziś dzień.

Położyli rannego na płaszczu wojskowym i wolno wracali do zdobytego obozu. Tam walka była też skończona. Powstańcy cieszyli się zwycięstwem śpiewając i krzycząc.

A powód do radości i dumy był słuszny. Oprócz wielkiej ilości broni i taboru w ręce zwycięzców wpadły wszystkie godła i odznaki legionu – małe chorągiewki jazdy, odznaki manipułów*[* Legion rzymski składał się z czterech do sześciu tysięcy piechoty i 300 jeźdźców i dzielił się na 30 jednostek taktycznych, zwanych manipułami. Manipuły dwóch pierwszych linii liczyły po 120 ludzi, trzeciej linii – po 60 ludzi.] drzewca z osadzonymi na nich wyobrażeniami podniesionej ręki oraz – hańba rzadko spotykana – signum legionu, srebrny orzeł, którego utrata była klęską z klęsk najsromotniejszą.

– Patrzcie, patrzcie! Koń Waryniusza! – krzyknął ktoś na widok krwią zbrozonego konia, którego prowadził Kastor. Otoczyła ich gromadka zwycięzców.

– A gdzie Waryniusz?! – rozległy się zewsząd pytania.

– Uciekł. Nie wiedziałem, że to ten rzymski pies.

– Nie martw się, jeszcze go złapiemy! – zawołał Sotion przepychając się ku nim. – A co małemu? – zapytał i pochylił się nad Kaliasem.

RADOSNE SPOTKANIE

Cała Italia rozbrzmiewała jednym okrzykiem powtarzanym we wszystkich językach i narzeczach świata. Powstanie niewolników!

– Spartakus ogłosił się wrogiem Rzymu – szeptali z radością i nadzieją niewolnicy wszystkich ras i narodowości.

– Spartakus – powtarzali z nienawiścią i groźbą na burzliwych zebraniach senatu dostojni patrycjusze i rycerze, przeznaczając z pustoszejącego skarbcza państwowego coraz nowe i coraz większe sumy na zbrojenie nowo zaciężnych wojsk.

– Spartakus – powtarzali z przerażeniem bogacze patrząc z trwogą na swych niewolników, którym podejrzenie prostowały się karki i oczy świeciły zuchwalstwem.

– Spartakus idzie! – wołały Rzymianki strasząc swe niegrzeczne dzieci.

A do świątyń dążyły pochody błagalne, „supplicationes”, wnosząc modły o odwrócenie klęski. Kobiety, mężczyźni i dzieci w wieńcach na głowach, z gałązkami wawrzynu w rękach, z ofiarami wina i kadzidła tarzali się u podnóży kosztownych łóż, na których wystawiono posągi bogów i bogiń.

Kobiety rozpuszczonymi włosami zamiatały ołtarze, a kapłani wnosząc ku górze drżące dłonie powtarzali błagalne modły i zaklęcia

Stary kapłan Junony znalazł w swoich księgach tekst starodawnej modlitwy z wojen punickich, w której błagano bóstwa fenickie o opuszczenie Kartaginy, i zmieniwszy stosownie do okoliczności treść, kazał powtarzać przy ofiarach dwa razy dziennie młodszym kapłanom:

„Bogiem-li jesteś czy boginią, w czyjej znajduje się władzy Spartakus i zbuntowani niewolnicy, ciebie proszę, ciebie błagam, ciebie zaklinam, o bóstwo opiekuńcze, abyś opuściło Spartakusa i przyjaciół jego, przekłęło jego zbroje i konie, jego żywność i pracę, rzuciło na niego i buntowników jego popłoch, zarazę i grozę, abyś przyszło do Rzymu ku mnie i moim, abyś nasze uroczyska, zagrody, świątynie i mury uznało za miłe dla siebie i upodobało w nich sobie, ażebyś wzięło w opiekę mnie, naród rzymski i wojowników moich tak, abyśmy widzieli to i czuli, i jeżeli to uczynisz, ślubuję wnieść tobie świątynię, urządzić ku czci twojej igrzyska”.

Pewno jednak Spartakus nie miał własnego boga, a może bóg jego nie był przekupny, bo nęcące obietnice kapłanów nie odniosły skutku. Sława wodza niewolników rosła. Jego zbrojne ramię potężniało z dnia na dzień, niemal z godziny na godzinę. Jak iskra padając na suchą słomę i wióry wznieca straszliwy pożar, który

ogarnia potem liczne domostwa, tak zawołanie „Spartakus” rozkuwało łańcuchy więźniów i galerników, rozwalalo bramy warsztatów, wstrzymywało w pędzie koła młynów.

Bogate miasta Kampanii – Abella, Forum Anni, Nuceria – wpadały w ręce powstańców. Jedno zawołanie zrozumiałe i jasne, niepodlegające wahaniom i dyskusji, było na ustach wszystkich wydziedziczonych:

„Spartakus wzywa!”

Na zew ten z najodleglejszych zakątków Italii drogami i ścieżkami, polami i lasami przemykały grupki na wszystko zdecydowanych ludzi. Szli mężczyźni dojrzałym wiekiem, szli młodzieńcy, kobiety i dzieci.

Spartakus cofnął się na wyżyny górskie panujące nad Kampanią i oddzielającą ją od prowincji Lukanii i Samnium. Zbroił tu i szkolił swoją szybko rosnącą armię. Trudności piętrzyły się przed nim ogromne. Minęło kilka tygodni od zbiorów jesiennych. Opustoszały winnice i sady, wyczerpywały się skromne zasoby pszenicy – więc zaprowiantowanie tych mas ludzkich nastęczało wielkie kłopoty. Dużo zapasów uległo zniszczeniu w czasie walk, wiele spichlerzy rozrabowała miejscowa uboga ludność i ukryła pszenicę. Zdarzały się więc w armii powstańczej rabunki i grabieże, i choć Spartakus karał z całą surowością winnych, nie mógł całkowicie pohamować tych warcholskich wykroczeń. Szczególnie niesforni byli Germanowie i Celtowie. Wódz ich, gwałtowny, skory do gniewu i kłótni, ambitny Kriksos zazdrościł Spartakusowi sławy, miłości i uznania żołnierzy.

Mimo ustępliwości wodza Traków dochodziło do ostrych starć i wybuchów. Właśnie jednej z takich gorszących scen przyglądał się Kalias siedząc u wnijscia do namiotu Spartaka. Obok niego na niskich trójnogach przysiedli Kastor i Polluks. Na naradę zebrali się wodzowie wszystkich legii. Na siedzeniach usłanych z końskich skór, niedbale, w pozycji półleżącej, rozpierał się Kriksos, obok siedział smukły, o delikatnej dziewczęcej cerze Enomaos, poważny Kastus, wesoły Gannikus, obserwujący z nieukrywaną złośliwością bogate stroje niektórych wodzów. Biała, wełniana, bez żadnych ozdób tunika Spartakusa skromną powagą i godnością odbijała od wyszukanych, strojnych szat wodzów.

Spartakus z nabrzmiałymi żyłami na czole, z gniewnie zmarszczonymi brwiami mówił ostro, dobitnie, stojąc naprzeciwko Kriksosa.

– Więc ty sądzisz, że przelewanie krwi niewinnych to nie zbrodnia?

– Wielkie mi rzeczy, gdy przy tępieniu Rzymian spadnie trochę głów ich

sprzymierzeńców – mówił pogardliwie Kriksos. – To też wrogowie.

– Mylisz się, Kriksosie. Uboga i średniozamożna ludność tutejsza nam sprzyja. Jeśli zaczniemy ich krzywdzić, odwrócą się przeciw nam – spokojnie już mówił Spartakus. – Walka z Rzymem dopiero się zaczęła. Szukajmy przyjaciół, a nie róbmy sobie wrogów. Ludność tutejsza nienawidzi Rzymian tak jak i my, nie dopuścimy do tego, by nienawidziła nas jak Rzymian.

– Nie mogę zabronić moim chłopcom, by poszli zdobywać prowiant dla armii – przerwał Kriksos.

– I świecidełka dla swojego wodza – dość głośno roześmiał się Gannikus. – Stroi się jak Zeus Olimpijski.

Kriksos obrócił się ku niemu gwałtownie, aż zadzwoniły łańcuchy i bransoletki, którymi był obwieszony. Chciał powiedzieć coś obelżywego, ale wodzowie wybuchnęli śmiechem. Kriksos zachnął się i wydał z gniewu wargi.

– Czy nie rozumiesz – opanowując uśmiech mówił Spartakus – że rabowanie spokojnych miasteczek i wsi jednoczy przeciw nam ludność tubylczą, że nie znajdziemy wśród nich żadnego oparcia, gdy przyjdzie do rozprawy z całą potęgą Rzymu?

– Tchórz cię oblatuje?! – pogardliwie parsknął śmiechem Kriksos.

– Nie tchórz, Kriksosie, nie tchórz – spokojnie mówił Spartakus ściskając w dłoniach żelazny szyszak, aż ten zwinął się w trąbkę. – Przecież wiesz, że armia Marka Lukullusa jest w Macedonii, Pompejusza – w Hiszpanii. Słynni wodzowie rzymscy w każdej chwili mogą być przywołani na pomoc, a i miejscowe siły Rzymu jeszcze nie rozbite. Nasze dotychczasowe sukcesy to wygrane bitwy, ale nie wojna... Zresztą, nie rozważajmy teraz tych spraw... Zebraliśmy się tutaj, by osądzić i wydać wyrok na twoich żołnierzy, którzy wczoraj spalili wsie pod Nucerią... i wymordowali bezbronną ludność.

Kriksos zerwał się z siedzenia. Jedna ze złotych bransolet zawadziła o zagięcie skóry, otworzyła się i upadła z brzękiem u jego stóp. Kriksos nadepnął na nią i rozgniół z wściekłością.

– Nie! Moich żołnierzy nikt sądzić nie będzie! Jeśliś mnie tu wezwał po to, toś się grubo pomylił. Mam dość twego panoszenia się... Jestem tu takim samym wodzem jak ty!...

Zakaszłał się nagle i umilkł. Pod płótno namiotu wdarła się zwycięską falą pieśń maszerującego na ćwiczenia oddziału żołnierzy:

Niechaj Rzym upokorzony

Padnie u Spartaka stóp...

– Spartak, Spartak, zawsze Spartak – meł w zębach jak przekleństwo, szarpiąc czarną, długą brodę Kriksos. – Czy ty myślisz, że ja nie mogę odnieść ze swymi Celtami i Germanami świetniejszych zwycięstw?

Spartakus za wszelką cenę pragnął uniknąć rozbicia armii powstańczej, dlatego też powiedział łagodnie, pojednawczo:

– Twoi chłopcy sprawują siew boju nie mniej dzielnie niż moi. Zwycięstwo nad Waryniuszem w głównej mierze im zawdzięczamy... wspaniale było to uderzenie z prawego skrzydła...

Kriksos zasapał z zadowolenia i dumnie potoczył oczyma po zebranych. Usiadł ciężko, opierając głowę o drążek namiotu.

– A zobaczysz, jak oni się popiszą przy zdobywaniu Rzymu...

Spartakus zasepił się i chwilę milczał ważąc ciężką decyzję. Znow musi przeciwstawić się szaleńczym pomysłom Kriksosa.

– Kriksosie, przecież wiesz, że nasze siły są niewystarczające, by uderzyć na Rzym. Armia Hannibala była liczniejsza, lepiej zaopatrzona i bardziej zaprawiona w bojach, a jednak... Marzeniem moim i moich Traków jest przedarcie się na północ, za Alpy, i założenie tam „słonecznego” państwa... państwa bez krzywdzonych i krzywdzicieli... państwa wolności... Mówiłem ci już nieraz o tym...

– Cha... cha... cha! – roześmiał się hałaśliwie Kriksos. – To mi szczęśliwe państwo, gdzie od świtu do nocy każdy pracować będzie przy pługu lub sosze... własną ręką karmić krówki i cielątka... I ty widzisz w tym szczęście, Spartaku, wodzu gladiatorów?...

– Wolna praca dla siebie i swoich jest szczęściem, Kriksosie, praca pod batem, dla pana, którego się nienawidzi, to jest nieszczęście...

Kriksos znow roześmiał się urągliwie.

– Gdy ja tu mogę żyć bez pracy i używać w najpiękniejszym zakątku świata, ty radzisz mi ruszyć do północnych, mglistych i chłodnych krajów na trudy i niewygody. Zaiste, twoja nauka umysł ci zaćmiła, Spartaku.

Kpił z wykształcenia Spartakusa, ale w głębi duszy może najbardziej zazdrościł mu sztuki pisania i rozległej wiedzy, którą posiadał wódz Traków.

Spartakus pochylił w milczeniu głowę. Jakie argumenty znaleźć, by przekonać ten zakuty, zarozumiały łeb?

Pozostanie w Italii – to śmierć tysięcy dzielnych ludzi, to śmierć najpiękniejszych ideałów i marzeń młodości. Młodzi wodzowie wierni jeszcze: Kastus, Enomaos, Gannikus i ta reszta patrzą wyczekująco na niego. Oni też nie chcą opuścić Italii. Wahają się jeszcze, za kim pójść, i kto wie, czy nie zdradzą, czy nie pójdą za Kriksosem, chociaż go nie lubią za pychę i gwałtowność.

A za namiotem znów maszerują żołnierze i śpiewają dalszą strofkę ulubionej pieśni:

Hannibala dzielne męże
Nie złamały Rzymu wrót...
Gniew Spartaka Rzym dosięże,
Nie pomoże żaden cud...

Kriksos roześmiał się z cicha, urągliwie. Młodzi wodzowie kręcą się niespokojnie na niewyprawionych skórach końskich. Spartakus bezwiednie miażdży w potężnych dłoniach żelazny szyszak żołnierski, który jest już tylko pogiętym kawałkiem blachy. Na Heraklesa, czyżby się mylił? Nie! Poznał dokładnie potęgę Rzymu, gdy jako żołnierz służył w legionach Sulli. Cóż znaczą te oddziały niewyszkolonych, źle uzbrojonych, choć pełnych zapału, zdecydowanych chłopców wobec żelaznej pięści Rzymu? I cóż z tego, że nikt chyba bardziej niż on nie pragnie zagłady nienawistnego ciemieży ludów? Lecz sił nie starcza. Zbudować potężne państwo tam, za Alpami, wyćwiczyć ogromną armię – i niech Rzym spróbuje wtedy wyciągnąć po zdobycz swe plugawe szpony! Podniósł głowę i powiedział do zebranych głosem zgaszonym, martwym:

– A jednak na Rzym uderzyć teraz nie możemy. To szaleństwo... więcej... to samobójstwo...

Kriksos zacisnął włochatą prawicę w kułak, i wymachując nią niby maczugą, krzyknął wściekle:

– Ja z moimi chłopcami idę na Rzym! A ty, tchórze, zgnij tutaj! Dziś zarządzam wymarsz! Wy chyba ze mną, co? – zwrócił się do pozostałych.

Szaleńcza decyzja Kriksosa zaskakuje wszystkich. Zalega chwila dręczącego milczenia. Wodzowie patrzą zmieszani po sobie i niepewnie się uśmiechają. Zarzut

tchórzostwa jest chyba najcięższym zarzutem, jaki może spotkać gladiatora. A tu wszyscy prawie byli poprzednio gladiatorami, którzy zdobywali się na niejednen wyczyn szaleńczej odwagi. Czy nie brawura i odwaga, bezprzykładna odwaga wydzierała ich z paszczy Saturna na arenie? Półświadomie, a potem już zdecydowanie, odwracają się od Spartaka. Przychylnie patrzą na rozjątrzonego Kriksosa. Serce Kaliasa ściska trwoga. Zdaje się, że ukochany wódz zostanie opuszczony przez wszystkich. Gdzie Sotion? Dlaczego nie ma go na naradzie? Jego rozsądne zdanie może by wpłynęło na tych zapaleńców! Kalias nie rozumie, ale czuje, że Spartakus się nie myli. Gdybyż on, Kalias, był już dorosły, gdyby miał prawo głosu! Milczą też Kastor i Polluks, choć przecie oni mają prawo wypowiedzenia się na naradach. Może nie śmia odezwać się, bo są zbyt młodzi, nikt nie będzie liczył się z ich zdaniem? Chłopiec patrzy niespokojnie w stronę obozu i westchnienie ulgi wyrwa mu się z piersi.

Spiesznym krokiem podąża Sotion. Widocznie zbyt długo zabałamucił wśród swoich chorych, a teraz chce zdążyć na naradę.

Gdy stanął w namiocie, powiódł baczny, mądrym spojrzeniem po twarzach zebranych. Zrozumiał widocznie, co się stało, bo nie pytając o nic, zaczął mówić spokojnie, jakby nie pamiętając, w jakim celu zebrali się tu znakomici mężowie:

– Przed chwilą rozmawiałem z Furiusem. Jego rana na karku już prawie na wygojeniu. Ma żal do nas, żeśmy go ratowali. Powiada, że w całej armii rzymskiej nie znalazłoby się człowieka, który zechciałby ratować rannego nieprzyjaciela. Pyta, po cośmy go leczyli, gdy on żyć nie chce. Mówił, że całe szczęście, że go już nie wysła do walki przeciw nam. Opowiadał o wielkości armii rzymskiej, o legionach obu Lukullusów, o legionach w Hiszpanii. Nie wierzy, by istniała teraz potęga, która zdolna byłaby pokonać Rzym. Radzi nam spieszenie uchodzić z Italii, nim Rzymianie się opamiętają i zbiorą wszystkie siły.

– Co, może zostałeś szpiegiem Furiusa – przerwał gwałtownie Kriksos – i gardłujesz za ocaleniem Rzymu?

Sotion patrzył przez chwilę na Kriksosa spokojnym, ale mocnym wzrokiem. Wódz Celtów zmieszał się i zaczął niespokojnie zawijać na palce długi, złoty łańcuch.

– Jeszcześ ty, Kriksosie, nosił w zębach swoją koszulę, gdy ja już krew lałem na Sycylii w walce z Rzymianami. Było nas wtedy, uzbrojonych chłopców, trzykroć więcej niż was teraz... Walczyliśmy jak lwy... Ukrzyżowano naszych wojowników trzydzieści tysięcy... Tylko tyle, bo reszta padła w bojach... Urządzano na nas polowania jak na

górskie kozice. Nie oszczędzano matek ani dzieci... Mimo to sędzę, Kriksosie, żeśmy i teraz słusznie walkę rozpoczęli, ale... nie powinniśmy jej przegrać. Pójdźcie na Rzym z tymi siłami, które mamy – to klęska.

Kriksos poczuł, że przewaga wymyka mu się z rąk. Wodzowie z uwagą słuchają Sotona, oto Kastus pochyła się do ucha Gannikusa i coś mu szeptem. Silanus niespokojnie skubie sierść ze skóry owczej, która okrywa mu kolana, Polluks i Kastor z oddaniem patrzą na Spartaka. Na twarzach innych znać jeszcze niezdecydowanie. Nie należy przeciągać tych rozmów, dlatego też zrywa się z siedzenia i woła szyderczo:

– Tchórzycie jak Spartak?!

Enomaos podniósł się z twarzą purpurową z obrazy.

– Od tchórzów ty nam nie wymyślaj. Decyzja ciężka... ale... idę z tobą – zakończył z determinacją, patrząc z lękiem i bólem na Spartakusa.

Ten milczał, tylko głowę opuścił jeszcze niżej. Podniosło się dwóch dowódców oddziałów „wolnych z pól”.

– I my z tobą, Kriksosie. Nasi chłopcy nie pójda za Alpy. Nie zechcą opuścić rodzinnej ziemi. Bądź zdrow, Spartaku! – mówią nieśmiało.

– Bądźcie zdrowi! Źle robicie, towarzysze. Zastanówcie się jeszcze. Wróćcie, poczekamy na was – odpowiedział Spartakus i żal zadrgał w jego głosie.

Gdy czterej zbuntowani opuścili namiot, Spartakus ciężko westchnął, oparł głowę na rękach, zagłębiwszy palce w gęstej czuprynie.

Polluks podniósł się i przerwał ponure milczenie wodzów:

– Słyszałem, że pod Salernum płacze się jeszcze jakiś oddziałek rzymski. Warto byłoby ich sprzątnąć.

– Dobrze, Polluksie – odparł bezdźwięcznie Spartakus – ale pospiesz się, bo jutro ruszamy na północ... Czy zgadzacie się, wodzowie?

– Tak jest – odpowiedział zmieszany chór głosów.

Zaczęli wychodzić. Narada była skończona.

– Panie, pozwól mi jechać z Polluksem – prosił Kalias.

Spartakus skinął przyzwalająco.

Przyjaciele wyszli ostatni z namiotu. Ujrzeni niezwykłą krzątaninę i posłyszeli gwar w wielu oddziałach germańskich i celtyckich.

– Odchodzą – zauważył zgnębiony Kalias. – Jak myślisz, chyba źle robią, co?

– Dlaczego źle? – odparł gniewnie Polluks. – Będą się bić z Rzymem, więc dlaczego źle?

– Bo widzisz, bo... – zaczął jąkać się Kalias – mnie się zdaje, że dwaj zawsze są silniejsi niż jeden... bo dziesięć tysięcy łatwiej będzie Rzymianom zgnieść niż czterdzieści... A Waryniusz jeszcze formuje nowy legion!

– Phy! – mruknął lekceważąco Polluks. – Wojsko Waryniusza to plewy, ot, co z nimi zrobimy – i dmuchnął na dłoń, na której położył zerwane źdźbła trawy, obrazowo pokazując, co stanie się z wojskami rzymskimi.

– Podli są ci Germanie i Celtowie – sarknął Kalias, bo nie mógł przeboleć zniewagi i krzywdy, jaka spotkała ukochanego wodza. – Warcholą się, kłóć, zdradzają...

Polluks, co dziwiło niezmiernie Kaliasa, nie oburzał się na Kriksosa, ale odpowiedział wolno, jakby sam sobie, na dręczące go myśli:

– Nie wiadomo jeszcze, czy Kriksos nie ma racji. To się jeszcze pokaże. A widzisz, że i Kastus został z nami, choć Celt, i Germanin Gannikus, i tyle, tyle tysięcy prostych żołnierzy germańskich i celtyckich... Zresztą, co kto wiedzieć może! Jedno jest pewne, że zaprowiantowanie będą mieli lepsze niż my, bo Spartakus nie pozwala na konfiskaty i rabunki, a Kriksosowi w to graj... Może dlatego Kriksos zyskuje tylu zwolenników, boć wiadomo, że słaby to charakter i wódz lekkomyślny. Pyskować tylko umie dobrze i grać na słabościach ludzkich. A Spartak to granit i łapę ma ciężką.

Wkrótce niewielkim oddziałkiem konnym wyruszyli z gór ku dolinie, smutnej i bezbarwnej, ogołoczonej już z niedawnego przepychu jesieni. Kalias lubił te krótkie wypadki wywiadowcze. Tyle ciekawych rzeczy było zawsze do obejrzenia, tyle niespodzianek kryła nieznana droga. Na przydrożnej śliwie znaleźli zwiędnięte, pomarszczone śliwki. Były słodkie i pachniały miodem. Konie przez ten czas oskubały jakieś zielone jeszcze krzewy.

Okolica sprawiała wrażenie zupełnie wymarłej. Właściciele niewolników albo uciekli do Rzymu, albo dawno zginęli. Niewolnicy i „wolni z pól” już od miesięcy wdrażali się w ciężkie rzemiosło wojenne.

Droga, wiodąca po nieznannej pochyłości ciągle w dół, była gładka i równa. Czasem spłoszyli zdziczałego kota lub kurę, czasem zobaczyli chyłkiem przemykającego lisa czy psa. W powietrzu dzwoniły cykady, na gałęziach wśród uschłych liści ćwierkały wróble. Żołnierze śpiewali i żartowali.

– I u nas już jabłka i śliwy dojrzały – mówił marzycielsko Dobek, jasnowłosy chłopak z północy. – Pełne stodoły zboża, chmiel suszy się na piwo... Moja matka takie warzyła piwo, jak żadna inna w osadzie... Dziewczęta tkają płótno, śpiewają,

opowiadają baśnie... A święta jakie u nas piękne, a zabawy! Ile jest wtedy śmiechu i radości... Oj, życie tam było, oj życie!...

Żal go szarpnął okrutnie za tym straconym pięknym życiem i umilkł.

– A u nas – odezwał się Kalias – też jest dużo pięknych i wesołych świąt. Ale najweselsze to jest chyba wielkie święto winobrania. Trudno opowiedzieć, jak jest wtedy wesoło! Pamiętam, jak skakałem na jednej nodze po wymazanych oliwą wątorach wypełnionych winem. Skaczą tak wszyscy chłopcy w moim wieku. Kto najdłużej wytrzyma, dostaje wieniec z liści i najpiękniejszą kiść winogron. A ile śmiechu, gdy się spada! A tańce, a śpiewy chóralne, a żarty i dialogi... Mówię wam, że to cudownie wygląda... Zawsze do babki jeździliśmy na te święta. W Atenach mieliśmy tylko mały domek, bo ojciec tak niewiele zarabiał...

– A co twój ojciec robił?

– Rzeźbił posągi bogów i znakomitych ludzi – odpowiedział z dumą Kalias. – Tylko po wojnie i tych ostatnich nieszczęściach, które spadły na Ateny, nie miał komu rzeźbić posągów... a i bogów świątynie nie kupowały, bo też nie miały pieniędzy. Rzymianie wszystkich obrabowali. Widziałem na forum, gdy mnie wiedli na sprzedaż, dużo ateńskich pomników.

Kopyta końskie rytmicznie uderzały o bruk równej, kamienną kostką wykładanej drogi. Spotkali kilku wynędzniałych ludzi. Byli to niewolnicy, którzy zbiegli z akweduktów budowanych pod Rzymem.

– Idziemy do Spartaka – oświadczyli żołnierzom. – Chcemy się bić z Rzymianami, a nie służyć im...

O żadnym oddziale wojsk rzymskich nie słyszeli. Owszem, zbroją się Rzymianie, i to mocno. Do wojska powołali nawet siedemnastolatków i mężczyzn do lat sześćdziesięciu. Naprawdę, nie mają po co jechać dalej, tam nikogo nie ma.

– Tylko jakaś staruszka z dziewczynką leżą w kotlinie na prawo – wskazał ręką jeden z uciekinierów.

– Jak to leżą? – zdziwił się Polluks.

– Chore widocznie, bo nie mają siły iść dalej; pewno wkrótce zemrą.

– Dlaczego nie pomogliście im? – oburzył się Kalias.

– Pomóc? – wykrzywił wargi rozmówca. – Jak im można pomóc? Daliśmy im trochę fig. Przecież ich na plecy nie weźmiemy.

– Na koń! – zakomenderował Polluks. Ostra strzała przypomnienia przeszła mu serce. Czy żyje to urocze, dobre dziecko, jego mała siostrzyczka, którą z nim razem

pojmano do niewoli?

Wkrótce ujrzeli je. Leżały nie opodal drogi pod kwitnącym jeszcze krzewem dzikich róż. Tętent koni przeraził je najwidoczniej, bo usiadły obydwie. Mała pisnęła jak zraniony, zdziczały kociak i chciała uciekać, ale chuda jak szkielet, siwa kobieta przytuliła ją do piersi. Dziecko schowało twarz w łachmany okrywające opiekunkę i poczuło się snadź bezpieczne, bo uspokoiło się. Otoczyli je kołem. Kobieta patrzyła na nich ze spokojem, na jaki tylko ostateczna rezygnacja i pogodzenie z myślą o śmierci zdobyć się może.

Coś niezmiernie znajomego wstrząsnęło Kaliasem, gdy przyglądał się twarzy kobiety.

– Bogowie, bogowie, ona ma oczy mojej matki – szepnął do siebie. Szybko zeskoczył z konia i pochylił się nad siedzącą. Ta patrzyła w osłupieniu, otworzyła usta i niespodzianie jęknąwszy, przytuliła się do jego nóg obejmując je rękoma.

Serce chłopca zdrętwiało i zamarło na chwilę. Nagle zrozumiał.

Pochylił się i porwał dziwną nędzarzkę w ramiona.

– Mamo, mammo, co ty wyprawiasz! – bełkotał ogłupiały z radości.

Kobieta łkając tuliła się do jego piersi. Żołnierze ukradkiem ocierali oczy. Dziewczynka, która nie mogła zrozumieć, co się stało, skorzystała z chwilowej nieuwagi i jak kret wczołgała się między krzewy.

– Mój syn, mój duży syn – cieszyła się Arsinoe, a grube jak groch łzy toczyły się po jej zapadłych policzkach. – Jak ty zmężniałeś, synku.

Kalias sam się dziwił. Przecie on już przewyższał matkę o całą głowę, a to jeszcze tak niedawno siadywał na jej kolanach i szukał u niej opieki i pocieszenia w swych dziecinnych zmartwieniach.

Żołnierze wyciągnęli kawałki sucharów i śliwki.

– Jedzcie, pani – zachęcali Arsinoe.

– Gdzie Sara? – rozejrzała się matka. – To mała Żydówka. Znalazłam ją w ogrodzie spalonego miasta. Dziecko jadło ziemię i jakieś liście. Było strasznie zawszone. Jak mogłam, tak się nią opiekowałam, ale już ostatnio obie głodowałyśmy.

Dziewczynka nie chciała wyjść na wołanie Arsinoe.

– Ona strasznie boi się żołnierzy – powiedziała matka. – Oddalcie się trochę, to ją zawołam do jedzenia, a potem przytrzymam.

Sara długo nie chciała opuścić swojej kryjówki. Wreszcie ukazała się zapłakana i podrapana buzia. Arsinoe wetknęła jej w usta śliwkę. Dziewczynka przełknęła ją

chciwie i nabrała snadź zaufania, bo wyczołgała się już sama i usiadła obok Arsinoe. Kalias przybliżył się ostrożnie i przypatrywał w milczeniu ze ściśniętym gardłem. Dziewczynka miała starczą, pomarszczoną buzię, czarne, żalosne oczy spoglądały lękliwie spod kędzierzawej czupryny kruczonych włosów. Połykała chciwie kąski sucharów i śliwki. Gdy się już najadła, roześmiała się i poklepała po brzuszku. Żołnierze roześmieli się również, podeszli bliżej.

Polluks zdecydował, że należy wracać do obozu. Sarę po tej niespodzianej uczcie ogarnęła senność, więc też nie bardzo wiedziała o tym, że od matki wziął ją na rękę Kalias i podał Kastorowi. Murzyn z zabawną, niezdarną troskliwością owinął małą w swój płaszcz wojskowy i umieścił przed sobą na koniu.

Arsinoe wsadzono na konia razem z Kaliasem. Wracali wolno. Matka opowiadała o swoich przygodach. Gdy ich pędzono do Rzymu, spotkali pod Fundi oddziałek zbuntowanych kamieniarzy. Strażnicy rozpoczęli z nimi walkę. Kobiety rzuciły się na pomoc niewolnikom. Została ranna kamieniem w głowę i powstańcy sądzili, że nie żyje. Zostawili ją na drodze. Gdy ocknęła się z omdlenia, była noc. Leżała sama wśród trupów. Zaczołgała się w krzewy i tam przeleżała dwa dni. Dręczyło ją straszne pragnienie, więc zjadła jakichś jagód, które rosły na krzewach. Po tych jagodach dostała zawrotu głowy i straciła przytomność. Gdy wróciła do przytomności, zobaczyła ze zdumieniem, że znajduje się w szałasie wśród pasterzy. Opiekowali się nią troskliwie, karmili mlekiem owczym i kaszą. Po kilku dniach zdawało się jej, że już nabrała tyle sił, by pójść dalej. Straszna to była wędrówka. Tyle tygodni szła ślaniając się na nogach jak pijana. Znalazła Sarę. Nie mogła przyłączyć się do żadnej grupy idącej do Spartaka. Nie nadążała w marszu. Czasem litościwsi karmili ją, niektórzy wymyślali i odpędzali jak parszywego psa. Wierzyła, że jeśli Kalias żyje, to jest na pewno w armii powstańczej. Jeśli nie – to chciała umrzeć wśród wolnych.

– Jak myślisz, Kaliasie, teraz będziemy mogli wrócić do ojca? Jakiś okręt jadący do Grecji nas zabierze...

– Tak, tak – przyświadczył bez przekonania Kalias.

– A ja, gdy będę razem z wami, prędko wyzdrowieję, nabiorę sił i znowu będę zdrowa i młoda, prawda, Kaliasie?

Podniosła ku niemu trwożliwe, pytające oczy.

– Na pewno, mamie – odpowiedział tklawie i pogłaskał ją po siwych włosach.

Z ODSIECZĄ

Otrąbiono już czwartą wigilię. Obóz jeszcze spał, tylko strażę nawoływały się przeciągle od czasu do czasu. Pogodna, jasna noc zimowa dawała się we znaki na wysokościach górskich, gdzie zatrzymała się armia Spartaka. Strażnicy rozcierali ręce i klepali się po udach i plecach. Niektórzy tylko mieli płaty baraniej skóry przewieszane przez plecy i piersi, związane rzemieniami, reszta musiała się zadowolić wytartymi wojskowymi płaszczami wełnianymi.

Ogniska, niepilnowane, pokryły się popiołem i wygasły. Strażnicy niecierpliwie popatrywali w niebo – rychło też świtać zacznie?

Niebo na wschodzie lekko poszarzało. Góry przybrały ciepłe, fioletowe barwy. Bystrooki Filon zapatrzył się na wierzchołek odległego wzgórza. Jeden maleńki punkt zwrócił jego uwagę.

– Patrz – trącił w bok kolegę – tam na wzgórzu od północy coś się rusza. Jakaś jasna plama. Czyżby to już orzeł wstał na ranne polowanie?

– Ech, nie – odparł kolega, który nie zdołał nic zauważyć. – Orły przed świtem nie wstają na żer.

Filon obserwował uważnie. Nie, nie mylił się, plama na wzgórzu zmieniła miejsce. O, skryła się wśród rosnących tam krzewów, a teraz znowu na ścieżce. To coś większego niż orzeł. Koń, który odbił się od stada? Może koza lub owca? Zaiste, słabe są oczy ludzkie, że nie mogą rozpoznać nic z odległości dziesięciu, a może paru więcej stadionów.

Z natężenia wzroku aż mu łzy nabiegły pod powieki, więc przymknął je na chwilę, osłaniając dłonią.

Gdy po chwili spojrział znowu, już nie miał wątpliwości – to pędził człowiek na koniu.

– Jakiś jeździec. Może nasz patrol zetknął się z Rzymianami, jak myślisz, kolego? – zapytał Filon.

– Może – niezdecydowanie mruknął zapytany.

Jeździec zbliżał się szybko. W niepewnym brzasku dnia zobaczyli, że koń potknął się kilkakrotnie i nagle padł. Jeździec podniósł się, a gdy nie udało mu się zmusić konia do wstania, zostawił go na miejscu i zaczął biec ku obozowi, wymachując z daleka ręką.

– To Germanin – rozpoznał bystrooki Filon. – Na ich sposób ma związaną skórę

na piersiach i germański kołpak z rogami na głowie.

Obserwowany nadbiegł wkrótce.

– Do Spartaka... – krzyknął resztą tchu – prowadźcie mnie... natychmiast!

– Co ty, bratku, cóż cię tak przypiliło, ja muszę wiedzieć, co i jak, a nie tak od razu do Spartaka – oburzył się Filon.

– Enomaos padł... jego wojsko w rozsypce... resztki przedzierają się do Kriksosa... Enomaos padł osłaniając odwrót Kriksosa... Straszna klęska... Kriksos uchodzi w stronę Mons Garganus... Za nim w pościgu dwie armie konsularne...

– O, to poważna heca – zafrasował się Filon – ale ja, bratku, z warty nie zejdem... zaraz zaalarmuję oficera...

Zatrąbił trzykrotnie, ostro, w krótkich odstępach czasu. Po chwili zjawiał się oficer. Wysłuchawszy opowiadania posłańca, kazał mu iść za sobą.

Spartakus już nie spał. Pochylony nad tabliczką woskową, uważnie coś obliczał i kreślił przy blasku pochodni wetkniętej u wnijscia namiotu. Zasłyszane wiadomości zasepiły mu czoło. Zbudził Kaliasa śpiącego pod owczą skórą.

– Zwołaj starszyznę, sprawa pilna.

Wkrótce oficerowie starszych rang zaczęli się schodzić. Ziewali szeroko i palcami przeczesywali włosy. Obsiedli wokoło leże namiotu. Spartakus kazał posłańcowi opowiedzieć, z czym przybywa. Wiadomość poruszyła wszystkich. Senność gdzieś uleciała. Jedni zasepili się, w oczach innych widać było mściwe zadowolenie. Spartakus uważnie śledził zmienną grę wszystkich twarzy. Milczał.

– Niepotrzebnie nas budziłeś! – pierwszy zawołał porywczy Kastus. – Kriksos zdradził nas, odszedł, niech teraz sam walczy z konsulami. Czemu ucieka, gdy miał zdobywać Rzym?

– Pewnie... rozumie się – przyświadczyli inni.

– Myślał sławę sam zagarnąć, niech też sam lanie zgarnie – powiedział Gannikus.

– Zimą marsze wojsk są ciężkie, w południe błoto, rankami i nocami przymrozki, ślisko, jesteśmy tu jako tako zaprowiantowani, po co teraz guza szukać – rozważał głośno sędziwy Diomedes. – Tu do nas, w góry, Rzymianie nie odważą się przyjść – a wiosną my do nich pójdziemy...

– Słusznie prawi – przytaknęli towarzysze.

– A więc nie ma o czym gadać – odezwał się znowu Kastus. – Sprawa prosta – nie idziemy.

Spartakus wstał i uniósł rękę na znak, że chce mówić.

– Towarzysze, ja jednak sądzę, że sprawa nie jest taka prosta – odezwał się spokojnie, z mocą. – Ja może najbardziej powinienem być zagniewany na Kriksosa. On przeciwstawiał się zawsze moim planom i zamysłom nie dlatego, że jego plany były lepsze, ale dlatego, że żywił do mnie niczym nieusprawiedliwioną nienawiść... On buntował przeciw mnie towarzyszy ze starszyny... On wreszcie odciągnął nieodżałowanego, może lekkomyślnego, ale prawego serca Enomaosa... On znieważył mnie ciężko w dniu odejścia. Po cóż zresztą przypominam to wszystko? Nie dlatego, towarzysze, by skłonić ucho do waszej decyzji... Mówię po to, abyście wiedzieli, że nie serce dyktuje moje słowa, ale sprawa i obowiązek... Jeśli nie przeszkodzimy Rzymianom w rozbiciu armii Kriksosa, będą mieli oni ułatwioną pracę z nami... Rzymianie nie spodziewają się teraz odsieczy z naszej strony: idą na Kriksosa z całkowitą pewnością zwycięstwa. Gdy my spadniemy na nich niespodzianie – zwycięstwo nam przypadnie... Kriksos zgromadził olbrzymie bogactwa w swoich rękach, gdy Rzymianie je zdobędą, uzbroją kilka legionów więcej, a to nam nie ułatwi rozprawy z nimi... Prawda, że pogoda nie jest sprzyjająca dla walk, ale obecne chłody dla większości naszych ludzi przyzwyczajonych do ciężkich zim Północy wydają się wiosną... Zaprawę w chodzeniu po górach nasi chłopcy już zdobyli. Rzymianie nie mają jej wcale... I jeszcze jedna sprawa... Kriksosa my opuścić możemy, ale... nie możemy opuścić dziesięciu tysięcy ludzi, którzy tam zginą razem z nim... Towarzysze, przecie tam są gladiatorzy, nasi koledzy z areny, nasi przyjaciele, nasi bracia... Tam są kobiety i dzieci... Czyż mamy skazać je na krzyże Rzymian?...

Milczenie zaległo po gorącym przemówieniu Spartaka. A wtedy powstał Sotion i pogładziwszy długą srebrną brodę zaczął mówić swoim umiarkowanym, spokojnym głosem:

– Drodzy bracia... Wiecie dobrze o tym, że zawsze jestem po stronie sprawiedliwości i prawdy... Kriksos zawinił ciężko przeciwko nam, najciężej przeciwko Spartakowi... ale nie godzi się nam odmówić im pomocy... Nasza sprawa nie jest tylko naszą wewnętrzną sprawą – tu chodzi o los wszystkich niewolników... Dlatego głosuję za Spartakiem. I wiem, że wszyscy w głębi duszy myślicie to samo. O obrazach musimy teraz zapomnieć. Tu są tylko dwie drogi do wyboru: za albo przeciw. Uważam, że nie warto już dyskutować. Przegłosujemy tę sprawę.

Spartakus uśmiechnął się i jego twarde rysy złagodniały.

– A więc, towarzysze, kto jest za udzieleniem pomocy wojskom Kriksosa?

Sotion podniósł rękę pierwszy. Za nim podniosło się jeszcze kilkanaście ciężkich prawic. Gannikus spuścił głowę i siedział niepomszony. Kastus z wahaniem popatrzył wokoło, a gdy Spartakus zaczął liczyć głosy, mruknął „a niech tam” i też podniósł rękę.

– Kto przeciw, towarzysze?

Podniosło się kilka rąk.

– Jestem przeciw Kriksosowi – odezwał się Gannikus – ale jeśli pójdziecie z pomocą, to nie oddzielę się od was.

– I my również, i my! – zawołali pozostali oponenty.

– A więc, towarzysze, zarządzamy odmarsz. Po posiłku rannym możemy ruszyć. Czy zgadzacie się, by wodzowie przeciwni udzielaniu pomocy Kriksosowi szli ze swymi oddziałami jako ubezpieczenie obozu kobiet i taborów, a my, reszta, będziemy mogli spieszniejszym marszem podążyć w góry Garganus? Spokojni o los naszych kobiet i dzieci, będziemy walczyć nie oglądając się wstecz.

– Zgoda, zarządzamy alarm – odpowiedzieli wodzowie oddziałów.

– No i cóż, Kaliasie, idź do matki – powiedział Spartakus.

Chłopiec w milczeniu zabrał różne drobiazgi: świstawki zrobione z gliny, laleczki wyrzeźbane z drzewa, figurynki ulepione misternie z chleba, i wyszedł. Były to niespodzianki, jakie od kilku dni, poświęcając wszystkie wolne chwile, przygotowywał dla Sary. Szczególnie udało mu się dziewczynka z sarenką i jeździec na koniu. Oficerowie i żołnierze oglądając te jego zabawki kręcili z podziwu głowami.

– No, no, masz ty sprytne palce, chłopaku...

– Kto ciebie uczył?

– Nie uczył mnie nikt, ale przyglądałem się, jak ojciec mój rzeźbił – odpowiadał wszystkim ciekawym.

„Czy Sara ucieszy się?” – myślał idąc w stronę obozu niewieściego. Tam już rozpoczęła się codzienna praca. Kobiety tłukły ziarno na kaszę, rozpałały ogniska, kroїły mięso, łątały żołnierskie płaszcze i sandały. Pracowały wszystkie śpiewając, śmiejąc się i pokrzykując. Była to dobra służba pomocnicza armii powstańczej, pracująca ochotniczo i sprawnie. A niejedna dzielnie stawała w szeregu, gdy przychodziło do starcia z Rzymianami. Niemalø trudu kosztowało Spartakusa zaprowadzenie tego porządku. Oficerowie i żołnierze chcieli, by rodziny mieszkały z nimi wspólnie, i tylko ostry sprzeciw Spartakusa doprowadził do tego, że wojskowe oddziały zostały wyodrębnione. Jedna z pierwszych potyczek z Rzymianami

przekonała wszystkich, że Spartakus miał rację. Żołnierz jest trzy razy mężniejszy, gdy wie, że jego dzieci i żona są bezpieczne za linią bitwy i że on własną piersią broni tego bezpieczeństwa.

Kalias pozdrawiał, idąc spiesznie, znajome kobiety. Niektóre usiłowały zatrzymać go na pogawędkę, ale chłopiec wykręcał się. Niedaleko ujrzał obok wysoką i szczupłą żonę Spartakusa, Helenę. Współ ze swą służebnicą czyściła zbroję męża. Obok kręcił się kilkuletni chłopiec bawiący się małym, drewnianym mieczykiem. Zobaczywszy Kaliasa ruszył ku niemu z groźną miną.

– Broń się, Rzymianinie!

Kalias roześmiał się na bojowy okrzyk malca, wyciągnął świstawkę, przyłożył do ust i zaświstał donośnie. Wojowniczy zapach opuścił chłopczyka. Zbliżył się i zapytał pokojowo:

– Skąd to masz, Kaliasie? To wspaniałe.

– Zrobiłem sam. Chcesz, Polniku, to ci dam, ale mi oddaj swój miecz – zażartował Kalias.

Ciężka walka odbiła się na twarzyczce malca. Po chwili jego oczy zasepiły się, rysy jakby stwardniały i powiedział z godnością:

– Jestem żołnierzem Spartaka, a żołnierze Spartaka nigdy nie oddają swojej broni.

– Brawo, synku! – zawołała Helena.

– Masz, żołnierzu Spartaka – odrzekł Kalias wręczając mu świstawkę i konia wystruganego z drzewa. – To dla ciebie zrobiłem.

Chłopczyk krzyknął z radości i wsadziwszy świstawkę do ust, próbował zagwizdać. Ale nie udało mu się. Spojrzał z oburzeniem i podejrzliwością na Kaliasa.

– Coś ty zrobił? Nie gra.

– Zaraz cię nauczę – roześmiał się Kalias.

Po kilku próbach udało się. Chłopczyk aż poczerwieniał z radości.

– Dokąd idziesz, Kaliasie? – zapytał po chwili.

– Do Sary. Muszę się z nią i z matką pożegnać.

– A gdzie ty jedziesz?

– Ze Spartakiem na wojnę.

– A ja, czy prędko urosnę, bym mógł pomagać tatusiowi bić Rzymian? – zapytał malec i nie czekając odpowiedzi dodał żałośnie: – Gdybym był tak dorosły, jak ty, to bym już dawno bił się z tymi zbójcami.

Kaliasowi bardzo pochlebila ta wzmianka o jego dorosłości, więc odpowiedział pocieszająco:

– Już jesteś duży, więc niedługo całkiem dorośniesz. A łotrów, których trzeba bić, nigdy nie zabraknie.

Pożegnali się po przyjacielsku. Żona Spartaka dała Kaliasowi garść fig. Zjadł dwie, a resztę schował dla Sary. Dziewczynka zobaczyła go już z daleka; piszcząc z uciechy, wybiegła naprzeciw. Rzuciła mu się na szyję i zaczęła go całować. Zwabiona hałasem wyjrzała z szałasu Arsinoe. Zaczęła burczeć na Kaliasa, że tak długo nie przychodził. Chłopiec wyciągnął swoje niespodzianki. Sara promieniała z uciechy. Matka zainteresowała się również tymi zabawkami. Oglądała je uważnie ze skupioną twarzą.

– Tak, synku, trzeba wracać. Musisz już zacząć uczyć się u ojca i innych mistrzów. Tu się zmarnujesz.

– Teraz, mamó, nie czas myśleć o tych sprawach – odpowiedział Kalias poważnie. – Dziś jeszcze ruszamy przeciw Rzymianom...

Opowiedział o wysłanniku Kriksosa i decyzji wodzów. Arsinoe słuchała zmarszczywszy brwi. Niepokój błyszczał w jej czarnych oczach.

– Nie martw się, mamó, wszystko będzie dobrze. U boku Spartaka nic złego spotkać mnie nie może.

Pokiwała głową i weszła do szałasu. Po chwili wróciła niosąc sandały i ciepły, wełniany płaszcz.

– Masz, synku, na drogę. Całe szczęście, żem je zdążyła przygotować...

Kalias bawił się z Sarą. Mała była wesoła jak szczygieł, paplała ciągle i śmiała się. Buzia jej się zaróżowiła, oczki błyszczały.

„Jaki to ładny pyszczek – zdumiewał się Kalias. – Kto by pomyślał, że z tego trupka znalezionego na drodze tak prędko zrobi się taka ładna dziewczynka. A mama ją kocha jak własną...”

Coś jak zazdrość zakłuło go w sercu na tę myśl, ale odrzucił ją ze złością jako niegodną żołnierza. Usłyszał sygnał trąbki obozowej, więc pożegnał się spiesźnie.

– Tylko nie płacz – upomniał matkę, widząc, że jej usta drżą. – Otrzymasz ode mnie list przez gońca Spartaka... Wy zresztą jutro ruszycie za nami...

Ale wiadomość nie przysłała tak prędko. Arsinoe codziennie chodziła do żony Spartaka, która też zaczęła się już niepokoić.

Powoli posuwali się naprzód za szybko maszerującą armią. Droga wiodła

wśród gór. Spartakus nie pozwolił jechać dolinami ze względu na niebezpieczeństwo napaści Rzymian. Szli tymi samymi przełęczami, natrafiali na wygasłe ogniska, ogryzione kości, ślady postojów koni. W miarę zwiększania się odległości między armią a obozem, zacierały się te ślady i trzeba było nieraz mozolnie i długo ich szukać. Zboczenie z drogi mogło mieć fatalne następstwa. Kobiety i dzieci szczególnie odczuwały uciążliwość drogi. Z utęsknieniem oczekiwano, kiedy wreszcie znowu znajdą się pod osłoną żelaznej armii powstańczej.

Któregoś ciepłego i rozświetlonego południa, zwiastującego już rychłe nadejście wiosny, przyjechał goniec od Spartakusa przywożąc wiadomości i listy dla rodzin.

Arsinoe bez tchu pobiegła do wozu Heleny, żony Spartaka, i po chwili wracała przyciskając do serca wąski rulonik listu.

Gdy Sara usadowiła się obok niej, rozwinęła list i drżącym trochę głosem zaczęła czytać:

Pozdrawiam Was i kłaniam się, Kochana Mamo i najmilsza Saro! Wybaczcie, że tak długo nie dawałem o sobie żadnej wiadomości, ale było to niemożliwe. Mielśmy strasznie dużo roboty z Rzymianami. Maszerowaliśmy szczytami górskimi, co było bardzo trudne. Ale za to udało się nam całkowicie zaskoczyć wrogów. Dolinami posuwały się trzy legiony pod wodzą konsula Gneiusa Corneliusa i Lentulusa Clodianusa. Zaszliśmy im drogę tak niespodziewanie, że udało nam się rozbić ich całkowicie. Zdobyliśmy dobrze zaopatrzony obóz. Większość legionistów zginęła, reszta uszła do armii konsula Luciusa Geliusa Publicoli i propretora Arriusa, którzy ścigali cofającego się Kriksosa. I wyobraźcie sobie, że Rzymianie ścigali Kriksosa, a my Rzymian. Leciliśmy za nimi jak chłopcy za orszakiem ślubnym, tylko oni nam nie rzucali orzechów. A gdyśmy uderzyli na nich, to całe wojsko śpiewało ostatnią piosenkę Sotiona:

*Gladiatorska gra pobudka,
Dziś do boju wzywa nas,
Do zwycięstwa chwila krótka,
Wypełni się zemsty czas.*

I ja też śpiewałem; ale nie szedłem w pierwszym szeregu, bo Spartakus

zabronił. Byłem w ostatniej linii między tiariuszami, ale dobre i to. Mógł przecie całkiem zabronić. Za to ochoczo śpiewałem pieśń, a szczególnie tę strofkę, którą najbardziej lubię:

*My do boju tak ochoczo
Jak tancerze idziem w tan,
Chociaż piersi krwią się broczą,
Nie doznają plecy ran.*

Niestety, chociaż tak spieszyliśmy się, nie udało się nam obronić Kriksosa. Gdyśmy spadli na plecy Rzymian, było już po wszystkim. Rzymianie właśnie wyprawiali sobie ucztę z powodu zwycięstwa nad Kriksosem. A myśmy im za to wyprawili lanie! Ale i naszych dużo zginęło. A teraz przygotowujemy się, aby urządzić pogrzeb Kriksosowi i wszystkim poległym. Wodzowie postanowili, że będziecie na tych uroczystościach, więc zobaczymy się za kilka dni.

Twoje sandały, Mamo, bardzo mi się przydały, ale je już całkiem podarłem. Płaszcz mi jeszcze służy, bo rzadko go używam. Dnie, a nawet i noce są ciepłe. Cieszymy się z wiosny, bo zima wszystkim dokuczyła.

*Wasz
Kalias*

Tak oto Kalias w naiwnych słowach, pisząc niezgrabnymi, wielkimi literami, doniósł matce o najznakomitszych zwycięstwach Spartaka – rozbiciu w proch całej wysłanej przeciw niemu potęgi rzymskiej. Przygotowana z wielkim wysiłkiem i nakładem kosztów armia, składająca się z sześciu legionów, pod uderzeniem Spartaka rozpadła się jak szczapa pod obuchem drwala. Bogaty sprzęt wojenny, tabory, konie i duża liczba jeńców wpadły w ręce powstańców. Spartakus stanął u szczytu potęgi. Ugięli przed nim głowy wszyscy wodzowie mniejszych oddziałów. Zgodzili się bez szemrania na marsz za Alpy. Spartakus nie mylił się tyle razy, więc chyba i teraz wydawał najślusniejszą decyzję. Nikt nie wierzył w możliwość zdobycia Rzymu jednym atakiem, a na mozolne zdobywanie przez długie miesiące brak było odpowiedniego sprzętu oblężniczego i wyposażenia.

Tylko wyprawić pogrzeb, odpocząć po trudach pospiesznej gonitwy za

Rzymianami i marsz na północ – budować wyśnzione przez Spartakusa słoneczne państwo.

Spartakus postanowił odplacić Rzymowi za wszystkie zniewagi, jakich doznał w służbie i niewoli rzymskiej, odplacić za krzywdy wszystkich gladiatorów z aren Rzymskiego Imperium. Czuł się dość silnym, by dać nauczkę. Gdy ogłosił, że urządza igrzyska na cześć poległych, za duszę Kriksosa i jego wojowników, zdumienie i niedowierzanie przetoczyło się przez obóz okrzykami i klaskaniem rąk.

Igrzyska! Igrzyska, w których zapaśnikami będą obywatele rzymscy, więcej – oficerowie rzymscy. Takiego zrównania nie spodziewał się żaden z byłych gladiatorów. „Równi nam, a może gorsi?” – zadawał sobie pytanie niejeden.

Trzy dni trwały przygotowania do uroczystości pogrzebowych. Przez ten czas nadciągnęły tabory, obóz z kobietami i dziećmi oraz reszta wojsk. Uroczystości miano urządzić na wzór rzymski, włączając w nie niektóre obrzędy i tradycje rodzinnych stron Kriksosa.

I oto w słoneczne popołudnie trąbki rozbrzmiały we wszystkich stronach obozu. Heroldowie głośnymi okrzykami oznajmili, że znakomity wódz gladiatorów Kriksos i jego dzielni wojacy „oddani są śmierci” i „komu łaska iść na wyprowadzenie, już czas”. Obok namiotów Kriksosa i ustawionych w pobliżu namiotów poległych oficerów, ozdobionych w złote godła rzymskie, wieńce laurowe i dębowe, ustawiły się rodziny, przyjaciele i oddziały wojsk.

Na wysokim łożu, nogami ku wyjściu, ubrany w złote łańcuchy i nausznicę, tak jak lubił za życia, spowity w purpurowe sukno leżał Kriksos. Wokoło ustawiły się płaczki i muzykanci. Jękliwymi głosami wespół płacząc, wespół śpiewając płaczki zaczęły wychwalać dzielność, odwagę i hojność zmarłego, ale zagłuszały je przeraźliwe dźwięki piszczałek i fletów. I nagle na znak kapłanów wszystko umilkło na chwilę, a potem ruszył pochód ku widniejącym z daleka stosom. Muzykanci, grając na przeróżnych instrumentach żalosne pienia i wrzaskliwe wojenne marsze, ruszyli pierwsi, za nimi płaczki, a potem dopiero kondukt żałobny na wozach. Za marami postępowały rodziny poległych, przyjaciele, wojsko i wielotysięczny tłum ciekawych.

Powoli zbliżano się do stosów – ustawiono na nich marmoty tych wojowników, których zwyczaj ojczysty kazał palić. Inni – a w ich liczbie Kriksos – mieli być pochowani w pieczarach gór Garganus i zamurowani. Na stosach dla nich przeznaczonych mieli spłonąć wylosowani na ten cel jeńcy, konie i ulubione przedmioty codziennego użytku zmarłych.

Pochwalne mowy pogrzebowe rozpoczęły tę część uroczystości. Sławiąc cnoty poległych mówcy zwracali się do nich jak do żywych, obiecując im różne podarki i zemstę. Gdy kapłani podpalili stosy oblewając je obficie oliwą i skrapiając winem, Spartakus dał znak ręką, a wówczas oddział żołnierzy wypędził na okrągłą arenę, przygotowaną u podnóża góry, kilkunastu Rzymian przebranych za gladiatorów. Rzymianie oglądali się trwożliwie dokoła i nie chcieli się bić, dopiero gdy z tłumu zaczęły padać gniewne okrzyki: „Tchórze! Na stos z nimi” – skrzyżowali miecze.

I wtedy właśnie przed Spartakusem stanął Furius, nieszczęśliwy ojciec i wódz, wyleczony przez Sotiona z ciężkiej rany, którą otrzymał w pamiętnym pojedynku. Oczy płonęły mu gorączką, twarz pobladła i jakby skurczyła się z bólu.

– Przyszedłem cię prosić, wodzu powstańców – mówił przerywanym i zduszonym głosem – o wyznaczenie mnie do walki gladiatorskiej [w czasie tych igrzysk... wszak też jestem twoim jeńcem.

Spartakus patrzył na niego uważnie i milczał. Otoczyli ich żołnierze szepcząc między sobą jakieś uwagi. Ci, którzy pamiętali pojedynek, opowiadali niedawno przybyłym do armii.

– To Furius?! – zawołał jeden z otaczających. – Przecie ja pracowałem z Tytusem Furiusem... mówił mi...

Wódz rzymski podskoczył ku niemu i chwycił gwałtownie za szerokie bary.

– Coś ty powiedział?! – krzyknął chrapliwie.

– E, przyjacielu, nie duś mnie! – rozgniewał się żołnierz. – Chcesz, to opowiem, ale nie szarp mnie...

– Mów, na Jowisza zaklinam, mów...

– Byłem z nim skutym przy wiosłach na aleksandryjskim statku kupieckim, gdy napadli na nas piraci... Mnie udało się umknąć. Tytus wpadł w ich ręce...

Furius jęknął i zatoczył się jak pijany.

– Herszt piratów nazywał się Milon – uzupełnił swoje wiadomości żołnierz.

– Ja wiem – krzyknął stojący za Spartakusem Kalias – kto to jest Milon... to kupiec rzymski, Gajusz Wibiusz!

– Obywatel rzymski nie może być korsarzem – powiedział karcąco Furius. – Jak ty możesz, chłopcze, mówić takie bezceństwa!

Żołnierze roześmieli się.

– A właśnie że jest – krzyknął Kalias obrażonym tonem – a właśnie że jest! To na domek mojej babki napadł Milon, ten sam Milon o czerwonej twarzy ze szramą na

prawym policzku. To on, jako kupiec Gajusz Wibiusz, sprzedał mnie na placu przy świątyni Kastora.

– O Rzeczypospolito, stoisz nad przepaścią – jęknął Furius – i słusznie karzą cię bogowie!...

Umilkł i pochylił głowę na piersi. Spartakus dotknął jego ramienia i powiedział spokojnie:

– Jesteś wolny, Furiusie. Jeśli chcesz, wracaj do Rzymu.

Furius odpowiedział po chwili, podnosząc ku niemu zboląłą twarz:

– Do splugawionego Rzymu, gdzie rządzą tacy szubrawcy, jak Krassus, a kupcami są korsarze, nie mam po co wracać... Zostanę z wami, by bić się o sprawiedliwy świat...

– Brawo! – zawołali chórem żołnierze.

– Przyjmujemy cię – odparł z godnością Spartakus i wyciągnął ku niemu dłoń. – Chodźmy do namiotu, bo tu nie warto patrzeć, jak zarzynają się te bydłeta. Z Rzymem na razie bić się nie będziemy. Jutro ruszymy na północ. Za Alpy. Budować nowe życie...

DŁUGIE RĘCE RZYMU

Jeszcze poranne słońce nie wypilo rosy z róż i osypanych kwieciami egzotycznych krzewów, gdy przy cicho szumiącej fontannie pośrodku perystylu stanął mężczyzna wyniosłej postawy. Był wysoki, szczupły, o sprężystych młodzieńczych ruchach, mimo że siwizna pokryła mu skronie. Twarz sucha, o ostrych rysach była starannie wygolona. Broda wysunięta ku przodowi, wąski sznurek warg oraz oczy bystre o zimnym połysku stali świadczyły o oschłości serca i uporze niecofającym się przed niczym. Twarz ta znamionowała egoizm i dumę człowieka, który przez całe życie przyzwyczał się rozkazywać i naginać innych do swej woli.

Po chwili spiesznym krokiem nadszedł niewolnik – invitor.

– Panie – powiedział schylając się w głębokim ukłonie – śmiem ci oznajmić, że przybył Paralos i prosi o posłuchanie.

– Niech wejdzie – rozkazał pan nie odwracając głowy od fontanny zbudowanej z czerwonego kamienia. Na podwyższeniu stał faun trzymając w podniesionej ręce flet, z którego przyskała woda na tańczące nimfy. Było to piękne dzieło ateńskiego rzeźbiarza, ale patrzącemu wydawało się, że jest za duże do perystylu, raczej nadawałoby się do otwartego parku, gdzie jest szeroka przestrzeń i perspektywa.

„Trzeba było przenieść do villarustica pod Neapol” – pomyślał i zasepił się. Wspaniały letni pałac wiejski uległ zniszczeniu w czasie walk z gladiatorami. Czy prędko będzie można budować drugi?

– Do nóg twoich pada, o wielki panie, Marku Licyniuszu Krassusie, sługa twój najniższy, Paralos! – u wniścia do perystylu zawołał zgarbiony, chudy starzec o latających, małych oczkach, zamiatając długą, siwą brodą ścieżkę ogrodu. – Wybacz, panie, żem ośmielił się zakłócić twój poranny spokój, ale nowiny ważne przynoszę.

– Mów – krótko niby nożem przeciął Krassus.

– Panie, zbój Spartakus razem ze swoją bandą zawrócił od północy na Rzym...

– To wiem – przerwał Krassus. – O tym krzyczą już wszyscy przekupnie rzymscy i hołota na Zatybrzu. Dlaczego zawrócił?

– Pad, dostojny panie, wylał i jest powódź, jakiej od lat najstarsi ludzie nie pamiętają. Spartakus nie mógł się przeprowadzić ze swoją bandą, tak jak pragnął, za Alpy. Czekał aż wody opadną, ale wtedy zjawiała się plaga komarów. Ludzie padali i umierali od ich ukąszeń... I przyszła też jakaś zaraza... Zaczęły się choroby... Zachorował synek Spartaka... Zabobonni Celtowie i Germanowie zaczęli wołać, że to

czary... Wróżbici zapowiadali im klęski, jeśli nadal będą czekać. Ale ten tygrys, Spartakus, lekcewał gadania i uspokajał niesfornych. Miasta północne wszystkie usłuchały rozkazów Rzymu i zamknęły swoje bramy. Brak sprzętu oblężniczego, a może strach przed niepowodzeniem odwrócił Spartaka od chęci zdobywania ich. Zamieszanie w obozie buntowników rosło. Wtedy ten tygrys kazał spalić niepotrzebne łupy, wyrżnąć zagrabione stada bydła i wymordować jeńców. Śmiał się, że nie ludzi morduje, lecz właścicieli niewolników. „Niech nic nie przeszkadza nam w marszu – powiedział do żołnierzy – w marszu na Rzym...” Pędzą, panie, jak jeszcze żadna armia nie pędziła... niewiele ich wyprzedziłem... nie znają zmęczenia ni odpoczynku. Ludziom w marszu i choroby przeszły. To jest rozjuszony stado zgłodniałych wilków...

– Czy jeść nie mają co?

– Nie to, panie... mięsa mają pod dostatkiem, innych rzeczy to może brak... ale oni są głodni rzymskiej krwi... Ciągle słyszałem okrzyk...Śmierć Rzymowi!”

Paralos powiedziawszy to zląkł się. W oczach Krassusa pojawił się tak złowrogi błysk, że szpieg cofnął się o krok. Zrobiło mu się strasznie, jakby chude, żylaste palce Krassusa zacisnęły się na jego starczej krtani. Poczul chłód na skroniach i niespokojne drżenie kolan.

– Tyś powiedział – zacharczał gniewnie pan – że pragną rzymskiej krwi! A wiedz, że ja tej plugawej posoki niewolniczej wytoczę tyle, ile wody w Tybrze! Że pola będą czerwienie od krwi niż od maków w maju! A krzyżów postawię więcej niż oliwek w moich ogrodach!

– Tak, panie... tak... – bełkotał Paralos i cofał się ciągle tyłem, zgięty pokornie.

Ostre „stój” jak smagnięcie batem zatrzymało przerażonego szpiega. Wyprostował się i jak bity pies pokornie spojrział w oczy.

– Wrócisz do obozu tego bandyty – mówił spokojnie Krassus – dotrzesz do jego namiotu i postarasz się, by wypił tę butelkę wina, którą ode mnie dostaniesz. A tu masz – rzucił mu pod nogi spory brzęczący woreczek, który starzec porwał chciwie i schował na piersi. – Rozdasz to jako ofiary kapłanom i wróżbitom celtyckim i germańskim, aby odradzali swoim rodakom pójścia na Rzym. Jeśli dokonasz tego, dostaniesz dwa razy większy worek złota... jeśli zdradzisz, to pamiętaj, że ręce Rzymu są długie, sięgają wszędzie... Ty wiesz o tym – zakończył z groźbą w głosie.

– Tak, panie... – wyszeptał Paralos – jeszcze nie zawiodłem cię nigdy...

– A więc pamiętaj! Możesz odejść – i Krassus odwrócił się od niego plecami, nie patrząc na pokorne podrygi cofającego się tyłem w ukłonach.

Krassus ze zmarszczonymi brwiami nerwowym krokiem przechadzał się po ścieżkach swego wspaniałego perystylu. Nie widział pięknych kwiatów ani cudownych posągów, które tak lubił codziennie oglądać. Robił wrażenie rozgniewanego, ale skurcz zaciśniętych ust świadczył, że dręczy go głęboka troska. Nie lada ciężar zwałił na niego senat. Oddał mu władzę absolutną na rozprawienie się z bandą buntowników. Trzeba jednak prawdzie spojrzeć w oczy: to nie banda – to armia. Rozbicie ich – to możliwość uzyskania od senatu prawa odbycia triumfu, jak po prawdziwej, zwycięskiej wojnie. Cienkie nozdrza pretora Krassusa rozdymają się na myśl odbycia triumfu. Choćby przez morze krwi wrogiej i rzymskiej osiągnie ten zaszczyt. Ale droga przed nim ciężka. Rozbite armie konsulów, wojsko zdemoralizowane niepowodzeniami pierzcha na sam okrzyk „Spartakus”. W skarbie państwowym pustki... No cóż, ofiaruje swoje kapitały, ale każe sobie za to później dobrze zapłacić... pater patriae, zbawcą ojczyzny go nazwą, gdy uwolni państwo od tej plagi buntu... odzyska swoje latyfundia na południu... czyż interesy państwa nie wiążą się w najpiękniejszy sposób z jego własnymi interesami? Odda największą przysługę państwu i sam na tym zarobi, dobrze zarobi.

I pretor Marek Krassus uśmiechnął się.

W tym czasie chyba nikt w całym Rzymie nie potrafił się uśmiechać.

Trwoga padła na dumne miasto. Bogacze w pośpiechu ładowali swoje złoto, klejnoty i rodziny na zagłowce i barki. Uciekali z zagrożonego miasta na morze, na pobliskie wysepki.

Przed ołtarzami i świątyniami bogów znów pojawiły się tysiączne procesje pobożnych zanoszących suplikacje. Pochody dziewic na forum odśpiewywały pieśni błagalne. Składano ofiary ze świń we wszystkich świątyniach, a na Awentynie złożono Junonie dwie krowy.

Zabobonni – a któż w Rzymie nie był zabobonny! – wypisywali na ołowianych tabliczkach modlitwy do zmarłych, a przede wszystkim do zmarłych tragicznie, błagając ich, by zesłali śmierć na Spartakusa i jego towarzyszy.

Trwoga, jak za czasów Hannibalowych, gościła w domach rzymskich, a powiększały ją gromady uciekinierów, którzy jako pierwsze ptaki nieszczęścia biegli przed pochodem wodza niewolników.

A on jak kometa pędził spod Mutiny na zatrąbę Rzymu...

Kalias po niedawno przebytej zimnicy czuł się jeszcze mocno osłabiony. Już minęły te straszne ataki, gdy zagrzebany pod skórą owczymi w czasie upalnych dni

szczękał z zimna zębami, aż język przycinał, a gorączka paliła wychudłe ciało. Może pomogły mu ziółka Sotiona, może odwrót znad błot padańskich, może to było zwycięstwo młodego organizmu?

Nie on jeden przeszedł tę straszną chorobę, na szczęście w niewielu wypadkach śmiertelną. Zmarło kilka kobiet i dzieci, reszta przetrwała, a już po cofnięciu się z przeklętej północy wszyscy wrócili do zdrowia. Choruje jeszcze tylko mały Polinik, synek Spartaka. Biednego malca nie cieszą już gwizdawki i zabawki, które Kalias pracowicie wydłubuje z białego drzewa gruszkowego. I sztuka Sotiona jest bezsilna wobec tej choroby. Radzi Spartakusowi odesłać malca na południe, ale Spartakus boi się rozstawać z rodziną. Wie, że tylko jego wszechwładne ramię zapewnia im bezpieczeństwo.

Kalias zabiera wystruganego ostatnio orła, który rusza skrzydłami po pociągnięciu za sznurek, i Heraklesa o kanciastych, twardych rysach przypominających Spartaka i powolnym krokiem idzie do namiotów kobiecych.

Dziś dzień odpoczynku w marszu, jutro ruszą pod Rzym.

Już z daleka widzi żółtą chlamidę matki i czerwone peplum żony Spartaka. Stoją przed namiotem i z ożywieniem rozmawiają. Zaprzyjaźniły się ostatnio, od czasu choroby chłopców, i jedna bez drugiej żyć nie może. Sara kręci się obok nich. Jakie szczęście, że matka i Sara nie chorowały! Jeszcze teraz Kalias wzdycha z ulgą, gdy o tym pomyśli.

Kobiety zauważyły go również i przyjaźnie machają rękoma. Sara biegnie naprzeciw.

– Wiesz – woła zaróżowiona z biegu i emocji – Polinik usnął! Paralos dał mu jakieś zioła, po których spociał się bardzo i usnął. Mamy bardzo się cieszą.

Kalias zachmurzył się usłyszawszy o Paralosie. Dziwnie mu ten Grek, a zresztą kto wie, czy naprawdę Grek, nie przypadł do smaku. Nie po grecku, ale twardo i bezdźwięcznie wymawia ten Paralos piękne greckie słowa. Tłumaczy się, że długo przebywał na wschodzie, ale kto to wie?

Kalias nie lubi go za wścibstwo i ciekawość. Wszystko go interesuje, o wszystkim chce wiedzieć. Nagabywał Kaliasa kilkakrotnie, nawet mu daktyli i fig przyniósł kiedyś. Słodki jak wysmarowana miodem żmija. A ciągle kręci się przy namiocie Spartakusa i jego żony. Całe szczęście, że wódz też go nie lubi, bo inaczej to już chyba nie można byłoby się go pozbyć.

Paralos siedzi uśmiechnięty u wnijscia do namiotu na małym stołeczku.

Kobiety obsypują go pochwałami za cudowny lek, który przyniósł biednemu Polinikowi polepszenie. Paralos mruży małe oczka i mówi przymilnie, słodziutko:

– Będzie zupełnie zdrów, tylko jedźcie z nim na południe... pod Rzymem też powietrze niezdrowe... a w samym Rzymie, gdzie będziemy za kilka dni – nasz opiekun Herakles to sprawi – jeszcze gorsze... Ublągałem Junonę, to jest chciałem powiedzieć Herę, o szczególną opiekę nad waszym ogniskiem, pani. Ta modlitwa była widać skuteczna, bo żadne leki nie pomogą, jeśli bogowie nie okażą swej łaski... Tu mam – wyciągnął zza pazuchy ciemną butelkę – wino zrobione i poświęcone w świątyni Asklepiosa. Skuteczne na różne choroby, leczy natychmiast rany otrzymane w walce... jest to wino tylko dla rycerzy... nie wolno dawać go ani dzieciom, ani kobietom, bo straci swą cudowną moc. Usuwa natychmiast wszelki ból i zmęczenie, daje jasność myślom. Jeśli twój mąż, o pani, wielki Spartakus przyjdzie do ciebie znużony, smutny lub chory, poczęstuj go, pani. Niezmiernie to cenne wino, pani. Strzeż go jak oka w głowie.

Helena z uśmiechem wdzięczności przyjęła niezwykle prezent i ostrożnie zaniósła go do schowania.

– O, wódz nasz często ma teraz zasepione czoło – powiedziała z żalnością w głosie, wracając przed namiot. – Jeśli dziś przyjdzie, to zaraz go poczęstuję, niech chmury znikną z tego zeusowego oblicza.

– Tak, tak pani – przyświadczył gorąco i z pośpiechem Paralos – poczęstuj go, pani, a jutro dla ciebie przyniosę równie skuteczne, poświęcone wino.

Kalias zabawiał się z Sarą, ale uważnie przysłuchiwał się rozmowie Paralosa z Heleną. Dlaczego ten chciwy starzec tak bezinteresownie ofiarowuje butelkę cennego, cudotwórczego wina? Przecież wino w ogóle jest kosztowną rzadkością w wojsku Spartaka, a w dodatku takie niezwykle wino!

Paralos zaczął się pospiesznie i uniżenie żegnać. Powiedział, że idzie spać, bo jest zmęczony, a musi wypocząć przed jutrzejszym marszem. I prędko, jak człowiek doskonale wypoczęty, poszedł w stronę obozowiska Traków. Kalias pożegnał się również i zawrócił ku namiotowi Spartakusa. Idąc szybko, widział ciągle przed sobą siwą głowę Paralosa. I naraz zdumiał się. Paralos zamiast zawrócić na prawo, skręcił na lewo, w pole poza obręb obozu. Widniały tam wśród wzgórz stare, rozwalone przez burze i deszcze grobowce. Kalias zaciekawiony przyspieszył kroku. Znowu ujrzał siwą głowę starca wyłaniającą się na chwilę zza wysokiego białego głazu.

Paralos obejrzał się, Kalias zdążył przykucnąć za krzewem. Zaciekawiony do

najwyższego stopnia, ukrywając się za gałkami i krzewami, Kalias biegł za Paralosem. Starł się nie stracić go z oczu. W biegu zahaczył o jakiś kamień nagrobny, który upadł z hukiem. Kalias przykucnął i zdrętwiał. Paralos stanął i długą chwilę rozglądał się bacznie i nasłuchiwał. Hałas nie powtórzył się, więc uspokojony ruszył dalej. Chłopiec posuwał się już teraz ostrożniej, wymijając zwietrzałe kamienie grobowców. Wreszcie starzec stanął, rozejrzał się znowu i uspokojony snadź całkowicie, zakukał trzykrotnie. Odpowiedziało mu takie samo trzykrotne kukanie. Kalias z biciem serca przyczołgał się pod sam gałąz, za którym zniknął Paralos.

Usłyszał jego znizony głos:

– Roma?

Uszu chłopca doleciała tak samo przytłumiona odpowiedź:

– Zawsze zwycięska.

Kalias ostrożnie wychylił się i spojrzał. Plecami oparci o gałąz siedzieli dwaj ludzie. Paralos i obcy jakiś człowiek w stroju niewolniczym.

– Co mam donieść mojemu panu? – zapytał nieznajomy.

– Powiedz, że jego dar wręczyłem żonie zbója. Jeszcze dziś ma go poczęstować cudownym lekiem Asklepiosa... che... che... che!... – zarechotał zadowolonym śmiechem Paralos. – A wróżbici celtyccy nie próżnują...

Kalias poczuł, że serce przestało mu uderzać przez chwilę. Wstrząsnął się z zimna jak przed atakiem febry. Zrozumiał nagle, jakie straszne niebezpieczeństwo zawisło nad głową ukochanego wodza. Już zmierzch... O tej porze Spartak zawsze przychodzi dowiedzieć się o zdrowie syna... jeśli... 1 Kalias nie kończąc swojej strasznej myśli zawrócił pospiesznie. Starając się nie wywoływać hałasu cofał się kilkadziesiąt kroków na palcach, ostrożnie, a gdy już był pewien, że spiskujący nie usłyszą jego kroków, jak popędzany batem koń pobiegł ku namiotowi Spartaka. Tak nie biegł nawet wtedy, gdy uciekał przed Markiem. Migały mu w oczach twarze mijanych ludzi, namioty, ogniska. Skronie pulsowały, jakby miały pęknąć.

Gdy zlany potem stanął u wejścia do namiotu i uchylił zasłony, krzyknął z przerażenia. Spartakusa nie było. Na posłaniu ze skór siedział Sotion i rozmawiał z Gannikusem.

Kalias nie mógł wydobyć głosu, dysząc ciężko.

– Co tobie, chłopcze? – zdziwił się Sotion.

– Gdzie Spartak?! – krzyknął Kalias.

– Poszedł do syna – odparł zdumiony Sotion. – Co tobie?

Sotion nie usłyszał odpowiedzi. Chłopak opuścił zasłonę i tylko przez chwilę jeszcze rozlegał się tupot jego sandałów. Pędził bez tchu ku widniejącemu z daleka namiotowi Heleny. Polluks zastąpił mu drogę i zawołał coś, usiłując zatrzymać go, ale Kalias odepchnął przyjaciela gwałtownie i jak szalony wpadł do namiotu.

Przy stoliku, na którym stał srebrny puchar i leżały kawałki chleba z mięsem, siedział Spartak.

Kalias chwycił puchar i wylał jego zawartość.

– Chłopcze, co ty wyprawiasz! – krzyknęła z oburzeniem żona Spartaka siedząca przy łożu, na którym leżał blady i smutny Polinik.

Po twarzy Kaliasa ciekł pot i łzy.

– Czy to wino... Paralosa? – wykrztusił z trudem.

– Nie.

Kalias odetchnął głęboko i ręką otarł twarz.

– Nie piliście wina... Paralosa?...

– Nie, Kaliasie – odparła ze zniecierpliwieniem Helena.

Spartakus pogładził Kaliasa po mokrych włosach.

– No, spokojnie, synku, odpocznij i opowiedz, co się stało.

Gdy Kalias uspokoił się trochę i opowiedział podsłuchaną rozmowę, Spartakus zamyślił się i swoim zwyczajem zanurzył palce obu rąk w gęstej czuprynie.

– Cóż, Kaliasie, zabierzemy to wino i przy okazji wypróbujemy jego skuteczność.

I uśmiechnął się. Kalias po raz pierwszy zobaczył ze zdumieniem, że ukochany wódz potrafi uśmiechać się takim okrutnym, zimnym uśmiechem.

* * *

Nazajutrz prawdziwa burza zwała się do namiotu Spartakusa. Przyszli delegaci Celtów i Germanów. Przyszedł Gannikus, Kastus i inni wodzowie. Zażądali cofnięcia się spod Rzymu.

Spartakus był rozgniewany jak Zeus, gdy ciska piorunami. Tak wyobrażał sobie gniew ojca bogów Kalias siedząc cicho w kącie za mieczami i tarczami, które wodzowie złożyli po przyjsciu.

– Dlaczego chcecie się teraz cofać, gdy Rzym może wpaść w nasze ręce? Nigdy Rzym nie był tak słaby i bezbronny, jak w tej chwili... ludność w panice... wojska świeżo zaciężne, lichy wyszkolone i niesforne, a my jesteśmy silniejsi niż wtedy, gdy

żył Kriksos, silniejszy niż przed bitwą z konsulami... tylko teraz możemy pokusić się o zdobycie Rzymu... jeśli ruszymy w ciągu dwóch najbliższych dni, obiecuję wam zwycięstwo...

Powstał Gannikus. Jego czarne brwi zrosnięte nad nosem wyglądały jak skrzydła jaskółki zrywającej się do lotu.

– Ty nam obiecujesz zwycięstwo, ale nasi wróżbici obiecują nam klęskę i śmierć, gdy uderzymy na Rzym. Zwycięstwo czeka nas na południu. Tak wypadają wróżby i u nas, i u Celtów. Jeden wróżbita może się mylić – ale nie mogą mylić się wszyscy...

– Tak... tak – przyświadczyli wodzowie. – My się bić o Rzym nie będziemy...

Spartakus spoglądał przez chwilę z niedowierzaniem, a potem nagle wybuchnął śmiechem. Zebrani popatrzyli na siebie ze zgorszeniem i niepokojem.

– Odkąd to wodzowie szukają znaków zwycięstw na kurzych flakach lub w dymie kości świńskich, a nie na ostrzu swoich mieczy? – zapytał ironicznie, przestawszy się śmiać. – Czy zaglądaliście w bebechy zwierzęce, gdym was wiódł przeciw Waryniuszowi i dwukrotnie przeciw konsulom, czy tam szukaliście znaków zwycięstw, czy na twarzach własnych żołnierzy? Złękliście się teraz Rzymu, gdy można go jak dojrzałą gruszkę strącić do naszych nóg?

Kastus podniósł swoją przyciężką postać.

– Ty z nas, Spartaku, nie kpij. Myśmy wtedy w bebechy ptasie nie zaglądali, ale też i wojsko inaczej myślało. Żołnierze, kobiety, a szczególnie kapłani mówią, że odwróciła się od nas łaska bogów od chwili nieszczęśliwego marszu na północ. Bo i co tam zyskaliśmy? Choroby i niepotrzebne trudy. Z zaprowiantowaniem ciężko. Oprócz mięsa nie mamy co jeść. Czym nakarmisz armię, gdy przyjdzie do oblegania Rzymu?

– Oblegać nie będziemy. Mam plan zdobycia Rzymu od jednego uderzenia...

– Jeśli żołnierze przestali wierzyć, że go zdobędziemy, to ty myślisz, że zdobędziesz?

– Przekonam ich.

– Nie przekonasz. Przekonali ich wróżbici i kapłani. Żaden żołnierz nie zechce bić się o Rzym.

Dowódcy gorąco poparli przemówienie Kastusa. Spartakus zamyślił się. Sam ze swoimi wiernymi Trakami i Hellenami nie zdobędzie Rzymu. Jeśli Germanowie i Celtowie cofną się, musi ustąpić razem z nimi. Innej drogi nie ma. Może jednak uda się przekonać ich? Nie do uwierzenia, jak łatwo w niepowodzeniu i troskach ucho

ludzkie daje posłuch przesądom, wróżbom, plotkom! Jakie znaleźć argumenty przeciw nim?

Kalias siedział i przeżywał ciężkie zmartwienie. Za prędko, stanowczo za prędko wycofał się zza głazu, gdzie podsłuchiwał Paralosa. On coś mówił o celtyckich wróżbitach, ale co? Nie próżnują? Co to znaczy? Kto zdolny byłby odgadnąć, co Paralos miał na myśli?

Spartakus po chwili ciężkiego milczenia podniósł głowę i powiedział prosząco:

– Słuchajcie, towarzysze. Zatrzymamy się tu jeszcze dwa, trzy dni... Może żołnierze uwierzą, że zdobycie Rzymu nie jest takie trudne... Boję się, że wypuszczamy z rąk ostatnią szansę rozbicia Rzymu. Za parę miesięcy może to być nieosiągalne... Rozważcie to dobrze. Na dziś dosyć, ale zbierzemy się jeszcze za dwa, trzy dni. Wojsko odpocznie, może innego ducha nabierze.

Wodzowie rozeszli się w milczeniu. Spartakus siedział chmurny, zamyślony. Oliwa skwierczała w lampce i paliła się słabym płomieniem. Drgnęła zasłona u wnijscia.

Wszedł Sotion.

– Dlaczego nie było ciebie na naradzie, Sotionie? – zapytał z wymówką Spartakus.

– Zatrzymałem się dłużej u twego synka – odparł zgnębionym głosem Sotion.

Spartakus podniósł głowę.

– I co?

– Dziś znowu gorączkuje. Jest mu gorzej. Myślę, Spartaku, że tylko na południu lub w Kampanii może odzyskać zdrowie. Tu powietrze mu nie służy.

Spartakus milczał długą chwilę. Potem zaczął opowiadać Sotionowi o zebraniu wodzów.

– I co myślisz, Sotionie? – zapytał skończywszy.

– Sądzę – odparł po namyśle Sotion – że jeśli Germanie odejdą wraz z Celtami, sami nie damy rady. Rzym, nawet osłabiony, to jeszcze potęga – na jego murach możemy połamać zęby. Radziłbym ci, Spartaku, pójść na południe... więcej nawet... pójść na Sycylię. Tam założymy słoneczne państwo... nasze civitas solis... Sycylia, słabo uzbrojona, nie oprze się naszej potędze. Bronić Sycylii, którą ufortyfikujemy, przed atakiem Rzymu, nie będzie trudno. Tam się możemy utrzymać.

Kalias usłyszał, że coś się poruszyło gwałtownie za ścianą namiotu. Wybiegł. To jakiś człowiek zaplątał się w sznurach i przewrócił.

– Kto tu?! – krzyknął chłopiec.

Nadbiegło dwóch strażników obozowych z wyciągniętymi mieczami.

Usłyszeli jęczący, przerażony głos:

– To ja, Paralos... szedłem do swojego namiotu, gdy zrobiło mi się słabo... usiadłem tu, aby odpocząć, i zaplątałem się w jakiś sznur.

– Ach, to ty, Paralosie – odezwał się uprzejmie Spartakus. – Wejdź do namiotu, odpoczniesz. A potem Kalias odprowadzi cię na spoczynek.

Paralos usiadł na trójnogu.

Spartakus ujął go za ramię.

– Usiądź tu, Paralosie, na skórach, będzie ci wygodniej... A na twoją słabość mamy przecie lekarstwo... zaraz ci przejdzie... zły to lekarz, który o siebie nie dba. Oddałeś mi cały swój cudowny lek, a patrz, jak tobie się przyda.

Przerażenie odmalowało się na twarzy Paralosa.

– Ja – wykrztusił – ja... jestem już całkiem zdrow... już mi przeszło...

Ale Spartakus skinął na Kaliasa, który z ochotą wyciągnął puchar, otworzył butelkę Paralosa, nalał szczerze i podsunął pod nos szpiega.

– Na zdrowie, Paralosie, cudowne wino Asklepiosa.

Paralos odsunął się. Oczka latały mu niespokojnie jak u szczura schwytanego w sidła.

– Ja... nie będę pił, to wino tylko dla *rycerzy*... – wymamrotał z trudem.

– Raczej dla sług Krassusa, pij – powiedział groźnie Spartakus.

Paralos ujął w dygocącą rękę puchar. Wino wylewało mu się na kolana i na brodę. Nie mógł podnieść ręki do ust. Nagle rzucił puchar na ziemię i runął do nóg Spartakusa.

– Przebacz, najszlachetniejszy z rycerzy! – ryknął z płaczem.

Spartakus odsunął się ze wstrętem. Skinął na obserwujących tę scenę strażników.

– Zabierzcie to ścierwo i oddajcie pod straż Panaresowi. Niech go dobrze pilnuje – rozkazał.

Żołnierze wywlekli jęczącego Paralosa. Kalias podniósł puchar, postawił z boku i z obrzydzeniem otarł palce o tunikę. Zapadła cisza. Wódz zmarszczył czoło i oparł brodę na dłoni. Kalias nie śmiał się odezwać. Po chwili usłyszał na dworze jakiś krzyk i klątwy. Kalias uchylił zasłony i wyjrzał. Ciemny wieczór nie pozwolił nic dojrzeć.

– Jaka szkoda, panie – powiedział do Spartakusa – że nie wysłuchałem do

końca, co Paralos mówił do posłańca Krassusa. Mówił, że wróżbici celtyccy nie próżnują...

– I nic więcej nie dosłyszałeś?

– Nie, spieszyłem, panie, żebyś nie skosztował tego przekłętego wina...

Spartakus klasnął w dłonie. Wbiegło dwóch strażników trąc pięściami zaczerwienione powieki, z których ciekły łzy.

– Zawróćcie z drogi strażników wlokących starca – rozkazał Spartakus, a widząc ich obrzękłe powieki, dodał ze zdumieniem – co wam, czego płaczecie?

Strażnicy spojrzeli po sobie z niepokojem i jeden z nich, snadź śmielszy, odpowiedział:

– Myśmy go, panie, nie wlekli, on biegł jak jeleń i nagle przewrócił się. A gdyśmy się schylili, by go podnieść, sypnął nam w oczy jakiś gryzący proszek. Zaczęliśmy krzyczeć, nadbiegli żołnierze, aby nam pomóc. Ale starzec gdzieś znikł. Nikt nie wiedział, co się z nim stało... To musiał być jakiś potężny czarownik, panie.

– Musicie go odszukać i przyprowadzić.

– Panares zarządził poszukiwanie, panie. A nam kazał przyjść tu i opowiedzieć, co się stało. Ale my baliśmy się wejść – odpowiedział strażnik, wierzchem dłoni ocierając łzy, które bez przerwy płynęły spod spuchniętych powiek. – Już my mu nie darujemy, gdy go schwytemy...

Ale Paralos znikł jak oliwka wrzucona do Tybru. Gdy doniesiono o tym Spartakusowi, skinieniem ręki odprawił strażników i wyłamując palce, aż zatrzęszczały w stawach, powiedział z rozpaczą:

– Długie i zbrodnicze są ręce Rzymu, a ja nie mogę ich uciąć!

SŁONECZNE DNI

– Kaliasie, wstawaj, już czas!

Chłopiec przetarł kułakiem zaspane oczy. Nad nim stała uśmiechnięta matka. Usiadł na łożu, a potem spuścił stopy na zimną, mozaikową posadzkę. Przeciągnął się. Z mięśni wraz ze snem wyparowywały resztki zmęczenia po wczorajszych ćwiczeniach. Matka położyła na trójnogu włochaty ręcznik i wyszła.

Tak, to dziś zawody. Jednym ruchem zrzucił krótką tunikę i nago wbiegł do perystylu.

Ogród barwił się przepychem wspaniałych, jesiennych kwiatów. Powietrze było ciepłe, nasłonecznione mimo wczesnej pory. Kalias skoczył do środka sadzawki pod

fontanną. Pokrzykiwał wesoło i prychał jak źrebak, chlapiąc się wodą. Potem wrócił szybko do sypialni, wytarł się ręcznikiem, założył sandały, czystą tunikę, chwycił buteleczki z oliwą i pobiegł do jadalni.

Tam już czekały na niego rumiane kromki chleba, ser i mleko. Prędko uwinął się z jedzeniem.

– Mamo, już idę! – krzyknął gdzieś w głąb domu i, nie czekając na odpowiedź, w kilku susach znalazł się przed willą.

Willa znajdowała się tuż przy ulicy biegnącej prosto do morza. Była to wygodna „villa urbana”, którą w popłochu opuścił dawny właściciel uciekając przed gniewem i zemstą swoich niewolników. Od kilku miesięcy zamieszkiwały ją Helena, żona Spartakusa, z synkiem i Arsinoe z Sarą.

Kalias spojrzął ku morzu. Na wybrzeżu kręciło się kilku żeglarzy, statki gotowe do drogi czekały widocznie na sygnał odjazdu. Na masztach widniały symbole korsarskie. To wczoraj wyładowywali korsarze świeży transport miedzi i żelaza. Od razu wszystkie kuźnie zabrzmiały wesołym brzękiem kutych mieczy. Spartakus nakazał pośpiech i kowale, skracając nocny odpoczynek do jednej wigilii, w pośpiechu kuli broń.

Miasto Thurli przeżywa swój bohaterski okres. Tu Spartakus po cofnięciu się spod Rzymu założył tymczasową stolicę powstańczą i główną bazę zaopatrywania wojska. Miasto rozpadło się właściwie na dwa oddzielne ośrodki: cywilny i wojskowy. Dzielnica handlowo-przemysłowa zamieszкана przez ludność tubylczą i tysiące przybyszów, których zwabiła wolność i możliwość zarobkowania, rozrosła się do nieznanych przedtem rozmiarów. Zakwitł w niej przemysł zbrojeniowy i handel. Dzielnica wojskowa rozpoczynała się za miastem, w pobliżu morza. To prowizoryczne miasto namiotów i baraków kilkakrotnie większe od właściwego miasta pulsuje swoistym rytmem życia. Ciągłe ćwiczenia wojskowe, wyścigi konne, zawody sportowe i popisy szermierzy kształcą wielotysięczną rzeszę w trudnej sztuce wojennej. Bo wszystko zmierza ku temu, by z tej płynnej, ciągle narastającej, niesfornej masy różnoplemieńców zbudować zdyscyplinowaną, karną armię. Do ostatecznej rozprawy z Rzymem jeszcze nie doszło. A Rzym milczy i po cichu zbroi olbrzymie zastępy. Ten pozorny spokój czasem mami Spartakusa, tak że zapomina o niebezpieczeństwie. Gdybyż tak można schować zakrwawione miecze do skrzyń i poświęcić się tylko temu, ku czemu serce się rwie – budowaniu nowego świata, civitas solis! Zapomnieć o podstępym, krwiożerczym Rzymie i budować, budować!

Uczniowie Spartakusa, gladiatorzy ze szkoły kapuańskiej, którzy unieśli cało głowy z poprzednich walk, są teraz dowódcami oddziałów i pułków.

Gladiatorzy nadają charakter tej zbieraninie ze wszystkich pól i dróg Rzymskiego Imperium. Tak trudno te niesforne masy wtłoczyć w ramy wojskowego rygoru. Mało pozostaje czasu na przekształcenie tłumu w armię, ale wola przetapia w czyn dążenia wodza. Ten, co jeszcze wczoraj był na wpół zdziczałym rozbójnikiem, żądnym łupów i krwi, pod ręką gladiatorów zostaje żołnierzem.

Kalias patrzył ku wojskowemu miastu. Jeszcze czas. Żołnierze czyszczą konie, zbroje, dymią kotły z gotującymi się potrawami. Warto wpaść na forum, gdzie znajduje się willa, w której mieszka Efebus, Egipcjanin, przyjaciel z czasów służby Kaliasa u Waryniusza. Odnaleźli się kilka miesięcy temu i przerwana przyjaźń ożyła na nowo.

Na forum ożywienie i gwar. Rozpoczął się już codzienny targ. Handlarze rozstawiają stoły z warzywem, pieczywem, rybami i mięsem. Przed kramem, gdzie sprzedają zwykle mąkę, zbiegowisko. Przeważają kobiety. Twarze rozgorzałe, rozpalone. Coś się musiało stać. Kalias zbliżył się pędem.

– Lichwiarza do Spartakusa! Śmierć złodziejowi!

– Do morza z nim! – rozległy się wściekłe okrzyki.

Kalias przystanął z zaciekawiony. Ktoś pociągnął go z tyłu za łokieć. Obejrzał się.

– Salve, Efeb, co tu się dzieje? – przywitał przyjaciela.

– Kupiec chciał za mąkę więcej, niż obowiązuje cena. Baby zbiły lichwiarza i chcą go oddać pod sąd Spartakusowi.

– To po co kupują u lichwiarza? – zdziwił się Kalias.

– Wczoraj opóźnił się transport korsarzy z Sycylii, nie zdążyli wylądować mąki i kupiec chciał to wykorzystać.

– Powinni go wrzucić do morza – zdecydował Kalias. – Idziemy na zawody, już czas.

Przyjaciele wzięli się za ręce i podążyli w stronę jaśniejącego złocistością piasku szerokiego wybrzeża.

Dziś zawody pentatlonu. Biorą w nich udział chłopcy od piętnastu do dwudziestu lat. Kalias jest jednym z nich. Efebus przejęty powagą chwili kroczy dumnie obok przyjaciela. Żądło zazdrości kłuje go w serce. Dlaczego los jest tak niesprawiedliwy, że on nie ma tych głupich piętnastu lat? Całe dwa lata jeszcze trzeba czekać, doprawdy to okrutne. Jest pewien, że w biegach i skakaniu osiągnąłby

najlepsze wyniki. No, ale trudno – dziś dzień Kaliasa. Trzeba mu pomóc w miarę możliwości. Efebus ściska w garści maleńką buteleczkę zielonkawej oliwy. To nie byle jaka oliwa – to oliwa z Egiptu, ze świątyni Ozyrysa. Dostał ją wczoraj od kapłana z Memfis. Natarcie się nią przywraca siły strudzonemu, wraca nadzieję wąpiącemu. Efebus zdecydował wspaniałomyślnie wręczyć przyjacielowi ten dar w czasie zapasów, bo to mu zapewni zwycięstwo.

Na stadionie, który powstał w poszerzonej daleko w głąb lądu plaży, ruch ożywiony. W oddzielnej grupie trzymają się zawodnicy. Kręcą się przy nich nauczyciele, dając ostatnie wskazówki i pouczenia. Tłum widzów składający się z żołnierzy wolnych od zajęć służbowych, młodzieży, która nie wykazała dostatecznego poziomu w poprzednich rozgrywkach, i mieszkańców Thurii rozsiadł się pod osłoną młodych pinii, wachlarzowato rozpinających swe ciemne korony. Zwyczajem greckim – południe Italii od wieków silnie ulegało wpływom Hellady – nie ma tu kobiet; zawodnicy są prawie wszyscy nadzy, tak samo wielu młodzieńców zrzuciło krępujące tuniki. Śmigłe, wygimnastykowane ciała złocą się w słońcu. Język grecki i miejscowe narzecze dominują. Od czasu do czasu słychać dziwny język – zlepek narzeczy germańsko-celtyckich przeplatany gwarą przedmieść Za-tybrza.

Wszystkie przygotowania skończone. Zawodnicy grupują się przy odskoczni, bo od skoków rozpoczyna się rozgrywki. Trębacze z długimi, wąskimi trąbami ustawiają się po bokach startu. Niecierpliwość i oczekiwanie drży we wznoszonych okrzykach.

Wreszcie głośnie: „Jadą, jadą!” rozładowuje napięcie. To na wspaniałym białym koniu w otoczeniu starszyny wojskowej w towarzystwie wodzów oddziałów germańskich i celtyckich – Gannikusa i Kastusa – nadjeżdża Spartakus. Głos trębaczy, którzy dmą co sił w płucach w długie trąby, ginie we wrzasku wielotysięcznych wiwatujących tłumów. Spartakus unosi rękę powitalnie i uśmiecha się. Ostre rysy twarzy podobne do granitowego posągu łagodnieją i mięknią, oczy są pełne ciepła i radości. Nie nikną tylko dwie pionowe zmarszczki tworzące trójkąt na czole u nasady nosa. Przedwczesna siwizna na skroniach jasnym srebrem odcina się od ciemnej twarzy.

Wodzowie zajmują miejsca na przygotowanej dla nich trybunie. Wiwatujący i trąby milkną. W pełnej oczekiwania ciszy wysuwa się na środek stadionu jeden trębacz, uroczyście podnosi do ust swoją trąbkę i krótki sygnał daje znak rozpoczęcia uroczystości.

Kalias pręży się do skoku. Wszystkie mięśnie napięte jak struna lutni. Świadomość zwycięstwa daje mu pewność i spokój. Zawsze był pierwszy w skokach, więc i dziś nie żywi żadnych obaw.

Ciała wypadają z odskoczni, gibkie, zwinne, niby strzały wyrzucone wprawna ręką z łuku przecinają powietrze. Zawodnicy prześcigają sami siebie, lecz Kalias wysuwa się przed najlepszy skok o dwie stopy. Jego imię wykrzykuje helladonik jako pierwsze. Kalias patrzy w stronę trybuny wodzów. Spartakus kiwa do niego serdecznie ręką. Czyż to nie jest najpiękniejsza nagroda zwycięstwa?

Teraz rozpoczyna się drugi punkt zawodów – biegi. Szybkobiegacze ustawiają się w równej linii. Tu konkurencja będzie znacznie trudniejsza. Znakomity biegacz Ikkos ukośnym spojrzeniem mierzy szczupłą sylwetkę Kaliasa. Jego szeroka, wypukła klatka piersiowa podnosi się równym, mocnym oddechem. Nogi sprężyste, śniade i owłosione drżą napięciem mięśni jak uda konia oczekującego niecierpliwie na bieg. Wreszcie upragniony, krótki sygnał trąbki – porwali się z miejsc jak liście zerwane przez niespodzianą burzę. Kalias biegnie nie dotykając niemal ziemi. Obok niego w równym klusie, niby konie w jednej uprzęży, biegną współzawodnicy. Ciepły wiatr gra uszom wesołą melodię. Ale szereg jakoś załamuje się, wydłuża. Zostaje z tyłu jeden, potem dwóch, trzech. Na równej linii biegną już tylko Kalias, Ikkos, Filanor.

Grube krople potu spływają Kaliasowi po twarzy i plecach. Serce łomocze silnie, zda się, chce rozsadzić szczupłe piersi. Przyjemny wiatr staje się nagle wrogiem, który stawia opór, którego trzeba pokonać jak wodę na wzburzonym jeziorze. Nagle Ikkos krzyknął i zatrzymał się na moment. Nie wiadomo skąd nawiany cierń wraził się w jego nogę. Filanor zaś biegnie niestrudzenie. Kalias słyszy jego przyspieszony, nierówny oddech.

„Aha, już tak – jak błyskawica przelatuje przez myśl Kaliasa. – Nie dobiegnie”.

Kalias wysuwa się naprzód o szerokość klatki piersiowej – w następnym momencie już o długość cienia Filanora, który ginie mu nagle sprzed oczu.

„Został poza mną” – uświadamia sobie chłopiec. I pewność zwycięstwa uskrzydla jego kroki. Jak baletnica przeskakuje zaklętą linię mety. Tłumy ryczą. A Kalias bezwładny i mokry osuwa się w ramiona przyjaciół – Kastora i Polluksa, którzy pieczołowicie okrywają go ręcznikami.

Wierny Efebus, jakby postradał zmysły, krzyczy z przejęciem:

– Ka-lias, Ka-lias, Ka-lias! – i wymachuje rękoma. Głos jego to jakby słabe echo tłumu, który krzyczy imię zwycięzcy.

Jest teraz błogosławiona chwila odpoczynku, dopóki nie rozpoczną się następne biegi. Przyjaciele poją Kaliasa mlekiem i karmią tłustymi, słona-wymi placuszkami.

Rzucanie dyskiem najbardziej dręczy Kaliasa. To mu się nie zawsze udawało. Z troską spogląda na ciężki, ciemny krążek z masywnego brązu. Chłopcy kolejno stawali na mecie. Kalias uważnie śledził ich postawę, wygięcie ciała, rzut. Wyniki na ogół były słabe, gorsze niż na ćwiczeniach. Każdy z chłopców rzucał trzykrotnie. Miejsce upadku krążka oznaczano strzałkami. Zawodnikowi zaznaczano jego najlepszy wynik. Przyszła kolej na Kaliasa. Swoją krążek obsypał piaskiem dla łatwiejszego uchwytu, skoczył lekko na metę, sprężył się w sobie, wychylił i cisnął. Dysk zawarczał w powietrzu, robiąc jakieś dziwne obroty i padł płasko jak niezręcznie rzucony talerz. Źle. Krążek leżał w najbliższym sąsiedztwie mety. Był to najgorszy rzut tego dnia. Kalias uczył niepokojące pieczenie pod powiekami. Stał drżący, złamany niepowodzeniem.

– Kaliasie, to głupstwo! Przypomnij sobie kamienny krążek!

Chłopiec obejrzał się na trybuny. Kastor, poczciwy Kastor wołał te zachęcające słowa. Śmieje się serdecznym, pełnym otuchy śmiechem. Ten milczek Kastor przemówił. Wierny z niego przyjaciel i chce mu pomóc. Kalias otrząsa się z przygnębienia. Czego się bać? To przecie Kastor uczył go rzutów kamiennym krążkiem. I tak wtedy dobrze szło! Czyż zapomniał o tym, że Kastor pokazywał mu najlepszy uchwyt i sposób rzucania? W zdenerwowaniu uleciało mu to wszystko z pamięci. Znów obsypał krążek piaskiem, uchwycił mocno, zręcznie i – wyprężywszy się – cisnął. Metalowy krążek zaświstał jak strzała celnie wypuszczona z łuku, spadł. Tylko trzy strzały wyprzedzały go. Kalias odetchnął. Gdyby tak zrównać się z pierwszą.

Ostatni rzut był najlepszy – dysk upadł obok pierwszej strzały. Kalias z wdzięcznością odwrócił się ku trybunom. Kastor, w szerokim śmiechu odsłaniając olśniewająco białe zęby, klaskał z zapalem w ręce.

Potem rzucanie oszczepami. Tu najlepsze wyniki osiągnęli pasterze z Samnium. Wyniki Kaliasa były mierne, nie dyskwalifikowały go jednak.

I wreszcie ostatnia część zawodów – mocowanie się. Były to ulubione przez wszystkich zapasy, gdzie nie tylko siła, wytrzymałość i zręczność decydowały o zwycięstwie, ale także inteligencja i przytomność umysłu. Chłopcy naoliwiają ciała, wcierają starannie tłuszcz w skórę. Kalias już przedtem nasmarował się, więc teraz natarł tylko jeszcze raz ramiona i położył się na piasek. W tym momencie podbiegł do

niego Efebus.

– Kaliasie, masz tu oliwę!... – krzyknął jednym tchem.

Kalias przecząco machnął ręką.

– Już się nasmarowałem, zabierz.

– Cudowna oliwa, bierz! – zawołał błagalnie Efebus.

– Nie płacz się tu, nie wolno! – krzyknął ostro helladonik.

Efebus cofnął się między widzów i oto ze zgrozą ujrzał, że Kalias cudowną, zieloną oliwę wręczył swemu przeciwnikowi, który go widocznie poprosił o to, a sam beztrudnie zaczął tarzać się w piasku. To samo robili inni zawodnicy. Natarte piaskiem ciała nie wyslizgują się z rąk przy uchwycie, są szorstkie, dobre przy zapasach. Na dany znak chłopcy ustawili się parami. Kalias chwycił za barki swego przeciwnika. Rozpoczęło się mocowanie. Efebus z rozpaczą patrzył na zmaganie się Kaliasa. Jego przeciwnik był to szesnastoletni Kalabryjczyk, dawny niewolnik z kamieniołomów o silnie rozrośniętych barkach, kabłąkowatych nogach. Opalony i wytarzany w piasku wyglądał jak sękaty pień nadmorskiej sosny. Wydawało się, że nawet bez cudownej oliwy górował siłą i wytrzymałością nad szczupłym, wysokim Kaliasem. Ale walka trwa. Choć widać, że Kalabryjczyk wyteża wszystkie siły, by zmóc przeciwnika, Kalias trzyma się, ostrożny, czujny, opanowany w każdym ruchu. Czasem Efebus traci ich na chwilę z oczu, przesłaniają inni zapaśnicy, a wtedy niepokój o przyjaciela ścisza niby obręczą struchlałe serce, ale oto znów wysuwają się i nagle padają obaj na piasek, nie, to pada na plecy Kalabryjczyk, a Kalias opiera kolano na jego piersi. Efebus krzyczy do ochrypnięcia z radości i zdumienia.

Helladonik daje znak i obaj chłopcy podnoszą się. Walka rozpoczyna się na nowo, ale Kalabryjczyk walczy już bez przekonania, zastraszony i nieporadny. Całkowita inicjatywa przechodzi w ręce Kaliasa. Znów kładzie przeciwnika na łopatkę. Kalabryjczyk ma włosy zlepione potem, po umorusanej twarzy spływają wielkie krople żłobiąc jaśniejsze koleiny. Jeszcze kilka minut wysiłku i Kalias zostaje zwycięzcą. Może teraz odpocząć. Znużonym, powolnym krokiem zbliża się do grupki przyjaciół. Kastor podaje mu skrobaczkę. Jest to tępy, wydłużony sierp drewniany do zeskrobywania oliwy i piasku. Ale Kalias nie ma siły. Bierze skrobaczkę i siada bezwładnie na kamieniu, Efebus wyjmuje mu z palców skrobaczkę i delikatnie zaczyna zeskrobywać brud. Kalias biernie poddaje się tym życzliwym zabiegom.

Zawody trwają w dalszym ciągu. Na spienionym koniu pędzi od strony miasta goniec. Zatrzymują go przy stadionie. Tłumaczy coś pospiesznie i oto pokazują mu

trybuny, gdzie siedzi Spartakus z dowódcami. Goniec podbiega i ściszym głosem oznajmia:

– Wodzu, Krassus na czele ośmiu legii wyruszył z Rzymu w naszą stronę. Oddziały wywiadowcze wyszły dwa dni wcześniej i starły się z naszymi strażami w Lukanii.

Spartakus przyzywa Kastora i Polluksa:

– Na czele dwóch oddziałów ruszycie, chłopcy, do Lukanii. Postarajcie się urządzić zasadzkę i zdobyć paru jeńców. Unikajcie otwartej bitwy, ale jeśli przyjdzie do starcia, postarajcie się wślawić wasze imiona.

– Tak jest! – odpowiedzieli jednym głosem. Twarze rozblęły im radością. Z pośpiechem skierowali się do wyjścia. Zawody dobiegały końca. Zwycięzców ustawiono w jednym szeregu. Zaraz zbliżył się do nich Spartakus, by wieńczyć każdego gałązką oliwną. Kalias zaczerpnął szerokim wdechem powietrze. Co za cudowny dzień! Jakże ucieszy się matka i Sara! Jakie będą z niego dumne! Spartakus wieńczył chłopców uśmiechając się życzliwie, ale głęboka troska i chmura legła mu między brwiami. Tłum wiwatował na cześć zwycięzców. Niejeden ze starych Greków miał łzy w oczach – oto tu, na obcej ziemi, odżyła pamięć Olimpiady i wcieliła się w czyn.

Jeszcze tego samego wieczora Spartakus wezwał starszyznę na naradę. Wszyscy byli przeciwni stawieniu czoła Rzymianom, choć Spartakus nakłaniał ich do tej decyzji.

Ale wodzowie nie chcieli się bić. Sotion nie odzywał się, dopiero gdy umilkł ostatni mówca, zabrał głos:

– Mnie się zdaje Spartaku, że bić się nie warto. Naszym zamiarem jest przecie dotarcie na Sycylię. Tych kilka miesięcy spokoju, jakie tu spędziliśmy, wykorzystaliśmy należycie. Oto mamy broń, jakiej do tej pory nie mieliśmy, oto mamy dobrze przeszkolonego żołnierza. Jesteśmy tak silni, jak nigdy przedtem i wydaje mi się, że z łatwością moglibyśmy rozbić Krassusa. Ale to jest niepotrzebne. Każde ramię i każdy miecz przyda się nam na Sycylii. Znajduje się tam teraz niewielka załoga rzymska. Zdobycie Sycylii nie będzie trudne, ale trudne byłoby utrzymanie jej małą garstką.

Założymy tam nasze „civitas solis” zbrojne w żelazną pięść przed napastnikami. Będziemy taką, jak Rzym – nie, będziemy większą potęgą; bo państwo nasze oparte będzie na sprawiedliwości i równości, a takiej potęgi nie zmoże wróg, którego siła

opiera się na ucisku.

Gorąco przyklasnęli wodzowie przemówieniu starca. Spartakus skłonił głowę.

– Więc do Regium? – zapytał z wolna.

– Do Regium! – odkrzyknęli jednym głosem.

– Dobrze, ruszamy za trzy dni. Kowale wykują przez ten czas resztę mieczy i tarcz, wrócą z wywiadu Polluks i Kastor. Zgadzaście się?

– Tak! – odkrzyknęli znowu.

Kastor i Polluks wrócili po dwóch dniach. Obaj lekko ranni. Zginęło kilkunastu żołnierzy. Przywieźli ze sobą zdobycz wojenną i paru jeńców. Okazało się, że zetknęli się z dużym oddziałem straży przedniej Krassusa, dowodzonym przez legata Mummiusa. Mimo przewagi liczebnej nieprzyjaciela napadli na nich z zasadzki. Oddział Mummiusa rozbili, wojsko jego uciekło w popłochu. Krassus rozesłał pogoń, schwytał większość zbiegów i zarządził okrutną karę – decymację; co dziesiątego żołnierza ze zbiegłego oddziału, na którego padła w losowaniu czarna gałka, rozkazał w okrutny sposób na oczach całej armii zamordować. Taki los spotkał pięćdziesięciu zbiegów. Wojsko Krassusa jest przerażone tymi zarządzeniami. Poddają się bez szemrania surowej dyscyplinie.

Spartakus wysłuchał opowiadania z uwagą.

– Aha, pantera pokazuje kły i pazury przed atakiem – powiedział. – No, ale zdobycz jej się wymknie.

Następnego dnia rankiem miał nastąpić odmarsz. Czyniono ostatnie przygotowania. Spartakus, znużony całodziennym przeglądem oddziałów, po południu wraz z Sotionem i Kaliasem udał się do willi Heleny i Arsinoe.

Kobiety ucieszyły się na widok gości. Mała Sara wycalowała Kaliasa, potem Spartaka i wreszcie usadowiła się na kolanach Sotiona. Z przejęciem opowiadała o tym, jak napadł na nią gąsior. Ale ona chwyciła kij i broniła się dotąd, aż nadbiegła mama. Śmieli się i podziwiali jej odwagę. Potem mężczyźni przeszli do atrium, a kobiety udały się na stronę gospodarczą, by przygotować wieczerzę. Kalias pobiegł za nimi. Głodny był i spodziewał się, że zanim podadzą wieczerzę, uda mu się zdobyć jakiś smakowity kąsek.

– Nie przeszkadzaj, Kaliasie – zgromiła go matka i wetknąwszy mu w garść kawał wędzonej ryby dodała: – Zobacz, co to za hałas na ulicy.

Kalias wybiegł i zaniepokoił się. Od strony forum szedł ku willi kilkutyśięczny tłum. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Zobaczywszy chłopca, zaczęli krzyczeć:

– Gdzie Spartak? My do niego!

Kalias wbiegł do atrium, gdzie pogrążeni w rozmowie siedzieli Sotion i Spartakus.

– Wodzu – powiedział z pośpiechem. – Turyjczycy z żonami i dziećmi przyszli i krzyczą. Chcą cię zobaczyć.

Spartakus zdziwił się.

– Tak? A o co im chodzi?

– Nie wiem, bo mocno krzyczą.

Spartakus wstał i rzucił na łożo krótki miecz, którym się bawił.

– Poczekaj, Sotionie, zaraz wrócę.

Przed willą falował różnobarwny tłum. Rzeczywiście były tam matki z dziećmi na ręku lub z większymi trochę, które trzymały się kraju matczynych szat, byli chłopcy, mężczyźni, starcy.

Spartakus stanął na stopniu willi obok kolumny. Gwar na moment umilkł, by wybuchnąć jeszcze potężniejszymi okrzykami:

– Nie odchódź!... Nie opuszczaj nas!... Ulituj się!...

Spartakus milczał. Niemeńska słabość objęła mu nogi. Oparł się plecami o kolumnę. Jakże przyjemnie chłodzi ten marmur! Krzyk rósł i potężniał. Niektóre kobiety zaczęły płakać rwąc sobie włosy. Zawtórowały im piskliwe głosy dzieci.

Spartakus uniósł ku górze rękę. Jak fale morskie przycichają i nikną na piasku wybrzeża, tak cichł krzyk, aż wreszcie uspokoił się zupełnie.

– Czego chcecie? Mów ty – i Spartakus wskazał ręką na robotnika, którego omączona twarz i biała broda wskazywały, że niedawno przerwał pracę przy mieleniu mąki.

– Panie, rozeszła się wieść, że chcesz z wojskiem opuścić miasto i udać się do Regium. Nie odchódź od nas... Przy tobie staliśmy się ludźmi. Bat nie spada na nasze barki i dostajemy uczciwe zarobki...

Robotnik umilkł szarpiąc palcami brodę.

Starzec, o plecach zgiętych w kabłąk, wysunął się spoza grupki kobiet. Podniósł oczy w czerwonej obwódce obwisłych powiek.

– Spartaku, sześćdziesiąt lat zginałem grzbiet na polach patrycjusza, aż stałem się jak wielbłąd garbaty... Żelaza wyzarły mi mięso na kostkach, spójrz tylko... Przyniosłeś nam wolność. Radowałem się, że mój duch wolny pójdzie poza grób... i oto odchodzisz... Więc i po śmierci czeka mnie łańcuch niewolniczy? Ulituj się,

panie...

Starzec westchnął i pokrzywionymi niby sucha gałąź palcami otarł łzy.

– Wróciliśmy na własne zagony wydarte przez patrycjuszy! – krzyknął chudy, żyłasty chłop. – Czy znowu mamy zostać „wolnymi z pól”?

– Odkąd tu jesteś, panie – zawołała przysadzista, śniada kobieta – moje dzieci nie zaznały głodu, handlarze nie odważyli się brać wyższych cen, niżej przepisał, nie odważyli się chować towaru i oszukiwać na wadze! Odejdiesz, panie, przyjdą Rzymianie i znów wrócą stare krzywdy.

– Nie odchodź, panie – powtórzyły jękliwie inne.

Malutka, może pięcioletnia dziewczynka, która stała za przysadzistą kobietą trzymając się jej ręki, wysunęła się nagle, wbiegła na stopnie, objęła rączkami kolano Spartaka i przytuliła doń twarzyczkę.

Spartakus pochylił się, pogłaskał małą po kędzierzawej główce, a potem podniósł ku górze i przycisnął do piersi.

Mała spojrzała na niego i zaszczębiotała:

– Panie, Rzymianie zabiorą moją córeczkę. Patrz, tę – pokazała trzymaną w rączce z kolorowych szmatek uszytą laleczkę i buzia wykrzywiła się jej do płaczu.

Spartakus przymknął na chwilę oczy. Jak ciężko! Czyż nie jest to ciężar gorszy niż ten, który od wieków dźwiga Atlas? Poczul zimny pot na skroniach. Cóż, na bogi, odpowiedzieć tym ludziom? Czekają przecie na słowo otuchy.

Pocałował dziewczynkę w opaloną buzię i powiedział uspokajająco:

– Nie bój się maleńka, nie damy Rzymianom twojej córki. Dziewczynka roześmiała się, objęła rączką szyję Spartakusa i zawołała z radością:

– A widzisz, mammo!

Słowa Spartakusa usłyszeli bliżej stojący i powtórzyli dalej. Tłum zakołysał się i ryknął:

– Cześć Spartakusowi! Niech żyje nasz obrońca!

Począł chwilę, aż się uspokoją, postawił małą na ziemi i znów uniósł w górę prawicę. Uciszyło się od razu.

– Drodzy moi, wysłuchajcie mnie. Nie mogę tu pozostać. Olbrzymia armia złożona z ośmiu legionów pod wodzą Krassusa idzie przeciwko nam. Thurii jest nieobronne. Jeśli Rzymianie zdobędą miasto, wymordują nie tylko nas, ale i was... Gdy my odejdziemy, was zostawią w spokoju... nie będą mordować bezbronnych, spokojnych mieszkańców... a my do was wrócimy – na wiosnę.

Umilkł wyczerpany. Z tłumu nie padł żaden okrzyk. Krassus. Niejeden dobrze znał to imię z doświadczenia. A ze złej sławy znali wszyscy. Nawet kobiety nie odzywały się.

Spartakus powtórzył:

– Wrócimy na wiosnę. Czekać na nas. – I cofnął się do wnętrza willi. Tłum rozszedł się powoli.

* * *

Nazajutrz wczesnym rankiem zwinięto namioty, rozwalono szalasy i baraki i wojska powstańcze rozpoczęły odwrót na najbardziej południowy cypel półwyspu: do Regium – portu najbliższego brzegów sycylijskich. Zagrały trąbki. Pierwsza kolumna drgnęła i ruszyła. Za nią zadudniły kroki następnych. Potem ruszyły tabory. Kurz wzniesiony kopytami koni i nogami pieszych wznosił się wysokim słupem. Spartakus cofnął się koniem na wzgórze. Długi wąż maszerujących wymijał miasto. Było ciche, uśpione. Różowa lekka mgła spowijała domy i drzewa niby w muślinowe peplum. Nie odezwał się stamtąd żaden głos, nawet pies nie zaszczekał. „Jak grobowiec, takie wymarłe – pomyślał Spartakus. – Nawet nikt nie wyszedł pożegnać armii, a wczoraj tak rozpaczali!”

Za taborami ruszyło znowu wojsko. Szli dziarsko, wystukując zgodny rytm setkami sandałów. Ostrza nowiutkich pil lśniły w słońcu. Setnicy poddali melodię i oto zerwała się potężna pieśń:

My wolność kochając jak słońce,
Z tyranem idziemy na bój...

Na spienionym koniu przygalopował od czoła kolumny Polluks.

– Wodzu! – zawołał z przejęciem. – Przed nami całe Thurii. Wędruje kilka tysięcy... opuścili miasto dziś w nocy... Będą nam przeszkadzać w marszu... Kastus i Gannikus chcą ich odpędzić, cofnąć do miasta!

Zmarszczone troską i smutkiem czoło Spartakusa wygładziło się. W oczach rozlał się pogodny blask.

– Nie. Nie możemy ich odpędzić. Dla kobiet z małymi dziećmi opróżnić wozy taborów. Można wyrzucić niepotrzebny sprzęt.

– Tak jest! – krzyknął prężąc się Polluks i zawrócił w galopie.

Spartakus jeszcze raz spojrzął na miasto, westchnął i lekko poklepał konia po karku. Rumak zarżał i ruszył stępą obok kolumny.

Nowego my świata obrońcę,
Nie straszny nam ból ani znój...

– płynęły dalsze słowa pieśni.

ZDRADA KORSARZY

Rokowania z korsarzami przewlekały się. Już właściwie doszło do porozumienia – zgodzili się dostarczyć ustaloną liczbę statków, gdy nagle cofnęli się. Za tę samą liczbę czterorzędowców, trójrzędowców i „myszek” zażądali podwójnej ilości złota, a poczwórnej srebra, co wynosiło więcej niż wybudowanie takiej floty. Wprawdzie powstańcy zbili już kilkanaście tratw mających służyć do transportu sprzętu, ale gdzież im się równać z najsilniejszymi statkami bojowymi – czterorzędowcami, czy trójrzędowcami lub ze zwinnymi „myszkami” – małymi barkami niezawodnymi w walce morskiej i zdobywaniu ładu.

Wzburzenie wybuchło klątwami i pogrózkami w obozie powstańczym. Oto za modrym pasem wody śmieje się w słońcu żyzna Sycylia – przysły kraj wolności, a korsarze utrudniają im założenie go, idą na rękę Rzymianom. Spartakus obawiając się całkowitego zerwania rokowań wydał surowe rozkazy grożąc chłostą i ciemnicą tym, którzy wywołają w porcie jakieś burdy z korsarzami. Ci, bowiem, mimo krętaństw i zerwania rokowań, w dalszym ciągu prowadzili z powstańcami ożywiony handel, dostarczając im różnych produktów.

Spartakus ogłosił zbiórkę dobrowolnych ofiar na okup dla korsarzy. Żołnierze przynieśli znad morza i ustawili przed namiotem wodza dwie pękate łodzie rybackie.

Obok ustawiła się straż honorowa ze zdobycznymi rzymskimi godłami legionów – srebrnymi orłami. To miało przypomnieć powstańcom dni zwycięstw i chwały. Okazało się, że nawet ta zachęta nie była potrzebna.

Z pierwszymi darami zgłosiły się kobiety. Szły młode dziewczęta niosąc swoje skromne srebrne bransoletki, naszyjniki i zausznicę, szły żony oficerów i setników z kosztownymi pierścieniami i złotymi łańcuchami zdobytymi przez ich mężów w czasie walk, szły staruszki niosąc wyprute z szat i wysupłane z woreczków, skrzętnie ciułane w przewidywaniu niedalekiej już wędrówki za Styks, oszczędności – kogóż by obarczać miały kosztami pogrzebu?

Dzwoniły szlachetnym tonem złota ofiary rzucające do łodzi, dźwięczały srebrne naczynia i klejnoty. Łodzie wypełniały się szybko. Trzykrotnie opróżniano łódź ze srebrem. Zbiórka przekroczyła najśmielsze oczekiwania. W namiocie wodza, gdzie zwalano bezładnie kosztowności, trudno było znaleźć miejsce wolne do przejścia. Skarby te mieniły się i skrzyły cudowną gamą barw i blasków. Przepiękne naczynia o kształtach, jakie wymarzyło natchnienie artystów-złotników, urzekały swym pięknem

Kaliasa. Oto niezrównany w harmonii i kształcie puchar przedstawiający spotkanie Hektora z Achillesem. Niedoścignionej doskonałości płaskorzeźba z piękną, pyszałkowatą twarzą Achillesa i tragiczną, o szlachetnych rysach, Hektora, przeczuwającego swój los. Oto Achilles wlecze trupa Hektora, a zza murów Troi wygląda zrozpaczona Andromacha z synkiem maleńkim. Oczarowany pięknem zaklętym w srebrze, Kalias zaciska pięści: zaledwie wyrwano te cuda z rąk rabusiów rzymskich, znów nieprawy właściciel je zagarnie. Ileż krwi spłynęło, nim te czarowne puchary przywędrowały z Grecji do pałaców zdobywców rzymskich.

Przeciągające się rokowania z korsarzami żłobią głębokie zmarszczki na czole Spartaka. Zafrasowany i chmurny chodzi również Sotion. Co spowodowało to oziębienie się stosunku korsarzy do armii powstańczej? Wprawdzie i poprzednio wszystkie przysługi oddawali tylko za dobrą zapłatę, ale zamówione towary, żywność, broń, miedź i żelazo dostarczali w terminie skrupulatnie i dokładnie. A teraz zwłóczą, cofają swe zobowiązania, wykręcają się. Czyżby trwoga przed Rzymem? Ale nigdy przecie korsarze nie byli tak potężni i bezkarni na morzach jak teraz i nigdy Rzym nie był tak słaby.

Na próżno Spartakus z Sotionem usiłują rozwiązać zagadkę. Jedno jest tylko jasne i nieulegające wątpliwości: trzeba się spieszyć. Trzeba więc przystać na najtwardsze warunki. Rzymianie fortyfikują brzeg sycylijski od strony Kalabrii, od strony spodziewanego ataku. Zima już bliska, ostre podmuchy wiatru i deszcze przypominają, że czas pomyśleć o zabezpieczeniu dachu nad głową.

Po kilku dniach wyrusza poselstwo do korsarzy z długą listą darów, jakie powstańcy chcą złożyć za wypożyczenie okrętów. Wysokość okupu przerasta nawet żądania korsarzy. Zgadniają się, dodają nadto dobrowolnie kilka katapult o dużej sile wyrzutowej kamiennych pocisków.

Posłowie wracają do obozu z dobrą nowiną. Radość ogarnia całe wojsko. Skończone dni niepewności. Z taką siłą oblężniczą zdobycie Sycylii będzie fraszką. Zdaje się żołnierzom, że zwycięska Nike z rozpostartymi skrzydłami znów przelatuje nad obozem.

Następnego dnia okręt powstańczy umajony liśćmi dębowymi i oliwnymi, ozdobiony w trofea wojenne, załadowany cennym ładunkiem złota i srebra wyrusza na morze na spotkanie z korsarzami.

W delegacji, która wiezie okup, jest Sotion, jest czterech znakomitych wodzów, są, jako ich asysta, Kastor, Polluks i Kalias, który wyblagał swój udział. Chłopak

pragnął z bliska przyjrzeć się groźnej potędze państwa pirackiego, które trzymało w posłuszeństwie i postrachu małe wyspy i porty Morza Śródziemnego. Początkowo Spartakus nie chciał go wysłać, ale zwyciężyła rozsądna uwaga Sotiona. Chłopiec jest bystry i ciekawy, umie zyskiwać zaufanie i sympatię ludzi, więc łatwo może spostrzec te rzeczy, które im, oficjalnym przedstawicielom, mogą ujść z oczu.

Morze jest ciche i pogodne. Drobne zmarszczki fal fałdują jego lazurową powierzchnię. Statek rozwija białe żagle niby duży ptak skrzydła do odlotu.

Łagodny zachodni wiatr posuwa go na pełne morze.

Na spotkanie wypływają dwie zwinne „myszki” korsarskie. Zrównały się i płyną na południe. Wkrótce wyglądają jak mewy, które usiadły na chwilkę na falach, by odpocząć.

Nadzieja i radość z bliskiego już zakończenia tułaczki śmiechem i śpiewem dzwoni nad obozem powstańczym. Urodzajna piękna Sycylia, „spichlerz Rzymu” – stanie się ich dziedzictwem. Tam wykuwać będą swój lepszy los i lepszą dolę swych dzieci. Biała głowa Etny jaśnieje w słońcu i wzywa ich ku sobie jak matka-staruszka, która z niecierpliwością czeka na syna nadchodzącego z dalekiej tułaczki.

* * *

Trzy dni minęło od wyjazdu poselstwa z darami. Trzy długie dni. Gasła radość w obozie powstańców, trwożliwie załopotał niepokój i zamierała nadzieja. Co się stało? Niespokojne grupki powstańców stawały nad brzegiem morza i wpatrywały się w szmaragdowy bezkres.

Chłopcy wdrapywali się na korony nadmorskich pinii, przysłaniaли dłonią czoła i do łzawienia oczu przeszukiwali sfałdowany widnokrąg.

Spartakus zamknął się w swoim namiocie i nie przyjmował nikogo. Wartownicy oznajmiali szeptem pragnącym z nim rozmowy, że wódz pisze coś i oblicza. Nie widuje się nawet ze swoją żoną i synkiem. Minęła jeszcze jedna noc pełna oczekiwania i jeszcze jeden dzień wypatrywania na morzu. Niepokój przerodził się w pewność – korsarze zdradzili. Ale co się stało z posłami, którzy zawieźli dary? Czyżby ich zamordowano?

Gdy statek powstańczy zrównał się z korsarskim, posłowie wyszli na pokład. Korsarze przywitali ich przyjaznymi okrzykami i wymachiwaniem rąk. Kapitan piratów przez długą, brązową tubę zapowiedział, że wkrótce spotkają się z admirałem, wodzem floty sycylijskiej. Na morzu, opodal Sycylii, ukazały się skaliste

niezamieszkaną wysepki. Barki pirackie skierowały się wprost na nie. Dano znak posłom, by poszli śladem pierwszej, druga cofnęła się i popłynęła za powstańcą. Posuwali się ostrożnie. Kalias wychylił się za burtę i patrzył na wodę.

Tuż nad powierzchnią sterczały groźne zębiska podwodnych skał. Nie lada doświadczenia żeglarskiego i znajomości morza potrzeba, by bez uszkodzenia statku przecisnąć się między nimi, jak przemyka się drobna rybka w paszczy krokodyla. Tylko na takim spokojnym, jakby uśpionym morzu wolno ryzykować podobną przeprawę. Niebezpieczny przesmyk skończył się – wjechali w dość szeroką, cichą zatokę wśród skał. Zakotwiczony tam był zgrabny dwurzędowiec pomalowany na biało, skrzący się złotem okuć. Powiewały na maszcie czarne godła korsarskie, a na samym szczycie mała, żółta chorągiewka. Dziób statku zakończony złotą głową delfina kołysał się lekko na spokojnej zatoce. Obok zakotwiczonych było kilka „myszek”. Na pokładach stali korsarze, silni, rozrośnięci w barach, o ciemnej skórze spalonej słonym wiatrem morskim. Z milczącym zainteresowaniem patrzyli na przybyłych gości. Na statku wodza pojawił się kapitan – w wysokim, błyszczącym hełmie, w białej tunice przepasanej kosztownym pasem, od którego zwisał krótki miecz. Skinął na podwładnych – sprawnie przerzucili pomost z desek od statku admirałskiego na powstańcy.

Oficer przeszedł po pomoście i skłoniwszy się, powiedział:

– Admirał nasz oczekuje miłych gości w swojej kajucie. Pozwólcie ze mną.

Przejście do kajuty wysłane było czerwonym dywanem. Na ścianach korytarza obitych ciemnopurpurowym sukniem wisiały cenne miecze o rękojeściach złotych, srebrnych, inkrustowanych kością słoniową i drogimi kamieniami. Weszli do obszernej kajuty urządzonej z niebywałym przepychem. Rzeźbione łoża pokryte cennymi futrami tygrysimi i lamparciami umocowane były wzdłuż trzech ścian. Przed nimi wąskie, marmurowe stoliki przyśrubowane do podłogi pokrytej miękkim puszystym dywanem. Przyjemny, słodkawy zapach jakichś kwiatów unosił się w powietrzu. Na ścianach wisiały również miecze oraz instrumenty muzyczne.

Na jednym łożu siedział mężczyzna w żółtej tunice z pochyloną, opartą na ręce, głową. Zdawać by się mogło, że drzemie – pierś, pokryta cienką, elastyczną koszulką ze srebrnych blaszek podobnych do łusek rybich, podnosiła się rytmicznie.

Oficer chrząknął przygotowując się do przemówienia, a wówczas siedzący podniósł głowę. Posłowie ujrzeli pijacką, nabrzmiałą twarz o małych zmętniałych oczach, z ciemną kresą szramy na prawym policzku. Skłonili się z powagą, a Sotion

wystąpiwszy o krok przed delegacją skłonił się powtórnie i powiedział z godnością:

– Przywieźliśmy, admirale, umówioną zapłatę i dary. Może zechcesz przejść na nasz statek i obejrzyć je.

– Che... che... che... – roześmiał się rubasznie wódz. – Mamy czas... mamy dużo czasu... che... che... do oglądania.

Sotion cofnął się, zdumiony nieoczekiwanym śmiechem i słowami pirackiego wodza. Obejrzał się na towarzyszy, jakby u nich szukał wyjaśnienia. I w tym momencie zauważył szeroko otworzone z przerażenia oczy i usta Kaliasa. Sotion zmarszczył brwi i spojrzał ostro na admirała.

– My tak dużo czasu nie mamy. Chcielibyśmy jeszcze dziś omówić termin dostawy okrętów i wracać z dobrą nowiną.

Zapadła chwila ciszy. Kalias zacisnąwszy pięści, aż paznokcie wpiły się w ciało, starał się opanować. Idąc ostatni w szeregu, za plecami wyższych od niego posłów, nie widział twarzy korsarskiego wodza, ale usłyszawszy jego śmiech, zatrząsł się cały. Ten śmiech, na Heraklesa, ten śmiech!... Chłopak wysunął się ostrożnie z szeregu i, stanąwszy trochę z boku, spojrzał. Nie ulegało wątpliwości – admirałem sycylijskich korsarzy był Milon, ten sam, który go porwał ze wsi ateńskiej. Ten sam Milon, który jako kupiec rzymski, Wibiusz, sprzedał go w Rzymie na targu niewolniczym. Choć już półtora roku minęło od tego czasu, Kalias wśród tysięcy innych rozpoznałby ten głos i śmiech. Co teraz będzie?

Milon opanował snadź niewczesny wybuch wesołości, bo odpowiedział dość grzecznie:

– Dziś obejrzymy kosztowności, jutro przeliczymy. Z powodu pomyślnego zakończenia rokowań wyprawę dla miłych gości uczę. Zaraz też pošlę po statki, by szykowały się do drogi z wami. Chodźmy na wasz statek.

Oglądanie darów nie trwało zbyt długo. Milon, któremu rozbłysły oczy na widok tylu kosztowności, głosem i ruchami starał się okazać obojętność i lekceważenie. Przeszedł szybko obok koszy wiklinowych, w których mieściły się drobne przedmioty, ledwie raczywszy rzucić na nie okiem, dopiero żywsze zainteresowanie zdradził przy oglądaniu pucharów. Wziął w ręce wspaniały puchar obrazujący spotkanie Achillesa z Hektorem, dotknął palcami płaskorzeźby, zajrzał do złożonego wnętrza i paznokciami uderzył po brzegu. Puchar zadzwonił dźwięcznie i przeciągle. Sotion widząc jego zachwyty zapytał uprzejmie:

– Tu jeden z moich chłopców pięknie deklamuje te właśnie fragmenty Iliady,

chcesz posłuchać?

Milon skinął głową. Sotion zawołał:

– Kaliasie, chcemy posłuchać pożegnania Hektora z Andromachą i pojedynku bohaterów!

Kalias, pochylony nad uchem Polluksa, szeptał mu o swoim odkryciu. Polluks słuchał początkowo z niedowierzaniem, potem zbladł. Zajęci rozmową nie zwrócili uwagi na wezwanie Sotiona, który powtórzył niecierpliwie:

– Kaliasie, chodź tu!...

Polluks ścisnął przyjaciela za rękę.

– Spokój, spokój! – szepnął rozkazująco.

Kalias zgarbiwszy się jak uczeń, który niezasłużenie idzie odbierać karę, przysunął się ku przodowi i stanął przed stołem. Mimo opuszczonych powiek poczuł na twarzy świdrujący, baczny wzrok Milona. Sotion zdjął ze ściany lutnię i poddał takt. Kalias rozpoczął deklamację. Mówił cicho, niewyraźnie, drżącym głosem. Sotion uderzył mocniej w struny i powiedział gniewnie:

– Cóż to, Kaliasie, dzisiaj tak źle deklamujesz? No, wyraźniej i głośniej!

Kalias opanował się wysiłkiem woli. Piękne strofy homerowskie popłynęły spokojnie jak bieg szerokiej, równinnej rzeki. Milon zmarszczył brwi i bez przerwy wpatrywał się w twarz deklamatora.

Po obejrzeniu kosztowności wrócili na statek korsarski. Polluks kręcił się dotąd, aż udało mu się szepnąć Sotionowi kilka słów. Stary lekarz zasepił się, pogłaskał w zamyśleniu brodę, ale po chwili rozpogodził się i ze zdwojoną uprzejmością zaczął rozmowę z Milonem i jego świtą. Podano do stołów na srebrnych półmiskach parujące pieczone mięswo i smażone ryby. Przyjemny zapach korzeniami zaprawionych potraw załaskotał nozdrza. Niewolnicy wnieśli dzbany wina i okazałe puchary.

Milon, purpurowy na twarzy po kilku kolejkach mocnego wina, prawił pijackim głosem:

– Nienawidzę Rzymu, choć byłem kiedyś obywatelem rzymskim... nienawistne są mi te wszystkie książątka, które rządzą wiecznym miastem... śmierć Krassusowi i Lukullusom... wstrętny mi jest bruk rzymski, ulice, domy i ludzie... zguba Rzymowi i zguba jego wrogom... a ten twój mały Grek, pieśniarz Iliady, to zbiegły niewolnik Waryniusza, co?

Sotion odpowiedział obojętnie, kręcąc w palcach kulkę chleba:

– To chłopiec z Thurli, syn piekarza, zasmakował mu żołnierski chleb.

Milon pokiwał głową, ale niedowierzanie i złośliwość zalśniły w jego wstrętnych ślepiach. Powtórzył kiwając się na łożu:

– Zguba Rzymowi i zguba jego wrogom...

Sotionowi wydało się nagle, że wódz korsarski udaje bardziej pijanego, niż jest w rzeczywistości. Każe dolewać wina gościom, a sam powstrzymuje się od picia. Czujność Sotiona wzrosła. Admirał klasnął trzykrotnie w dłonie i zawołał do usługujących niewolników:

– Naszym gościom dajcie wina tego czerwonego, cypryjskiego!

Sotion zauważył, że niewolnicy zamienili między sobą znaczące uśmiechy. Jeden z nich przyniósł przepiękną amforę i nalał puchary posłów, tymczasem drugi nalewał spieszenie wodzom korsarskim poprzednie, mocne wino. Sotion wstał z miejsca i uniósłszy w górę swój puchar, powiedział:

– Wodzu nieustraszonych rycerzy morza, na dowód zawartego przymierza i przyjaźni, na dowód naszej szczerości i życzliwości, zamieńmy się pucharami. Niechaj to będzie ostatnie, braterskie przypieczętowanie sojuszu.

Posłowie z hałasem zerwali się z miejsc i zawołali zgodnie:

– Tak, tak, przypieczętuemy przyjaźń!

Twarz Milona skurczyła się ze złości i zakłopotania.

Trzeźwym zupełnie wzrokiem rozejrzał się, wstał ciężko, a fałdy na twarzy rozciągnęły się w szyderym uśmiechu.

– Ofiaruję to wino cypryjskie naszej wspólnej patronce, bogini zemsty i zwycięstwa, młodzieńczej Nike! – i chwyciwszy puchar z ręki Sotiona, chlusnął wino na mały marmurowy posążek skrzydlatej bogini, stojący na ołtarzu między łózkami. Większość biesiadników poszła za jego przykładem. Kastor, któremu poprzednie kielichy zaprószyły już nieco głowę, nie bardzo orientował się, co się dzieje, zawołał ze śmiechem:

– A ja piję na cześć Nike!

I jednym haustem wychylił zawartość. Korsarze oklaskami przyjęli jego wyczyn. Sotion patrzył zaniepokojony. Kastor oparł ręce na stole, chwilę siedział nieporuszony, przymknął powieki, zachrapał i jak martwy zwał się pod stół.

– To zdrada! – krzyknął Sotion.

Odpowiedział mu śmiech Milona. Posłowie zerwali się z miejsc usiłując pochwycić miecze rozwieszane na ścianach. Korsarze przytrzymali ich za łokcie.

Rozpoczęła się bezładna bójka.

– Brać ich żywcem! – wrzasnął Milon i zaświstał na palcach.

Wpadło ze sznurami kilku silnych korsarzy. Napadnięci nie bronili się długo. Talerzami i pucharami rozbili kilka głów, ale zmogła ich przewaga liczebna wrogów, Kalias schylił się pod stół, pochwycił spadły tam nóż i cisnął w Milona. Nóż uderzył go w brodę, zarysował krwawą linię i upadł na stół. Był to ostatni sukces napadniętych. Wkrótce wszyscy powiązani leżeli na mokrym, zbrukanym krwią i jadłem dywanie.

– Tych pięciu zakuć na galerach – rozkazał Milon – a tych trzech – i wskazał palcem na Sotiona, Polluksa i Kaliasa – zawieziemy na Sycylię naszemu opiekunowi i przyjacielowi.

Zarządcą Sycylii był w owym czasie Gajusz Verres, człowiek niesłychanie przebiegły, wyrachowany i sprytny. Wiedział, że Rzym, zaprzątnięty ciężkimi walkami poza granicami państwa i powstaniem niewolników, nie może myśleć o zlikwidowaniu plagi korsarstwa. Nawiązał więc z nimi przyjazne stosunki. Za pozwolenie korzystania z kilku niewielkich przystani przy brzegach sycylijskich pobierał od korsarzy wysoki haracz, który zaokrąglął niemało i tak pokaźny dochód płynący z zarządzania bogatą prowincją. Teraz postanowił pójść na dalsze ustępstwa za cenę złamania przez korsarzy umowy ze Spartakusem. Niemałą przysługę oddał mu przy tym Milon, admirał korsarzy sycylijskich. Dowództwo korsarzy zgodziło się na zdradę. Było to jawne pogwałcenie i złamanie praw rządzących w państwie Cylicjan, jak tytułowali się korsarze. Burzliwa narada, która zakończyła się uchwałą zdrady, omal nie doprowadziła do rozbicia solidarnego społeczeństwa korsarzy.

Dowódca korsarzy kreteńskich, Pyrganion, znany ze słowności i zamiłowania do mówienia prawdy, powiedział ze wzburzeniem:

„My, Cylicjanie, bezsprzeczni władcy morza od słupów Heraklesa do wód syryjskich i egipskich, nigdy dotąd nie splamiliśmy się zdradą i kłamstwem. Wypełnialiśmy zawsze przyjęte zobowiązania. Na gwałt odpowiadaliśmy gwałtem, ale nie ucinaliśmy ręki, która się do nas wyciągnęła przyjaźnie. Dziś dopuszczamy się zdrady. Łamiemy słowo dane ludziom, którzy tak jak my nienawidzą Rzymian i walczą z nimi. Łudzimy się, że kupimy Rzym za cenę sprzedania Spartaka. Pamiętajcie, że gdy Rzymianie rozbiją Spartaka, miecz ich spadnie na nasze karki. Odmawiam udziału w tej zdradzie”.

Lecz inni admirałowie nie poparli go. Zręczna wymowa Milona, a jeszcze więcej podarki i obietnice Verresa, przesądziły sprawę.

I nie mylił się Pyrganion – w pięć lat później Pompejusz rozbił potężny związek Cylicjan i oczyścił morze z plagi korsarstwa.

Związanych więźniów wrzucono na pokład jednorzędowego żaglowca, czterech uzbrojonych korsarzy zajęło miejsca na ławach. Do wiosł pod pokład wpędzono kilku okutych galerników.

Dowódca dał rozkaz i łódź spuszczo z łańcucha. Sternik pochwycił za rudel. Kilka mocnych, miarowych poruszeń wiosłami i łódź jak delfin wyskoczyła z zatoki na pełne morze.

Kalias spojrział ukradkiem na towarzyszy. Sotion leżał na wznak. Twarz miał bladą, bez kropli krwi, oczy przymknięte. Można było sądzić, że śpi lub umarł. Tylko nerwowe drganie lewej powieki zdradzało, że starzec nie śpi, lecz czuwa. Siwa, wspaniała jego broda była zmierzwiona i zlepiona krwią. Polluks leżał na boku, odwrócony do niego plecami. Tunikę miał porozrywaną, z lewego ramienia spływała krew, znacząc krętą drózkę na deskach pokładu.

Korsarze patrzyli na nich obojętnie, jak zapewne zawsze patrzyli na przewożone worki pszenicy czy sztaby miedzi.

Podróż trwała niedługo. Zbliżał się wieczór i korsarze spieszyli się, aby przed nocą wrócić do swoich. Wreszcie ujrzeli umocnione wałem z kamieni i piasku brzegi sycylijskie. Łódź pewnie i zręcznie popłynęła wzdłuż wału – Kalias ze zdumieniem spostrzegł, że wał rozdwajał się w jednym miejscu, tworząc niewidoczny z daleka wąwóz, podobny do wygodnego kanału. Wąwóz zamykała ciężka brama, zbita z bali dębowych. Żagłówka zatrzymała się, dowódca krzyknął. Nad bramą ukazała się twarz strażnika.

– Nasz wódz, znakomity Milon, przysyła umówionych jeńców dostojnemu zarządcy, Gajuszowi Verresowi. A oto jego pismo! – zawołał donośnie dowódca.

– Cofnijcie się, otworzymy bramę!

Zaskrzypiały zawiasy i z głuchym łoskotem rozwarła się brama ukazując zbity na palach, kołyszący się lekko mostek. Kilku legionistów wbiegło na ten most niosąc deski zaopatrzone hakami. Przy pomocy korsarzy zahaczyli je zręcznie o burtę łodzi. Odebrali pismo z rąk korsarza i podali swemu oficerowi. Oficer obejrzał rulonik i skinął głową. Dwaj legionieści wbiegli do łodzi, podnieśli brutalnie Polluksa i Kaliasa. Podnieśli również Sotiona, ale starzec zachwiał się i upadł ponownie, bezwładnie i ciężko.

Jeden z legionistów przewiązał rzemieniem ręce Kaliasa i, trzymając mocno

drugi koniec, pchnął chłopca przed siebie, drugi uczynił to samo z Polluksem. Wyprowadziwszy jeńców na brzeg sycylijski, zawrócili jeszcze raz na łódź, chwycili starca za ręce i nogi, i przenieśli. Potem na jedną deskę zdjętą z pomostu położyli niedającego oznak życia Sotiona i zawołali kilku niewolników zajętych układaniem kamieni. Niewolnicy posłusznie podnieśli deskę patrząc z ciekawością i politowaniem na zastygłą twarz starca.

Kopnięciem Kaliasa i Polluksa legioniści dali sygnał marszu. Szli spiesznie. Mijali liczne oddziały żołnierzy ćwiczących na równinie. Ten brzeg Sycylii sprawiał wrażenie warownego grodu. Ustawionych kilka balist i katapult, groźnie skierowanych ku morzu, świadczyło, że niełatwe zadanie będą mieli śmiałkowie usiłujący wdrzeć się na wyspę. Obok leżały całe sterty gładko ociosanych kamieni. Kalias rozglądał się ciekawie, ale drugie bolesne kopnięcie pouczyło go, że nie należy interesować się zbytnio sprawami wrogów. Przypędzono ich przed okazały namiot. Oficer kazał zatrzymać się wszystkim, a sam wszedł do środka. Rozmawiał tam z kimś przez chwilę, a potem wyszedł z dużym, żelaznym kluczem. W milczeniu skierował się na drogę biegnącą wzdłuż morza, a za nim poszła cała grupa. U stóp skały, spadającej jedną ścianą ku brzegowi morskemu, rozstawionych było kilkanaście namiotów, kręcili się przy nich legioniści.

Gdy więźniowie podeszli bliżej, Kalias zauważył, że kilka stopni wykutych w skale prowadziło w dół ku masywnym, żelazem okutym drzwiom. Oficer zszedł pierwszy po stopniach, otworzył drzwi i kazał wprowadzić więźniów. Chłód, wilgoć i mrok panowały w jaskini. Sotiona, który dawał słabe oznaki życia niewolnicy wnieśli na desce i położyli na ziemi. Kalias spostrzegł, że jeden z niewolników, siwy, chudy starzec, pochylił się nad Sotionem i coś zaszeptał. Powieki Sotiona drgnęły, ale nie otworzył oczu. Po chwili drzwi zatrasnęły się za nimi z łoskotem, który głuchym jak grzmot echem powtórzyła jaskinia. Więźniowie zostali sami. Ciemność, która zrazu przyzwyczajonym do jasności dnia wydawała się nieprzenikniona, zszarzała najpierw, a potem pojaśniała. Kalias ujrzał, że Sotion usiadł na desce. Przywołał ich skinieniem. Przysunęli się obydwaj i usiedli po bokach.

– No cóż, chłopcy, musimy pomyśleć o wydostaniu się stąd – powiedział cicho.

Kaliasowi zdawało się, że po twarzy starca przemknął uśmiech. Serce chłopca zabiło nadzieją.

– Verres ma przybyć tu za trzy, cztery dni, to zrozumiałem z rozmowy żołnierzy. Ten niewolnik, co pochyłał się nade mną, to mój towarzysz z czasów walk o

wolność Sycylii. Poznał mnie. Obiecał pomoc. Ręce macie wolne?

– Tak.

– Poszukajcie wody. W takich jaskiniach często sączy się ze ścian. Trzeba obmyć nasze rany.

Wstali posłusznie i zaczęli kręcić się po jaskini. Była to obszerna grota, przed wiekami zapewne wyżłobiona przez morze. Pod nogami chrzęścił miękki, mokry piasek, ściany jaskini były nierówne – woda i czas wykruszyły wapien tworząc w skalnej ścianie fantastyczne rzeźby i wzory. Gdzieś z góry ponad głowami sączyło się skąpe światło. W niebieskawych smugach mieniły się drobne pyłki. Dalej grota obniżala się i zwężala przechodząc w wąski korytarz. Było tam znacznie ciemniej. Podeszli bliżej. Pod stopami chlupnęła im woda. Kalias pochylił się, z radością zaczerpnął pełne dłonie i podniósł do ust.

– Słona – stwierdził z żalem i splunął.

Obmyli się i to sprawiło im ulgę. Potem ostrożnie podprowadzili Sotiona. Pomogli mu wymyć się i oczyścić ze krwi brodę. Rany ich nie były ciężkie, dokuczały im bardziej potłuczenia.

Wrócili do swojej deski i chcieli położyć na niej Sotiona, ale starzec zaprotestował.

– Rozejrzyjcie się, może da się ją umieścić trochę wyżej, byśmy mogli wygodnie usiąść.

Pod jedną ze ścian Polluks znalazł kilka głazów. Służyły one widocznie za siedzenia poprzednim więźniom, bo były równo ułożone. Położyli na nie deskę i usiedli.

Półmrok groty zaczął z wolna przetwarzać się w ciemność. Nadchodził wieczór. Było im zimno. Spoza okutych drzwi słychać było od czasu do czasu odgłosy kroków maszerujących legionistów i pojedyncze słowa rozkazów. Widocznie zmieniały się strażę. Więźniowie zapadali w męczącą drzemkę, ale wilgotny chłód nie pozwalał im na długo zasypiać. Kalias oparł głowę na kolanach Polluksa i pogrążył się w krótki, twardy sen. Gdy się obudził, czuł się mocniejszy i trochę wypoczęty. Sotion jęczał z cicha.

Minęła wreszcie ciężka noc. Za okutymi drzwiami na wolności obudziło się życie. Więźniowie wchłaniali jego odgłosy, odgadywali z nich jego bieg. O nich jakby zapomniano. Dręczące pragnienie wysuszyło im usta spieczone gorączką. Woda w grocie była dziwnie niesmaczna, nie można było jej przełknąć. Wolno posuwał się

czas. Około południa usłyszeli kroki na stopniach wiodących do jaskini. Serca zabiły im niespokojnie. We drzwiach otworzyło się małe okienko, którego wczoraj nie zauważyli, i wsunęła się ręka z dzbankiem.

– Hej! – zawołał ochryply głos.

Kalias podbiegł i chwycił dzban. Ręka pojawiła się znowu i do nóg Kaliasa spadło z łoskotem kilka okrągłych kamieni. Okienko zamknęło się.

– Woda dla nas! – zawołał z radością do towarzyszy. – Ale po co on rzucał we mnie kamieniami, jeden uderzył mnie w palce.

– To zapewne suchary – uspokoił go Sotion. – Szukaj.

Rzeczywiście, były to trzy suchary twarde i ciężkie jak granit.

Polluks położył je na desce i zaczął rozbijać kamieniem. Nie szło. Suchary nie poddawały się.

– Podłóż drugi kamień, mniejszy, i wtedy spróbuj.

Tym razem udało się. Nieustępliwy suchar rozpadł się na połowę. Rozbicie na mniejsze kawałki nie było już trudne. Drobne cząsteczki brali w usta i popijając małymi łykami wody – rozmiękczone trochę – połykali.

Minęły jeszcze dwie noce i trzy dni. Obiecana przez starego niewolnika pomoc nie nadchodziła. Niepokój zakradł się do serc więźniów. Sotion kaszlał i gorączkował. Nie chciał jeść sucharów, tylko zeschnięte usta przytykał wciąż do dzbana. Chłopcy powstrzymywali się od picia. Udawali, że wypijają swoje porcje, podnosili dzban do warg i odstawiali nietknięty.

Przed wieczorem trzeciego dnia usłyszeli głosy żołnierskich trąb i muzykę piszczałek i fletów.

– Verres przyjechał – szepnął Polluks.

Stracili resztę nadziei. Nadeszła noc. Kalias skulił się na swoim skrawku deski i udawał, że śpi. Słyszał, że Polluks kręci się i wzdycha, a Sotion oddycha pospiesznie, urywanie. W pewnej chwili zdało mu się, że coś chlupnęło w wodzie w głębi jaskini.

Wyteżył słuch i oczy wlepił w ciemność. Cisza. Ale w zalanym wodą korytarzu błysnęła wątła iskierka.

– Patrz na jeziorko – szepnął do Polluksa i ścisnął go za rękę.

Po chwili światelko mignęło znowu silniejszym już promieniem. Zataili dech w piersiach. Wydawało się, że światło płonie pod wodą. Nie ulegało wątpliwości – tam, w głębi, byli ludzie. Usłyszeli ciężkie łomotanie, jakby mocował się ktoś z kamienną ścianą, i głośny plusk, który odbił się echem o ściany grotu. Przerazenie ścisnęło im

gardła. Zapewne strażnicy usłyszeli. Ale spoza okutych drzwi nie doszedł żaden odgłos życia.

Nad wodą wyłoniła się najpierw lampka oliwna, a w jej migotliwym, słabym blasku zobaczyli dwie głowy ludzkie. Chłopcy wzięli pod rękę Sotiona i podeszli na brzeg wody do swych wybawców. Dwaj mężczyźni spostrzegli ich i przywołali skinieniem ręki.

Weszli w wodę, podtrzymując słaniającego się Sotiona. Korytarz zwężał się jednak coraz bardziej. Polluks pchnął Kaliasa naprzód, a sam podtrzymując oburącz starca posuwał się wolno.

– O, ciężko z wami będzie – z troską w głosie zauważył jeden z wybawców – a przejście nie jest wygodne.

Kalias spojrzął na nich ciekawie. Byli to dwaj młodzi niewolnicy z okrutnymi piętnami wypalonymi na czołach, które sprawiały, że byli podobni do siebie jak bracia.

– Weźcie sznur i niech każdy okręci go sobie wokół dłoni – powiedział znowu niewolnik. – Ja będę szedł pierwszy, bo najlepiej znam drogę, za mną ten chłopiec, potem ty – wskazał na Polluksa – potem starzec, a na ostatku Calendio. Pamiętajcie, że miejscami trzeba iść na czworakach z głową tuż nad wodą. Jeśli ktoś z was będzie musiał chwilę odpocząć, niech pociągnie za sznurek. Długich postojów robić nie możemy, noc krótka, a do Kalabrii daleko.

Rozpoczęli pochód. Przewodnik niósł lampkę ostrożnie, chwilami przyciskając ją niemal do piersi. Weszli w wąziutkie przejście, tak że musieli posuwać się bokiem. I tu przewodnik zarządził postój.

Calendio długo mocował się, zanim udało mu się zasunąć przejście ciężkimi głazami. Nie mogli mu w tym pomóc, bo przejście było zbyt wąskie. Woda sięgała po pas. Kamienie na dnie były oślizłe i nogi osuwały się. Strop obniżał się, szli zgarbieni, coraz bardziej pochylając głowy. Poziom wody, na szczęście, nie podnosił się. Wkrótce trzeba było zacząć pełzać podpierając się jedną ręką. Kalias czuł ból we wszystkich mięśniach. Z trwogą pomyślał o Sotionie. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie sznura w tył i w tej samej chwili zgasła lampka na przodzie. W niezmierzonej ciemności usłyszał za sobą zduszony głos Polluksa:

– Sotioń się przewrócił.

– I przez to moja lampka zanurzyła się w wodzie – powiedział półgłosem przewodnik.

Calendio zdecydował, że spróbuje nieść Sotiona idąc na kolanach. Ale zadanie to okazało się ponad siły nawet dla tak silnego niewolnika.

– Lepiej byłoby na plecach – zauważył przewodnik. Niestety, było to niewykonalne. W wąskim przejściu nie można się było minąć.

– Spróbuję ja na swoich plecach – oznajmił Polluks.

– Już mi lepiej, idźmy dalej – usłyszeli zmieniony, drżący głos Sotiona.

Tych kilkanaście kroków, które przebyli następnie, był to najcięższy odcinek drogi. Odpoczywali parę razy, klękając w wodzie i opierając się plecami o wilgotną skałę. Kalias słyszał świszczący, przerywany oddech Sotiona. Powietrze było tu ciężkie i duszne, przesycone wylęciami gnijących wodorostów. Nagle grota rozszerzyła się i podwyższyła. Mogli już wstać i wyprostować zbolące karki. Woda sięgała zaledwie do łydek.

– Już niedaleko – szepnął przewodnik. – Obym tylko nie wszedł w boczny, ślepy korytarz. – Posuwał się wolno, ostrożnie, obmacując ściany. Wreszcie stanął niezdecydowany i przywołał Calendia. We dwóch naradzali się przypominając sobie różne zapamiętane znaki. Wreszcie uzgodnili dalszą drogę. Szli już niedługo.

– Dobrze jest! – usłyszeli radosny okrzyk Calendia.

Ciemność w grocie rozjaśniła się trochę, woda opadła niemal do kostek. Jeszcze kilkanaście kroków i znaleźli się u wylotu. Poczuli świeży powiew morskiego wiatru i zapach jakichś krzewów. Odetchnęli radośnie.

Kalias ujrzał ponad głową roziskrzone, ciemnoszafirowe niebo. Rozejrzał się ciekawie. Wyszli tuż nad brzeg morza. Łagodne fale lizały im stopy. Gęste zarośla pokrywały zbocza skały. Brzegi morza były urwiste.

Nagle pojawiły się przed nimi, jak wyrosłe spod ziemi, trzy sylwetki ludzkie. Okrzyk przerażenia zamarł Kaliasowi w gardle.

– Nie bójcie się, to nasi towarzysze – powiedział uspokajająco przewodnik. – My odprowadzimy was do łodzi, a oni tymczasem zamaskują wejście do jaskini.

Na piasku nadmorskim leżała mała łódź rybacka, taka jakiej używają rybacy do przybrzeżnych połowów.

– Nic lepszego nie mogliśmy dla was wykombinować – mówił przewodnik. – Do Kalabrii niedaleko, jakoś dociągniecie. Macie przed sobą jeszcze duży kawał nocy. A teraz posilcie się.

Wyciągnął z łodzi butelkę wina, gliniany kubek i w zawiniątku chleb posmarowany tłuszczem. Z zadowoleniem obserwował, z jakim zapałem zabrali się do

jedzenia.

– Pewno wątpiliście, że was ocalimy – zabawiał ich rozmową przewodnik. – Otóż twój przyjaciel Fillos, który cię rozpoznał, Sotionie, i powiedział nam, kim jesteś, zapomniał, gdzie znajduje się przejście. Może i nie zapomniał, ale małoż to razy przez trzydzieści lat trzęsła się tu ziemia? Musiało się tu coś poprzesuwać, bo i korytarz okazał się gorszy, niż opowiadał Fillos. Trzydzieści lat temu uciekło z tej groty kilku niewolników skazanych za bunt na ukrzyżowanie. Rzymianie nie odnaleźli przejścia, a kapłani wyjaśnili, że porwał ich Pluton. Grota stała otworem, ale nikt się do niej nie odważył wejść. Dopiero trzy miesiące temu, gdy Verres sprowadził tu wojsko, urządzili w niej więzienie dla jeńców i niewolników. Przy odszukaniu przejścia Fillos skręcił nogę i nie mógł przyjść pożegnać się z wami. No, czas, zbierajcie się w drogę. A ja prześpię się jeszcze trochę, już trzecią noc oka nie zmrużyłem. Jużemy zwątpili, że uda się nam was uwolnić.

– Nie chcecie uciekać z nami? – zdziwił się Polluks.

– Nie możemy. Przygotowujemy się do powstania, aby wam pomóc, gdy będziecie zdobywać wyspę..

Zepchnęli łódź na wodę.

– W tym ruloniku macie opisane położenie wojsk rzymskich. Udało się nam zdobyć trochę wiadomości.

Pożegnali się serdecznie z wybawcami i chwycili za wiosła. Sotion usiadł przy sterze. Wraz z winem i wolnością w niedawnych więźniów wstąpiły nowe siły. Morze było spokojne. Wiosłowali bez wytchnienia, aby jak najprędzej oddalić się od złowrogich brzegów Sycylii. Oby tylko świt nie zaskoczył ich rychło. Wiosła chłopców równomiernie zanurzały się w wodę. Lekka łódź mknęła niby jaskółka.

Granat nocy przelamywał się w szarość. Gwiazdy pobladyły i znikły. Od wschodu nad morzem pojawiła się zielonkawa, jasna smuga. Morze rozbłysło niby płynne srebro. Nad zielonkawym światłem nieba wytrysły różowe promienie jak rozstawione palce dłoni olbrzyma. Ujrzeni przed sobą na horyzoncie fioletowe wzgórza Kalabrii. Wiosłowali zapamiętale. W pewnej chwili Kalias zauważył, że głowa Sotiona opadła na piersi i starzec z ławeczki zsunął się na mokre dno łodzi. Nie było czasu na zajęcie się nim – za plecami groziła niebezpieczna bliskość Sycylii.

Kalias spojrział na Polluksa i przeraził się. Sina prawie twarz, usta zaciśnięte kurczowo, dziwnie wydłużony nos i czarne oczodoły przymkniętych oczu.

„Wygląda jak maska woskowa – pomyślał Kalias z niepokojem. – Czy na długo

starczy mu sił?”

Z ramienia Polluksa sączyła się krew. Otworzyła się widać rana odniesiona w bójce z korsarzami. Chłopiec zdwoił wysiłki. Polluks słabł coraz bardziej. Już nie nadążał za ruchami wiosła Kaliasa. Łódź stawała się coraz bardziej bezbronna na falach, które kołysały nią niby łupiną orzecha.

„Nie podołam sam” – myślał z rozpaczą Kalias i wiosłował coraz uparciej. Na dłoniach potworzyły mu się bąble i popękały spływając wodą i krwią. Polluks poruszył jeszcze kilka razy wiosłami i – jak Sotion – usunął się bezwładnie na deski. Kalias wyciągnął jego wiosła i rzucił do łodzi. Zrozumiał, że jeśli nie nadejdzie jakaś pomoc, nie zdoła przybić do brzegu. Oby tylko nie dać ponieść się fali z powrotem do brzegów sycylijskich. Nagle krzyknął z radości. Na brzegu kalabryjskim pojawiła się łódź rybacka. Kalias zdjął tunikę, przywiązał do wiosła i zaczął wymachiwać. Rybacy spostrzegli te znaki i skierowali się w ich stronę. Wkrótce zbliżyli się. Kalias rozpoznał żołnierzy z oddziałów celtyckich.

– Kto wy?! – krzyknęli żołnierze.

– Sotion, Polluks, Kalias! – odkrzyknął chłopiec.

Celtowie zbliżyli się z pośpiechem. Na twarzach ich malowało się zdumienie, ale gdy podjechali bliżej i ujrzeli swoich posłów, oburzenie i gniew przerodziły się we wściekłość. Zaklęli ordynarnie.

– Tak z wami postąpili! – zawołał jeden.

– Myśmy uciekli... Rzymianom... – odpowiedział z wysiłkiem Kalias i, wypuściwszy wiosła z rąk, opadł na dno łodzi.

Żołnierze przymocowali łódź do swojej i pospiesznie nawrócili do brzegu.

W PUŁAPCE

Któregoś dnia przednie strażę dały znać, że nadciąga armia rzymska – Krassus z ośmiu legionami. Ale wódz rzymski nie odważył się na bitwę – rozłożył na obóz zimowy swoje wojska. By zabezpieczyć się przed niespodziankami ze strony powstańców, rozkazał przekopać szeroką i głęboką fosę od morza do morza – od Teriny do Scylacium – odcinając tę część Półwyspu Brutijskiego od Italii. Fosę tę umocniono wysokim szańcem. Powstańcy nie przeszkadzali Rzymianom – przygotowywali się do uderzenia na Sycylię. Kończono pośpiesznie zbijanie tratw, naprawiano stare barki rybackie, powstańcy uczyli się trudnej sztuki żeglowania.

Ale nie tylko korsarze zdradzili Spartaka, opuściło go powodzenie, które od pierwszych dni powstania towarzyszyło wszystkim jego zamierzeniom.

Wyruszyli w piękny, słoneczny ranek. Skromna to była flota – kilkanaście barek rybackich, kilka statków-dwurzędowców i niezgrabne tratwy zbite z grubo ciosanych pni drzewnych i skromnych zasobów desek. Morze było spokojne, łagodny wiatr południowy marszczył fale i niósł ciepły oddech Sycylii.

Żaglowce lekko i zwinnie jak delfiny pruły modrą płaszczyznę morza; powolnym, żółwim tempem poruszały się tratwy. Powstańcy śpiewali i pokrzykiwali wesoło. Minęli ufortyfikowany silnie cypel przy Zatoce Mesyńskiej i popłynęli wzdłuż wyspy na południe, w stronę Etny.

Łagodny, pomyślny wiatr cichł powoli, aż wreszcie żagle obwisły jak bezsilne ręce strudzonego robotnika. Morze uspokoiło się, wygładziło, zaledwie drobne zmarszczki mieniły się srebrem w jaskrawym blasku słońca. Nieliczni doświadczeni żeglarze z armii powstańczej niespokojnie rozglądali się po horyzoncie – nic dobrego nie wróży taka przyczajona cisza. Ale niebo kryło zazdrośnie swoje tajemnice; było pogodne i nieodgadnione jak morze. Statki dumnie defilowały wzdłuż brzegów, na których widać było z daleka rozlokowane oddziały legionistów. Spartakus w otoczeniu dowódców na małym, zwinnym żaglowcu szybko przesuwał się wzdłuż brzegów, szukając najsłabszego punktu, w którym można byłoby uderzyć. Kilka statków rzymskich na widok floty powstańczej spiesznie uszło na południe – wobec przewagi wroga nie chcieli przyjmować bitwy. Wreszcie zdecydowali się na lądowanie. Gładki przybrzeżny pas morza, złocący się jasnym piaskiem, z nielicznymi namiotami żołnierskimi, dalej tarasowate tereny uprawnych pól – nim Rzymianie przesuną lądem nagromadzone na cyplu wojska, oni zdążą umocnić się tu, a wyprzeć nie dadzą

się łatwo. Pomoże im uderzenie od tyłu – niewolnicy przygotowani do powstania porwą za broń natychmiast, gdy usłyszą zgiełk bitwy na wyspie. Tylko te tratwy posuwają się tak ociężale – zda się, że nie po wodzie płyną, lecz po błocie.

Żeglarze pokazali Spartakusowi północ – nad horyzontem nisko na niebie wyrasta szaromiedziany obłok. Rośnie szybko.

– Wracajmy, idzie północna burza – mówią z niepokojem. Ale opierają się temu młodzi wodzowie. Czy cofa się prawdziwy wojak, gdy czuje smak bitwy? Nim burza nadleci, oni zdobędą Sycylię. Zresztą cofnięcie się nie jest takie łatwe. Fala popycha ich na południe, niezręczne tratwy nie dają się kierować pod prąd. Położenie jest rzeczywiście trudne. Tylko natychmiastowy atak na wyspę może uratować sytuację. Wodzowie decydują się. Na sygnał trąb statki i barki skręcają w stronę lądu.

Tuż za nimi podąża kilkanaście tratw. Na wyspie widać bitewne przygotowania. Nad brzegiem pojawiają się łucznicy i procarze. W dalszych szeregach miotacze oszczepów i ciężkozbrojni.

Pierwsze strzały nie dosięgają napastników. Padają na fale, chwilę kołyszą się jak ptaki, niktą w otchłani. Kamienie rozpryskują wodę. Statki podjeżdżają bliżej i oto na pokłady sypią się ze świstem lśniące oszczepy. Nie ustaje też deszcz kamieni i strzał. Już słyhać krzyki pierwszych rannych, ale napastnicy zarzucają pomosty na ląd, przebiegają pod gradem pocisków i zaczynają walkę pierś w pierś. Łucznicy i procarze cofają się naciskając na tylne szeregi rzymskich oddziałów, powstaje zamieszanie. Zwycięski okrzyk wyrывa się z ochrypłych gardzieli powstańców. Odpowiada mu daleki grzmot. Porywa się raptowny wichur i w tumanach piasku ciemnieje świat. Spokojne morze wzdyma się nagle i z wściekłością uderza o brzeg. Walka na lądzie trwa, ale i morze rozpoczyna nieubłaganą rozprawę ze śmiałkami. Gwałtowne masy wody zalewają tratwy, zmiatają ludzi. Trzeszczą maszty i żagle, statki zachłystują się wodą. Lęk ludzi nieprzywykłych do kaprysów i zasadzek morza przeradza się w ochrypły ryk. Ale gwałtowniej ryczy rozfalowane morze i trzaskają pioruny. Błyskawice rozświetlają tragiczny obraz – puste tratwy piętrzą się na falach, wpadają na siebie z trzaskiem i walczą jak olbrzymy. Miażdżą się w tytanicznych zmaganiach, dobijają tonących. Resztki bali i desek atakują statki i łodzie. To nie Rzymianie, którzy cofnęli się w pośpiechu na odgłos burzy, są teraz wrogiem – walczy za nich morze, zdradzieckie i mściwe. Ciemnieje coraz bardziej, z czarnych, nisko nawisłych chmur spada ulewa.

Nieprzerwane strugi deszczu zalewają świat. Deszcz jest lodowato zimny,

siecze, zacina i z niesłabnącą gwałtownością grzmoci o powierzchnię morza, rozpryskuje się tworząc nieprzejrzaną wodną zasłonę. Nic nie widać na odległość dwóch kroków. Szaleństwo morza trwa, atakuje wybrzeże, gdzie w trwodze i przerażeniu skupiła się garstka rozbitków. Huragan przesuwają się na południe, gwałtowność wichru słabnie, deszcz tylko trzepie równo jak przez ogromne sito.

Burza przeszła tak szybko, jak nadleciała. Na wzburzonym morzu pozostało zaledwie kilka barek i statków. Z połamanymi masztami manewrują przy brzegu, by zabrać garstkę żałosnych wojaków. Bo oto już Rzymianie przygotowują się do ponownego ataku. Pomosty są zerwane, duża fala bije o brzeg, trzeba usilnie walczyć wiosłami, by nie dać się zrzucić. Żeglarze rzucają liny, do których przyczepiają deski – odważniejsi skaczą do wody, by je pochwycić, ale fala przewraca ich, unosi. Czepiają się bali i szczątków tratw, walczą o życie z oszalałym żywiołem. Reszta powstańców na wybrzeżu, widząc to, zawraca i uderza na Rzymian. Powstańcy potrafią umierać.

Garstka ocalonych z burzy przybiła do brzegu Kalabrii. Żaglowiec dowódców wrócił z połamanymi masztami i dziurawym bokiem. Niektórzy z załogi byli ranni.

Kalias i Polluks nie brali udziału w tej wyprawie. Jeszcze nie odzyskali sił po przeżyciach u korsarzy. Sotion również powoli powracał do zdrowia, ale nie tyle niedomagania fizyczne, ile raczej klęska marzeń całego życia złamała tego niespożytego starca. Po zdradzie korsarzy nie wierzył już w możliwość przedostania się na Sycylię. A więc, nie urzeczywistni się za jego życia „Civitas solis”. Polluks rozpaczał po stracie przyjaciela. Wprawdzie Sotion uspokajał go, że Kastor wypił wino usypiające, nie truciznę, i że jest zapewne przykuty do wiosł na jednym ze statków pirackich, ale mała to była pociecha – skazańcy z galer rzadko wydostawali się na wolność. Polluks stracił swój beztroski humor, włączył się po obozie zmizerowany i smutny. Nie tylko on jeden odczuwał brak pocziwego milczka. Okazało się, że wszyscy lubili dobrego, czynnego Murzyna i wszyscy go żalowali.

Poważniejsze jednak sprawy z dnia na dzień zasepiały coraz bardziej czoła wodzów i żołnierzy.

– Zamknęliśmy wilków w wilczym dole – cieszyli się tymczasem Rzymianie. – Bić się z nimi nie będziemy. Walczyła za nas burza, a teraz walczyć będzie głód i zima.

Rzeczywiście, Rzymianie zyskali dwóch potężnych sprzymierzeńców. Chłody i szarugi pory zimowej zaczęły dawać się we znaki. Zapasy żywnościowe kurczyły się. Skrzętnie korzystano z darów morza: nie tylko ryby, ale i skorupiaki morskie, i wodorosty służyły na wyżywienie. Trzeba było ograniczyć się do przybrzeżnych połowów.

Nie można było wyjeżdżać dalej na morze, bo tam czyhali korsarze i napadali na rybaków. Widziano kilkakrotnie dumny żaglowiec Milona. To on organizował te zbójckie napaści.

– Dostać tego bandytę w nasze ręce – powtarzali powstańcy i zaciskali pięści.

Pewnego dnia Sotion wezwał do siebie Polluksa. Wszedłszy do namiotu, Polluks zobaczył młodego, rosłego niewolnika z piętnem na czole. Wydał mu się dziwnie znajomy.

– To nasz wybawca z niewoli sycylijskiej, przewodnik z groty, Kottalos, pamiętasz? – przypomniał Sotion. – Przywozi nam wiadomość o Kastorze. Nasz przyjaciel jest wśród galerników Milona. Dziś Milon jest z wizytą u Verresa na Sycylii, widocznie obmyślają nowe łotrństwo. Prawdopodobnie będzie wracał po południu czy nawet wieczorem. Musimy urządzić zasadzkę.

Naradzali się długo, a potem poszli do Spartakusa. Zgodził się, dał kilka dobrych rad i wyznaczył Polluksa na dowódcę.

Przygotowania trwały krótko. Spośród trzystu ochotników Polluks wybrał stu najlepiej znających się na morzu. Załadowano się na pięć barek i o zmierzchu wyruszono. Noc szła ciemna, bezgwiezdna i bezksiężycowa. Czy Milon zdecyduje się na powrót?

Zaczaili się na morzu z dala od Sycylii. Gdy się bardziej ściemniło, podpłynęli bliżej. Ale i tak żywili obawę, że nie zauważą statku Milona, gdy wśród nocy będzie się przekradał do swojej przystani. Godziny mijały. Fale uderzały o burty barek, czasem plusnęła gdzieś w pobliżu jakaś zapewne wielka ryba, a poza tym – cisza. Stracili wreszcie nadzieję i zdecydowali się na powrót. Wydawało się, że czarność nocy jakby zbladła, przełamała się.

Nagle jakiś odgłos wplątał się w jednostajny bełkot fal. Usłyszeli uderzenia wiosł. Podpłynęli bliżej. Ujrzeni bielejące w mroku kontury zgrabnego żaglowca. Jedna z łodzi skierowała się na jego dziób, pozostałe cztery, zachowując odległość, ostrożnie opłynęły go łukiem, odcinając od Sycylii. Polluks chciał, by Milon zauważywszy samotną barcę, zaatakował ją, a wtedy otrzyma uderzenie z tyłu i z boku. Byle tylko nie spostrzegli się w czas, bo uciekną. Żaglowiec płynął spokojnie – z dala od Kalabrii na wodach sycylijskich, gdzie niepodzielną władzę sprawował Milon, nic nie mogło mu zagrażać. Na pokładzie kręciło się kilku korsarzy, słychać było jakiś monotonny, przytłumiony śpiew. Polluks zdecydował się na atak. Kilkanaście silnych uderzeń wiosł i barka wysunęła się na odległość rzutu kamieniem. Na żaglowcu

spostreśli barkę i widocznie wzięli ją za swoją, bo zaczęli wymachiwać rękoma. Korzystając z tego napastnicy posunęli się jeszcze o parę kroków, szykując się do uderzenia w bok, tuż przy dziobie żaglowca. Korsarze zorientowali się snadź, że barka rozpoczyna kroki nieprzyjacielskie, bo powstało tam zamieszanie i krzyk. Sternik silnie skręcił rudel próbując uderzyć w bok zuchwałego napastnika, ale zbyt mała odległość nie pozwalała na zrobienie obrotu. A tymczasem z barki posypały się strzały z łuków, kamienie, oszczepy. Korsarze odpowiedzieli wrzaskiem i strzałami. Pozostałe cztery łodzie zdążyły już podpłynąć tak blisko, że mogły wziąć udział w walce. Rozwidniło się tymczasem zupełnie i korsarze spostrzegli, że są otoczeni przez przeważające siły. Zdecydowali się, widać, na ucieczkę, bo kilku rzuciło się do żagli, kilku skoczyło pod pokład. Dobięły stamtąd zduszone okrzyki i rumor. Wiosła zwisły bezwładnie.

– Co się stało? – zdumiał się Polluks. – A prawda, galernicy!

Z berek tymczasem przerzucali powstańcy pomosty zaczepiając je ostrymi hakami o burtę żaglowca. Z okrzykiem zwycięstwa wpadli na pokład. Wywiązała się walka wręcz. Oparty plecami o główny maszt, bronił się Milon. Twarz miał zupełnie siną, oczy rozbiegane i podpuchnięte ze snu. Widocznie przed chwilą wyskoczył ze swej kajuty.

– Nie zabijajcie! – krzyknął Polluks. – Żywcem brać!

Jeden z atakujących chwycił linę żaglowca i oplótł nią Milona przywiązując go do masztu. Drugi podbiegł z tyłu i wytrącił mu miecz. Walka skończyła się. Kilku korsarzy rozbrojonych stało przy dziobie okrętu, ponuro spuściwszy głowy. Polluks zbiegł po schodach pod pokład do niskiej, dławiącej wyziewami ludzkiego potu i odchodów izby, gdzie przykuci do ław siedzieli przy ścianach na wpół nadzy niewolnicy. Oczom jego przedstawił się straszny widok – niektórzy galernicy byli ranni czy nawet zabici, bo w nienaturalnych pozach leżeli na ławach lub deskach podłogi. Polluks nastąpił nogą na coś miękkiego, co się poruszyło. Cofnął się i spojrzał – to leżał ranny dozorca galerników. W zaciśniętej dłoni trzymał jeszcze okuty żelazem bat.

– Kastor, hej, Kastor! – krzyknął Polluks nie mogąc spostrzec w tym kłębowisku ciała swego przyjaciela.

– Tu... jestem tu... – odpowiedział słaby głos gdzieś z głębi.

Kastor był ranny. Przerwanym głosem opowiedział, że namówił towarzyszy niedoli, by przestali wiosłować, gdy usłyszeli odgłos walki. Dozorcy i korsarze, którzy

przybiegli z pokładu, chcieli ich zmusić biciem, ale mimo że tak wielu poranili, a nawet zabili, galernicy nie usłuchali. Lepsza śmierć niż takie życie.

Rannych wyniesiono na pokład. Miejsce ich przy wiosłach zajęli powstańcy. Trzeba spiesznie uchodzić z niebezpiecznych wód.

Gromkimi okrzykami powitano w obozie powracających. Gdy dowiedziano się, że na zdobytym statku znajduje się Milon, entuzjazm ogarnął wszystkich.

– Ukrzyżować łotra, ukrzyżować! – rozległy się zewsząd okrzyki.

Spartakus wezwał na naradę starszyznę. Zdecydowali, że Milona sądzić będą nie tylko za zdradę, ale również za wszystkie przestępstwa, których dopuścił się jako handlarz niewolników. Gdy wieść o tym rozeszła się po obozie, zaczęli zgłaszać się pokrzywdzeni. Rejestr zbrodni Milona rósł.

– Czy możliwe jest, aby jeden człowiek popełnił tyle zła? – zdumiewał się Kalias, który nie zgłosił się ze swoją skargą. Zbyt mała wydawała mu się jego krzywda w porównaniu z tymi oto, którzy nieudolnie a przejmująco opowiadali o okrucieństwach Rzymianina. Milon pogardliwie patrzył na falujący tłum, który zewsząd otaczał sądzących go wodzów. Szydery uśmiech nie schodził mu z warg, ale gdy każde oskarżenie kończyło się tym samym zdaniem: „Skażcie go na krzyż!” – zbladł i spuścił oczy ku ziemi.

Po zeznaniach kilkunastu świadków Spartakus dał znak ręką, że dowodów win już wystarczy, Milon podniósł wówczas głowę i powiedział głuchym głosem:

– Darujcie mi życie, a obiecuję wam dostarczyć okrętów do wyprawy na Sycylię.

Wahanie odbiło się na twarzach sądzących. Takiej obietnicy nie można lekceważyć. A wtedy z tłumu wysunął się Kastor z obandażowanym ramieniem, zgarbiony i postarzały o lat kilkanaście.

– On kłamie – powiedział cicho, wyraźnie. – Cylicjanie go nie usłuchają. Oszukał ich przy podziale łupów. Chcieli go zabić, ale schronił się pod opiekę Verresa.

Milon spojrział wściekle i nie odezwał się więcej.

Nad ranem następnego dnia tuż nad fosą legionistów rzymscy ujrzeli krzyż z rozpiętym na nim człowiekiem. Do wierzchołka krzyża przybita była duża tablica z czarnym, z dala czytelnym napisem: „Gajusz Wibiusz, obywatel rzymski, handlarz niewolników, wódz korsarzy”.

– Zaiste, silni muszą się czuć powstańcy, jeśli mają odwagę krzyżować obywatela rzymskiego – mówili legionści między sobą. – Ale dlaczego nazywają go

wodzem korsarzy?

– To rzeczywiście Wibiusz – mówili inni. – Przecie pamiętamy go z garkuchni obok świątyni Kastora. Lubił wypić niezłą miarkę mocnego wina.

Krassus, gdy mu doniesiono o niesłychanym zuchwalstwie powstańców, zmarszczył się gniewnie i rozkazał dobić skazańca kamieniami.

Żołnierze zaczęli strzelać z proc i łuków. Powstańcy chcieli przeszkodzić im, ale Spartakus powiedział:

– Nie przeszkadzajcie. Myśmy wydali wyrok na zbrodniarza, a Rzymianie wykonują go. Czemu bowiem nie próbują uwolnić swego obywatela?

Zima tego roku przyszła wczesna i niezwykle ostra. Najstarsi mieszkańcy Kalabrii nie pamiętali takich chłódów.

Głód coraz dotkliwiej wkraczał do obozu obleżonych. Grasowały choroby. Wynędzniali i bladzi ludzie snuli się nad brzegami morza usiłując wydrzeć z niego wszystko, co nadawało się do jedzenia, ale nawet bogate morze Południa niezdolne było nasycić tych pustych żołądków. Skąpe racje, coraz bardziej zmniejszane, nie wystarczały dla nikogo. Pewnej nocy kilkudziesięciu zgłodniałych Celtów urządziło napad na składnicę żywności. Łupem ich padło parę worków mąki, wędzonego mięsa i kaszy. Spartakus zarządził surowe śledztwo i sąd. Rabunki nie powtórzyły się, ale to nie polepszyło sytuacji obleżonych. Przygnębienie i niechęć legły milczeniem nad gwarnym niegdyś i pogodnym wojskiem. Z namiotów kobiecych niejednokrotnie słychać było płacz dzieci. Powstańcy zaciskali wtedy pięści i złowrogo patrzyli w stronę Rzymian.

– Nie przetrzymamy zimy – szeptali między sobą.

A Rzymianie czekali. Czekali tak samo, jak kilkanaście miesięcy temu pod Wezuwiuszem – na śmierć głodową zamkniętych w pułapce tysięcy ludzi.

Spartakus w towarzystwie Kastusa i Gannikusa oraz innych wodzów przejechał na koniu wzdłuż fosy. Bulgotała w niej mętna, wzburzona po niedawnej ulewie woda, jak w rzece górskiej na wiosnę.

Potem wodzowie zamknęli się na naradę. Następnego dnia żołnierze otrzymali rozkaz przygotowania wiązek chrustu i woreczków piasku. Posłusznie wykonali rozkaz, choć nie mogli zrozumieć, na co mogą być przydatne takie wiązki i piasek. Zdziwili się też немало, gdy po kilku dniach Spartakus, zauważywszy, że jeden z żołnierzy spalił swoje wiązki i nie przygotował następnych, skazał go na chłostę.

Głód coraz szerzej rozciągał swoje macki. Jeszcze raz zmniejszono porcje

dzienne. Rzymianie snadź orientowali się w położeniu obłęzonych, bo swoje kuchnie jakby umyślnie urządzili nie opodal fosy. Zapach przygotowywanych potraw prznosił wiatr na stronę powstańców.

Ciągłe burze i deszcze nie mała wyczerpywały siły głodujących. Spoza zwałów chmur rzadko pokazywało się słońce. Szczególnie jeden dzień dał się we znaki – od świtu siekł lodowaty deszcz, wiatr hulał wyjąc i świszcząc, morze kłębiło się, bure i złowrogie. Nie można było myśleć o żadnych połowach. Przed wieczorem oziębilo się jeszcze bardziej, zaczął padać śnieg. I tego wieczora Spartakus wydał dziwne zarządzenie: wszyscy mają przygotować się do drogi, nawet kobiety i dzieci, zabrać tylko to, co da się unieść na plecach.

Burza śnieżna zwiększała się z godziny na godzinę. Niebawem to zjawisko na południowym cyplu Italii, więc też lęk ścisnął niejedno serce.

Strażnicy rzymscy pochowali się do swoich budek wartowniczych nad fosą. Wiatr wył i chichotał poza cienkimi ściankami. Śnieg przedzierał się przez nieszczelne deski. Czy możliwe, by człowiek wytrzymał na dworze w taką noc? A już najgorzej czuli się wartownicy w pobliżu morza. Ryczało oszalałe z gniewu i wysokie fale wdzierały się daleko w ląd. Woda z fosy przelewała się do morza jak zupa z bulgocącego kotła.

Powstańcy zwinęli swoje namioty i wszystko, co tylko zdołali udźwignąć ramiona, ponieśli nad fosę. Kolejno przychodzili nad jej brzeg i rzucali przyniesiony ładunek: ciężkie drążki namiotów, deski, chrust powiązany w pęki, woreczki piasku, kamienie. Woda niby otwarta paszcza nienasyconego olbrzyma pożerała rzucane dary i niosła je do morza. Nikt nie ustawał w pracy. W nienawiści i zapamiętaniu rzucono molochowi morza coraz nowe ofiary. Łopatami zgarniano piasek z pobliza. I o dziwo, gwałtowny pęd wody w fosie przycichł, zahamował się. Już wiązki chrustu nie uciekały w czarną czeluść, zatrzymywały się przywalane piaskiem. Wreszcie zapchano niesytą gardziel.

Zadymka kłębiła się, jakby furie urządziły swoją zabawę. Było już po północy, gdy drzwi wartowni rzymskiej otworzyły się i wraz z wyciem wiatru jakieś ośnieżone postacie wtargnęły do środka. Rozbudzeni ze snu strażnicy nawet nie zdołali krzyknąć i zrozumieć, czy to ludzie, czy złośliwe duchy burzy zdusiły przerażenie i życie.

Gdy rankiem oficerowie i żołnierze rzymscy wylegli zaspani na ośnieżony i rozświetlony świat, oczom ich przedstawił się niezwykle widok – fosa zniknęła na przestrzeni kilkuset kroków. Równa, niezbrukana stopą ludzką, biała droga wiodła nie

opodal oszańcowań obozu na przeciwną stronę – tam gdzie jeszcze kilkanaście godzin przedtem głodny żywot obleżonych wiedli zbuntowani niewolnicy.

Równina, na której obozowali powstańcy, była także biała i cicha. Żaden ślad, żaden dym nie wskazywał, by pozostał tam choć jeden człowiek.

OSTATNI BÓJ

– Synu, wracamy do Grecji, prawda?

Kalias siedział przed namiotem i patrzył na modre fale Adriatyku łagodnie uderzające o brzeg. Rzeczywiście, jak bliska jest stąd ziemia grecka! Jeszcze nigdy w czasie swojej tułaczki nie znajdował się tak blisko ojczystej ziemi. Podniósł głowę i spojrzał na matkę, która wyszła z namiotu i pytająco patrzyła mu w oczy.

– Jeszcze nie czas, mamó – odpowiedział po namyśle.

– Dlaczego nie czas? – zdziwiła się matka. – Spartakus też chce wyjechać do Grecji. Skupuje okręty i kazał naprawiać wszystkie stare.

– Tak, mamó, ale wiesz przecież, że Kastus i Gannikus ze swymi Germanami i Celtami nie chcą opuścić Italii. Już dziś mija czwarty tydzień, jak odłączyli się od nas i poszli na własną rękę zdobywać żywność dla swojej armii. A co będzie, gdy spotkają się z Rzymianami? Spartakus, choć rozgniewany na nich, martwi się.

– Sami będą sobie winni, jeśli spotka ich co złego – odparła gniewnie Arsinoe.

– Czy zapomnieli o losie Kriksosa? Wszyscy Grecy powinni skorzystać z okazji i wrócić do kraju. A ci, co wolą rzymski chleb, niech zostają tutaj. Po co mamy martwić się o Celtów i Germanów albo o ludność italską?

– Spartakus tak nie myśli, mamó – odparł cicho Kalias.

Arsinoe zacięła usta i wróciła do namiotu. Jeszcze niedorosły ten jej syn, a już przeciwstawia się jej woli. Dość tej tułaczki po wrogich italskich bezdrożach. Tam w Atenach czeka cichy dom i dobry mąż. Dlaczego nie czas wracać?

Kastus i Gannikus odłączyli się ze swymi wojskami jeszcze we wschodniej Lukanii, gdzie armia powstańcza dotarła po uwolnieniu się z pułapki w Kalabrii. Spartakus proponował wodzom, że pójdą do Apulii, skąd przeprawią się do Grecji lub – jeśli przeprawa do Grecji okaże się niemożliwa – wybiorą dogodne miejsce do walki i zaczekają na armię Krassusa. Ale wodzowie sprzeciwili się tym planom. Nie chcieli opuszczać żyznej italskiej ziemi. Nie tylko zresztą wodzowie nie chcieli opuszczać Italii. „Wolni z pól” też nie zgadzali się na porzucenie ojczystej ziemi. Przyłączyli się do armii celtycko-germańskiej i wspólnie odstąpili od Spartakusa. Obiecali, że połączą się znów ze Spartakusem po żniwach, gdy zdobycie wyżywienia nie będzie takie trudne. Liczyli na to, że mniejsza armia może się łatwiej poruszać i zaopatrywać, ale zapomnieli, że taką armię łatwiej pokonać. Pewni bezkarności poruszali się bez ubezpieczeń i planu. Szpiedzcy Krassusa donosili o każdym ich ruchu. I oto w najmniej

korzystnym położeniu na niespodziewających się niczego spadł legion Krassusa. Klęska była niesłychana mimo osobistego męstwa nieszczęsnych wodzów. Zginęli Kastus i Gannikus, wraz z nimi dwanaście tysięcy mężów zasała pobojowisko.

I właśnie w tym czasie, gdy Kalias rozmawiał z matką, resztki armii celtycko-germańskiej w popłochu przedzierały się do Apulii.

Spartakus na wieść o klęsce wysłał kilka oddziałów pod wodzą Polluksa przeciw Rzymianom. Mieli osłonić uciekających i w miarę możliwości powstrzymać atak Rzymian. Plan powiódł się – Polluks zadał dotkliwą klęskę przednim oddziałom Krassusa i cofnął się pospiesznie, zbierając po drodze rozbitków oddziałów Kastusa i Gannikusa. Zwycięstwo Polluksa rozpało na nowo nadzieje powstańców. Uwierzyli, że mogą zmierzyć się z potęgą Rzymu. Dlaczego Spartakus się waha?

A wódz powstania przeżywał ciężkie chwile. Tyle razy Germanowie i Celtowie pokrzyżowali jego plany, tyle dobrych momentów zostało zmarnowanych, co czynić teraz, gdy tak mało jest szans na zwycięstwo? Gdybyż można było załadować wszystkich na statki i uprowadzić z przeklętej ziemi italskiej! Na razie na tych paru żaglowcach trzeba wysłać grecką młodzież, kobiety, dzieci. Chcą wracać, należy im się to za lata poniewierki. Kalias pojedzie z matką, pojedzie Helena z Polinikiem. Wrócić zawsze będą mogli, a wyjechać stąd może być wkrótce niełatwo.

Wiadomości o wyjeździe wysłuchał Kalias ze spuszczoną głową i w milczeniu wyszedł z namiotu.

– Pewno obraził się – zauważył Sotion patrząc za nim.

– Losy bitwy niepewne, Sotionie – odparł Spartakus, a po twarzy jego przemknął smutek. – Niech się ten mój najmilszy, najmłodszy uczeń ocali...

– A ty, Spartaku? – zapytał cicho starzec. – Jeśli nie wierzysz w zwycięstwo...

Spartakus zmarszczył brwi, w oczach zapaliły mu się twarde błyski.

– Wynik każdej bitwy niepewny... Zdaję sobie sprawę z przewagi oręża Rzymian. Ale moich towarzyszy nie opuszczę w doli czy niedoli. Nie chcę opuścić Italii, a ja nie chcę ich opuścić...

Sotion zamyślił się. Tak, położenie powstańców jest ciężkie. Ale jakie znaleźć wyjście? Może jednak przyjąć tę walną bitwę? Męstwo i rozum Spartakusa, męstwo i wiara powstańców w swego wodza może dadzą to ostatnie, decydujące zwycięstwo.

Nadszedł dzień odjazdu. Kobiety płakały, przyjaciele ściskali sobie dłonie. Helena, trzymając za rękę Polinika, szeptała gorączkowo do męża patrząc na niego rozszerzonymi niepokojem oczyma:

– Jedź z nami, Spartaku. Zдай dowództwo któremuś z młodych wodzów... Powiedz, co cię tu zatrzymuje? Wodzowie cię zdradzili, przeszkadzali i krzyżowali twoje plany... Wojsko nie chce opuścić Italii... A ciebie co łączy z Italią?... Pojedziemy do Grecji, tam cicho, spokojnie... Będiesz czytał uczone księgi... może sam będziesz pisać... pamiętaj, że masz syna... któremu potrzebny ojciec...

Spartakus milczał. Delikatnie gładził jej gładkie, zwinięte w węzeł włosy, jak gładzi się dziecko, któremu chce się umilić odmowę zabawki. Helena miała w głowie dziwną pustkę, w ustach suchość i oczy ją piekły. Przestała mówić. Czowała tylko drżenie kolan i słabość obejmującą serce. Mały Polinik uściskał ojca i powiedział poważnie:

– Nie bój się o mamę, będę bronił jej, dopóki ty nie przyjedziesz.

– Tak, Poliniku, tak. Pamiętaj o swojej obietnicy.

Kalias kręcił się obok matki i Sary z miną ponurą i zdecydowaną. Tuż przed sygnałem odjazdu gdzieś zniknął, ale nikogo to nie zaniepokoiło.

Spartakus wrócił do namiotu. Powoli przesuwiał się czas przesypany piasek w klepsydrze. Spartakus zamyślił się. Oto zabezpieczył los swoich najbliższych. Życzliwi przyjaciele greccy ukryją żonę i synka, w razie gdyby Rzymianie chcieli ich pochwycić. Rodzice Kaliasa zaopiekują się nimi jak własną rodziną. Można ich będzie sprowadzić do Italii, jeśli przyjdzie zwycięstwo i utrwali się władza powstańców. Dobrze też, że wysłał tych najmłodszych, zdolnych chłopców.

Poruszyła się zasłona namiotu. Spartakus uniósł głowę. Przed nim stał Kalias, blady, z oczyma pociemniałymi i twarzą zastygłą w uporze. Wódz zmarszczył brwi.

– Co to znaczy, chłopcze? – zapytał surowo.

Kalias postąpił kilka kroków i runął mu do nóg.

– Wodzu, nie odpędzaj mnie! – zawołał zrozpaczonym, łamiącym się głosem. – Ja... ja... nie mogłem odjechać.

Spartakus położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Kaliasie, złamałeś rozkaz. Cóż mam z tobą uczynić?

Głowa Kaliasa opadła na kolana siedzącego.

– Wszystko, co chcesz, panie – odpowiedział gwałtownie. – Wszystko... tylko nie odpędzaj mnie...

Spartakus w zamyśleniu gładził ręką wzburzoną czuprynę klęczącego chłopca. Kalias z wolna uspokajał się pod tą pieszczotą. Drżenie pleców ustąpiło. Zamarł w oczekiwaniu.

– Kaliasie – zaczął cicho Spartakus – czeka nas tu straszna, śmiertelna bitwa...

wynik jej niepewny... zwycięstwo może być bardzo krwawe i kosztowne... Moim najmilszym uczniem jesteś... chciałem cię zachować jak tyłu innych, najmłodszych, dla przyszłości... byście jak pochodnie w biegu maratońskim nieśli moje zawołanie w dalsze lata, gdy mnie nie stanie... Bo jak ognisko Westy nie może zgasnąć, tak nie może zgasnąć nasze hasło wolności... Kaliasie, nie posłuchałeś mnie, nie zrozumiałeś moich planów.

– Nie mogłem cię opuścić, wodzu – wyszeptał Kalias w fałdy płaszcza Spartaka.

– Matkę opuściłeś, Kaliasie.

– Matka wybaczy, a ja bym nigdy sobie nie wybaczył, gdyby mnie teraz zabrakło przy tobie...

– No, dobrze, Kaliasie, wołaj wodzów na naradę – zakończył Spartakus opanowując wzruszenie.

Uszczęśliwiony Kalias wybiegł z namiotu. A więc ukochany wódz nie gniewa się, jeśli poleca mu codzienne, zwykłe obowiązki.

* * *

Straże doniosły, że zbliża się potężna armia rzymska. Powstańcy czynili ostatnie przygotowania do bitwy. Byli spokojni i pewni zwycięstwa. Niejeden przecie raz miecze ich siekły karki uciekających wrogów.

Na gładkiej równinie, jakby przez naturę przygotowanej do wielkich igrzysk czy bitew, spotkały się dwie armie.

Dzień był jasny i przezroczysty błękitnością pogodnego dnia wiosennego. Był to koniec marca. Na łąkach i polach mieniły się świeżymi kolorami bujne kwiaty.

Manipuły rzymskie ustawiały się w przepisowym porządku. Długie szeregi mężów zbrojnych w ciężkie dwumetrowe pile, w oszczepy zakończone żelaznym ostrzem, z krótkimi mieczami, przygotowanymi do walk wręcz, gdy pile spełnią swoje zadanie i porażą przeciwnika niosąc śmierć i zamieszanie – niby mur stanęły naprzeciw falującej masy powstańców. Jak szumiące morze niośł się stamtąd wielotysięczny gwar. Rzymianie czekali na atak.

Powstańcy ustawili się w oddziały. Dowódcy na koniach przebiegali i sprawdzali porządek. Spartakus spokojny i uśmiechnięty wydawał ostatnie rozkazy i polecenia. Przyprowadzono mu konia. Spartakus wyciągnął z pochwy swój stalowy, błyszczący miecz.

– Towarzysze! – zawołał mocnym, donośnym głosem. – Przed nami jedna

droga – droga wolności. Wejdziemy na nią, gdy zwyciężymy. Musimy zwyciężyć, innego wyjścia nie ma – tylko śmierć. Jeśli zwyciężymy, w obozie rzymskim znajdziemy dla nas wszystkich konie, jeśli przegramy – to i mnie koń niepotrzebny. A więc, ofiara dla Nike za zwycięstwo!

I z rozmachem uderzył mieczem w kark koński. Miecz zgrzytnął na kości i końcem zanurzył się w ziemię. Bezgłowy kadłub koński chlustając krwią padł na piasek.

– Na zwycięstwo! – ryknęły tysiące gardzieli. – Śmierć Rzymianom!

– Śmierć Rzymianom! – potoczyło się jak grzmot przez całą armię.

Zagrały trąby z dwóch stron i niby fale napierające na skały starły się ze sobą dwa nurty ludzkie.

Zawarczały w powietrzu tysiące ciężkich pil, posypały się z dalszych szeregów iacula – krótkie oszczepy, lekkie i ostre – sypnęły się kamienie i strzały. Krzyk pierwszych rannych i ryk rozjuszonych walką mężów zagłuszył głos trąb i słowa komendy.

Po chwili dwa szeregi starły się już na broń sieczną. Zazgrzytały na tarczach i kaskach ostre cięcia mieczów. Rozpoczęły się pojedynki. Spartakus szedł w pierwszym szeregu walczących, w otoczeniu dzielnych przyjaciół i najlepszych wojaków. Obok niego kroczył Furius, dawny pretor rzymski, skupiony i poważny, zdecydowany na walkę i śmierć. Dawno już przetrwał w sobie bolesne zagadnienie: czy wolno jest wystąpić przeciw władzy swego kraju, jeśli ta władza spoczywa w rękach ludzi występnych i złych? I pretor zdecydował, że wolno.

Nie opodał, idąc na czele swych oddziałów, niby pracowici żniwiarze szerokim rozmachem rąk czynili kośćbę śmierci nierozłączni przyjaciele: Kastor i Polluks. Kaliasowi pozwolono iść w trzecim szeregu, więc chłopak na razie nie brał czynnego udziału w walce – uchylał się tylko przed świszczącymi strzałami i oszczepami, czekając na okazję, gdy będzie mógł zbliżyć się do pierwszego szeregu, by stanąć przy boku Spartakusa.

Śmiało i pewnie wdrażyli się w armię rzymską jak ostry klin w żywe ciało. Każdy ich krok znaczyła krew i trupy. Trójkąt wydłużał się coraz bardziej i niby taranem rozbijał szeregi rzymskie.

Spartakus miał przed sobą jeden cel – wdrzeć się ze swoim oddziałem głęboko, do środka armii rzymskiej, osiągnąć znienawidzonego Krassusa, zabić go i rzucić popłoch na Rzymian. Gdy zachwieje się szyk linii nieprzyjacielskich, splączę

szeregi, zwycięstwo przypadnie w udziale powstańcom. Krassus na koniu, stojąc na niewielkim wzgórzu w otoczeniu swej świty, składającej się z jazdy wyborowej, przez szlifowany szmaragd uważnie śledził przebieg bitwy. Widząc klin, zwycięsko wdzierający się w szeregi rzymskie, pojął natychmiast niebezpieczeństwo. Rzucił rozkazy centurionom. Niech udaną ucieczką centrum wciągną w głąb czoło atakujących, niech silniejsze manipuły uderzą po bokach i odetną atakujących od reszty powstańców. Kurierzy pobiegli z rozkazami.

Spartakus bez wytchnienia parł naprzód. Widział z daleka Krassusa i nienawiść czerwonym płomieniem przesłoniła mu oczy. Dopaść nareszcie do tego łotra, zanurzyć po rękojeść miecz w jego plugawej, żądnej złota i krwi piersi! W jego osobie zabić Rzym!

Klin niebezpiecznie wydłużył się. Spartakus rozpalony nienawiścią i walką nie zaniepokoił się tym. Tylko osiągnięcie Krassusa może przechylić szalę walki. Losy jej się ważą, zdając się przechylać na stronę powstańców – a więc naprzód, przyspieszyć zwycięstwo. Niestrudzona jego dłoń siała wokoło śmierć i lęk. Legioniści pierzchali przed nim. Próbowali stawić mu czoło dwaj znani siłacze i rębacze, centurioni Publiusz i Tercjusz, ale wnet miecze wypadły z ich rąk. Padli bezwładnie na chciwie wchłaniającą krew apulijską ziemię. Przestrzeń przed Spartakusem pustoszała, coraz bliższe było wzgórze z Krassusem. Powstańcy z szaleńczą odwagą napierają na boki, zda się, że za chwilę pęknie ta obręcz i legioniści pójdą w rozsypkę.

– Cofnijcie się, panie! – wołają w przerażeniu oficerowie ze świty Krassusa. Ale wódz rzymski rozumie, że to byłby sygnał klęski. Z wściekłością uderza konia w bok i wysuwa się przeciw nieprzyjaciołom.

– Łucznicy, hej, łucznicy! – krzyczy ochryple.

W lot pojmują rozkaz. Na Spartakusa sypią się dziesiątki pierzastych strzał. Uderzają w błyszczący, srebrny hełm, odbijają się od pancerza na piersiach i brązowej tarczy. Jedna z nich dosięga męża w zbroi Rzymianina idącego obok. Padając odsłania na chwilę bok Spartakusa i tej chwili wystarczy, by kilka strzał ugodziło w udo wodza gladiatorów. Zachwiał się mężny Spartakus, przystanął, ale oto znów ruszył przed siebie. Wytrąca miecz z ręki podbiegającego legionisty; uderzenie to nie kładzie jednak wroga na ziemię. Osłabło dzielne ramię wodza. Przy boku jego na miejsce zabitego Furiusa staje Polluks. Niestrudzenie tnie mieczem, osłaniając Spartakusa. A wódz gladiatorów czuje, że słabnie. Mimo woli szuka oparcia i znajduje je. Klęka na trupach leżących gromadnie. Mgłą zachodzącymi oczyma widzi swoich wiernych

chłopców: Kastora i Polluksa. Zdaje mu się, że za plecami słyszy rozpaczliwy krzyk Kaliasa. Rzymianie widząc, że wódz powstańców ranny, wydają ryk triumfu i nacierają z podwójną siłą. Spartakus nie wypuszcza miecza z mdlejącej ręki. Odparowuje ciosy wrogów, ale dłoń trzymająca tarczę osuwa się bezwładnie. Już nie osłania ramion. I oto spadają na niego silne uderzenia. Jakiś centurion przecina mu kość barkową. Polluks rzuca się na centuriona, rani go, ale ten z potężnym rozmachem grzmoci w hełm Polluksa. Hełm trzaska niby rozbity garnek i Polluks pada przed Spartakiem na gromadę trupów. Zawył nieludzko Kastor, jak Furia dopada Rzymianina. Pojedynek trwa krótko. Śmiercią płaci centurion za śmierć Polluksa.

Coraz trudniej Spartakusowi utrzymać miecz w dłoni. We mgle przesuwają się przed oczyma koszmarny obraz. Garstka przyjaciół osłania go, chce odnieść na tyły. Ale ten wódz nie cofał się nigdy – i teraz nie pozwala ruszyć się z miejsca. Odtrąca stanowczym ruchem pomocne dłonie. Wyteżą wolę, by jeszcze walczyć. Kastor już też ranny. Krew spod hełmu zalewa mu oczy. Zdaje mu się, że cały świat jest czerwony, że płonie niby rozpalony stos. Tarcza pękła pod ciosem jednego z Rzymian. Kastor walczy bez osłony, narażony na ciosy ze wszystkich stron. Końce wrogich mieczów jak dokuczliwe osy kłują nieosłonięte ramiona. Spragniona wody ziemia apulijska nasiąka żyzną krwią.

Przed Kaliasem przeredziły się szeregi. Oto już jest przy ukochanym wodzu. Spartakus jeszcze walczy. Kalias zapomina o sobie, o czyhającej zewsząd śmierci, pragnie tylko jednego – odtrącić jak najwięcej mieczów skierowanych w pierś Spartaka. Oto i Kastor pada. Legionista, który zadał mu śmiertelną ranę, schyla się, by dosięgnąć Spartaka. Kalias nagłym uderzeniem wytrąca mu miecz z ręki. W tej samej chwili tysiące iskier mignęło mu przed oczyma, usłyszał huk, jakby tysiąc młotów uderzyło nagle, ból targnął całym ciałem i padł przed piersiami Spartaka.

Nie widział już, i nie czuł, że po chwili przykrył go swym ciałem, jak matka osłaniająca niemowlę przed paszczą wilka, najmężniejszy z mężnych, wódz gladiatorów i powstania.

Losy bitwy były przesądzone. Powstańcy bili się z szaleństwem skazanych na śmierć. Nie prosili o łaskę. W bezładzie i zamieszaniu dali się otoczyć Rzymianom.

Noc położyła kres mordom.

SYNOWIE ZIEMI

Ognisko podsycane od czasu do czasu zeschniętą trawą strzelało snopami iskier lub przygasało, tlejąc niebieskimi płomykami. Twarze siedzących wokół pasterzy gasły w cieniu lub purpurowiały w rozbłyskającym ogniu. Okryci byli w skóry owcze, bo noc wiosenna w górach razila chłodem. Było ich czterech. Piąty mężczyzna, ubrany w strój niewolnika z miasta, wyciągał żylaste ręce nad żarem ogniska i rozcierał je. Mężczyźni żuli suchy owczy ser, popijając go małymi łykami gorącego mleka. Ponure milczenie legło między nimi. Po nasyceniu się otarli dłońmi usta i gdy cisza zaczęła im ciążyć, najstarszy z pasterzy, siwowłosy Filon, rzucił krótko:

– Mów, Karposie.

Obcy, do którego zwrócone były te słowa, drgnął, jakby wyrwany z męczącego snu, opuścił ręce na kolana i zamruczał schrypniętym głosem:

– Bola, zawsze na wiosnę tak bola, jak wyrwane ze stawów... ciepło pomaga...

Potem podszedł bliżej ogniska i zaczął powoli, z trudem dobywając słów z gardła:

– Byłem tam... maszerowałem wśród jeńców w triumfalnym pochodzie Krassusa od Kapui do Rzymu... byłem lekko ranny. Wspaniały triumf urządził sobie Krassus – jeńcy, zdobyte tabory i sprzęt wojenny.

Maszerowało też w tym pochodzie trzy tysiące Rzymian uwolnionych z obozu Spartaka przez zwycięskiego pretora... trzy tysiące zdrowych legionistów, którzy parę tygodni byli w naszej niewoli... i widziałem sześć tysięcy krzyży z rozpiętymi na nich powstańcami... starcy, mężczyźni, młodzi, dzieci nieledwie... i słyszałem straszny krzyk bólu z sześciu tysięcy gardzieli... jęki błagalne we wszystkich językach do wszystkich bogów świata... ale żaden bóg nie słyszał modlitw ukrzyżowanych. Żaden bóg... niebo było czyste i słoneczne... żaden grom nie padł na znak... Powiedzcie, czy kiedykolwiek jakiś bóg ujął się za pokrzywdzonymi?

Przerwał i popatrzył pytająco na twarze pasterzy. Milczeli. Opodał w kierdelu beknięła przez sen jakaś owca, zawarczał pies. Z ogniska trzaskały w górę iskry.

– Krassus i Lukullus urządzają polowanie na ludzi. Wszędzie pełno ich zbirów, łapią ludzką zwierzynę... Za każdego żywcem przyprowadzonego powstańca łapacze dostają miarękę wina... tanie jest życie niewolnika...

– A co ze Spartakusem? – zapytał któryś półgłosem.

– Nie wiem. Jedni mówią, że zginął, inni, że uszedł z większym oddziałem na

północ, w góry. Taki człowiek nie mógł przecie tak zwyczajnie zginąć... Ja wierzę, że żyje i jeszcze o nim usłyszymy...

Znów zapadło ciężkie milczenie. Naraz zaszczeakał urywanie jakiś pies, potem zawtórowały inne. Jeden z pasterzy wstał i poszedł w stronę owczarni. Inni rozejrzeli się. Na przeciwległym wzgórzu w bladym świetle nocy zarysowały się dwie postacie. Pasterze przez chwilę obserwowali bacznie, potem dwóch z nich zerwało się z ziemi i pobiegło w stronę przybywających, którzy wolno, niezmiernie wolno szli ku nim. Pasterze zbliżyli się do nich, popatrzyli i krzyknęli w stronę ogniska:

– Hej, tu, bywajcie!...

Pozostali zerwali się i pobiegli. Zobaczyli siwobrodego starca słaniającego się na nogach, prowadzącego pod rękę młodzieńca z obandażowaną głową. Widać przybywali z daleka, bo wynędzniali byli bardzo, a bosa nogi mieli spękane i czarne od pyłu wielu dróg.

– Pomóżcie nam – wyszeptał starzec.

Ujęli ich mocno pod ramiona i poprowadzili do ogniska. Wędrowcy opadli bezwładnie na podosłane siano. Filon rozgrzebał ognisko, młody pasterz wstawił w żar garnek mleka. Przynieśli z szałasów garnuszki i chleb. Gdy mleko zawrzało, jeden z pasterzy rozlał je w garnuszki i podał przybyszom.

Starzec kiwnął głową i po paru łykach powiedział z wdzięcznością:

– Dziękuję wam, towarzysze.

Filon, nie przerywając grzebania patykiem w ognisku, zapytał:

– Uszliście z bitwy?

– Tak – odpowiedział starzec.

– Kto jesteście?

– Sotion i Kalias, przyjaciele Spartaka – podnosząc głowę odparł starzec.

Pasterze poruszyli się. W oczach ich zabłysł podziw i szacunek. Młody pasterz wstał i zniknął za zasłoną szałasów. Po chwili wyniósł dwie poduszki z owczej skóry, wypchane sianem.

– Oprzyjcie się wygodnie – powiedział troskliwie, podtykając je pod plecy wędrowcom.

– Podrzucimy drew do ogniska, będzie wam tu cieplej i wygodniej niż w szałasie.

– Tak, wygodniej – powtórzył starzec.

Posilali się powoli, trzymając oburącz kubki z mlekiem, które przyjemnie

rozgrzewały dłonie. Pasterze obserwowali ich uważnie, w skupieniu. Długie lata spędzone w górach nauczyły ich, że nie należy przerywać niewczesnymi pytaniami posiłku ludzi wygłodzonych. Dolali im jeszcze mleka. Po skończonym posiłku przybysze rozciągnęli się na ziemi i przymknawszy oczy odpoczywali, oddychając głęboko.

Potem Sotion uniósł głowę i zapytał z obawą w głosie:

– Czy pozwolicie nam zostać tu do jutra? Mój młody przyjaciel, bardzo osłabiony upływem krwi, nie zaszedłby daleko.

– Możecie zostać nawet kilka dni. Rzymianie tu się nie zapuszczają. Zresztą we dnie ukryjemy was. Siedźcie, aż wrócicie do sił.

– Dziękuję wam, towarzysze – jeszcze raz powtórzył starzec i usiadłszy zapatrzył się w ognisko.

Pasterze nie śmieli przerywać jego zadumy, choć wiele pytań cisnęło się im na usta. Karpos przemógł długie milczenie:

– Słuchajcie, czy prawdą jest, że Spartakus żyje, że uszedł i zbiera nową armię?

– Spartakus zginął na polu bitwy – odparł starzec z ciężkim westchnieniem. – Ciało jego unieśliśmy w nocy i zagrzebali w bezpiecznym miejscu. Plugawe ręce Rzymian nie znieważły go. A szukali na całym pobojuwisku.

– Zginął – powtórzyli pasterze.

– I wolność z nim zginęła, i reszta sprawiedliwości na świecie – powiedział ponuro Karpos.

– Wolność nie ginie nigdy ani nie umiera – odparł żywo Sotion – bo wieczna i nieśmiertelna jest miłość wolności w ludzkich sercach. Wolność można okuć w kajdany, ale zabić – nigdy...

Filon pochylając się ku Sotionowi zapytał nagle:

– Mówiono nam, że w obozie Spartaka przebywał lekarz i pieśniarz, który układał pieśni bojowe. Czy może ty nim jesteś?

– Jam jest – odparł z prostotą zapytany.

Krótkie „aaa” podziwu i radości było odpowiedzią pasterzy. Oto im dane jest troszczyć się i opiekować człowiekiem, o którym legenda idzie przez całą ziemię italską. Pieśni jego śpiewają wszyscy – bo pieśni te to walka.

– Słuchajcie – powiedział Sotion z nadzieją w głosie – słyszałem, że tu w górach pasterze zorganizowali pomoc dla uciekających, że nie tylko ukrywacie zbiegów, ale pomagacie opuścić przeklętą ziemię italską.

– Tak, dobrze słyszałeś – odparł Filon. – Mamy naszych ludzi na barkach korsarskich, już sporo ludzi przewieźli do Grecji lub Cylicji, gdzie kto chce.

– Nie zdradzają? – zapytał z powątpiewaniem Sotion.

– Pewno przypominacie sobie Milona i dlatego podejrzewacie – odparł stary. – Nie, to są ludzie pewni. Mój syn jest z nimi, jest nawet starszym na barce.

Kalias uniósł się na łokciu i po raz pierwszy przemówił:

– Może wiecie, czy szczęśliwie dotarły statki z Brindisium do Grecji? Te, co Spartakus wysłał przed ostatnią bitwą?

– Wiemy, wiemy – odezwało się kilka głosów. – Tak, wszystkim udało się dotrzeć do Grecji.

Kalias westchnął z ulgą, opadając ponownie na twardą poduszkę.

Sotion po chwili namysłu zapytał:

– Czy moglibyście ułatwić temu chłopcu powrót do Aten? Jego matka odpłynęła właśnie na jednym ze statków, które do Grecji wysłał Spartakus.

– Możemy – przyświadczyli pasterze. – Za kilka dni spodziewamy się powrotu naszych chłopców, więc mogą go zabrać. A ty? – zwrócili się do Sotiona.

– Ja tu zostanę – odparł cicho Sotion. – Muszę tu zostać.

Ton jego głosu zadziwił pytających. Spojrzeli po sobie, a potem utkwili wzrok w twarzy starca.

– Sądzisz, że nie wszystko przepadło? – odważył się zapytać stary Filon.

– Nie, tylko pracę trzeba będzie zacząć od nowa...

– Odnowa... – powtórzył jak echo Filon – odnowa...

Młodszy pasterz, wysoki, o sterczących kolanach i rozkudłanej czuprynie, wstał nagle i pobiegł do szałas. Po chwili wrócił trzymając w ręku niezgrabną, własnym widocznie pomysłem wykonaną lutnię.

– Sotionie, zaśpiewaj nam pieśń o Spartaku, tyle ich układałeś.

– Zaśpiewaj, zaśpiewaj! – powtórzyli gorącymi głosami.

Sotion ujął w ręce lutnię, obejrzał i brzęknął kilka taktów.

– Dobry ma ton, chociaż taka niezgrabna – pospiesznie wyjaśnił młody pasterz.

– Tak, tak, spróbuj tylko – poparli go towarzysze.

Sotion uderzył znów w struny. Zmarszczył się i utkwiał wzrok w dogasającym ognisku. Szukał snadź melodii. Ton rósł, wzmacniał się i naraz zabrzmiał skargą i bólem. Sotion pół śpiewając, pół recytując zaczął swoją pieśń:

Synowie ziemi, uszliśmy z pogromu
Garsteczka licha – było nas tysiące.
Krzyże przed nami, a z naszego domu
Łunami krzyczą zgliszcza gorejące...

Słuchacze zacisnęli kurczowo pięści. Prysnęła w górę iskra żaru i zgasła

Na polu walki kruki dziś żerują,
Samotny cyprys płacze cnych rycerzy.
Nie pogrzebionych dusze lamentują,
Odejść nie mogą od ziem tych rubieży.

Lęk przeleciał ponad ogniskiem i powiał po twarzach słuchających. Zbledli.

Nike i Wolność – niebiańskie siostrzyce,
Wierne Spartaka towarzyszeki broni,
Gniewne dziś od nas odwróciły lice.
Krassusa zbiry za nami w pogoni...

Karpos przymknął oczy. Zobaczył triumfalną drogę Krassusa od Kapui do Rzymu. Drogę w cieniu sześciu tysięcy krzyży.

Na te dni klęski, na dni pohańbienia,
Którym Herakles nawet nie podoła,
Zabrakło nam siły groźnego ramienia
Wodza naszego, Spartaka – sokoła.

Kalias poruszył się i jęknął. Pasterz siedzący obok niego pochylił się i spojrzał w jego twarz. Chłopiec miał przymknięte powieki, spod ciemnych rzęs, które rzucały czarny cień, płynęły wielkie łzy. Czy chłopiec płacze przez sen? Pasterz nie śmiał odezwać się do niego. Sotion śpiewał dalej:

Dziś krzyżowani i w kajdany skuci

Za świętą sprawę giną ziemi syny,
Pieśń tylko wolna dla przyszłości rzuci
Ziarna nadziei i Spartaka czyny.

Sotion podniósł głowę, zapatrzył się na wschód, gdzie nad górami różowe
blaski rozpinała Jutrzenka.

Wieki przeminą, Kapitolu mury
Trawa porośnie, oset i mech siwy -
Sława Spartaka wzięci ponad chmury.
Gdzie bój o wolność – Spartak będzie żywy.

I struny rozspiewały się triumfalnym tonem zwycięstwa. Pasterze wstrzymali
dech w piersiach, na policzki trysnęła im krew, zdało się, że pieśń uskrzydla ich, że
znowu zerwą się i polecą z pieśnią na nowy bój.

Siwa broda Sotiona zapożyczyła blasków od nieba, oczy rozżarzyły się. Głos
zabrzmiął pewnością i spokojem:

Jak orły zlecą Spartaka dziedzice
Myśli i czynów. Będą ich miliony -
Spełnią się ludów cierpiących tęsknice,
Wstanie wiek złoty z ich walki zrodzony.

OBJAŚNIENIA

Akropolis – wzgórze w Atenach, na którym znajdowały się trzy świątynie poświęcone Pallas Atenie. Najpiękniejsza, ze wspaniałym posągami Ateny ze złota i kości słoniowej – Partenon

Apollo (Febus) – opiekun muzyki i poezji, bóg słońca i wieszczbiarstwa. Słynna wyrocznia w Delfach cieszyła się jego szczególnymi łaskami

Ares (u Rzymian Mars) – bóg wojny, lubił zgiełk bitwy, jęki rannych i rozlew krwi

atrium – główna sala przyjęć

Artemida (Artemis) – (u Rzymian Diana) – siostra Apollina, opiekunka dzikich zwierząt, bogini łowów, bogini księżyca

Atena (Pallas Atena) – wyskoczyła z głowy Zeusa w pełnym rynsztunku wojennym, bogini mądrości, opiekunka rzemiosł i świętej walki za ojczyznę

Atlas – olbrzym, który podtrzymywał na swych barkach strop nieba

balneatorzy – niewolnicy usługujący przy kąpielach

centaury – w mitologii dzikie plemię w górach Tessalii o postaci pół człowieka, pół konia, walczące z olbrzymimi kamieniami

Chiron – najznakomitszy z centaurów, wychowawca wielu legendarnych bohaterów, między innymi Heraklesa

chlamida – krótka wierzchnia szata zapinana na ramieniu lub pod brodą, noszona w starożytnej Grecji przez młodzież, wojowników, jeźdźców i podróżnych

denar – moneta rzymska dzieląca się na 16 asów albo 4 sestercje

emfaza – przesada, namiętność w mówieniu

eques romanus – rycerz rzymski. Społeczeństwo rzymskie dzieliło się na trzy stany: senatorski (nobilitas), rycerski (equites) i stan trzeci – plebs. Pochodzenie decydowało o godnościach i urzędach, jakie można było piastować. Do stanu rycerskiego, którego nazwa pochodzi od dawnych obowiązków wojskowych, należeli bankierzy, właściciele ziemscy itp.

ergastulum – więzienie, najczęściej w latyfundiach, w którym trzymano i zmuszano do pracy leniwych lub nie budzących zaufania niewolników

erynie (furie) – boginie zemsty

Ganimed – królewicz trojański porwany przez orła na Olimp, gdzie służył bogom podając cudowną potrawę (ambrozję) i napój (nektar). Ulubieniec Zeusa

geniusz – Rzymianie wierzyli, że każdy człowiek ma swego geniusza – ducha opiekuńczego. Rocznice urodzin, obchodzone bardzo uroczyście, były dniami święta geniusza

Gigant – olbrzym, wielkolud – Giganci za namową matki-ziemi Gei rozpoczęli krwawy bój o władzę z bogami, którzy nie mogli ich pokonać. Dopiero Herakles zwyciężył tych strasznych olbrzymów

gramatyk – nauczyciel, który uczył chłopców i dziewczęta od 12 roku życia

Homer, Anakreont, Ezop – imionami poetów lub filozofów nazywano niewolników znających dobrze ich utwory i umiejących je wygłaszać

Herakles – (u Rzymian Herkules) – zwany Pięknym Zwycięzcą – ulubiony bohater ludowy, symbol prawości i dzielności, obrońca pokrzywdzonych i cierpiących. Wykonał 12 nadludzkich prac

Hera (u Rzymian Junona) – królowa niebios, małżonka i siostra Zeusa, władała zjawiskami atmosferycznymi, opiekowała się małżeństwami

herold – poseł zwiastujący wypowiedzenie wojny, woźny ogłaszający zarządzenia, licytacje itp.

igrzyska (ludi) – było 7 ważnych igrzysk w ciągu roku. Odbywały się one częściowo w cyrku (circenses), częściowo w teatrze (przedstawienia) i amfiteatrze (walki gladiatorów, walki ludzi z dzikimi zwierzętami)

Ikar – syn Dedala, z którym wzniósł się w niebiosa na skrzydłach spojonych woskiem. Słońce roztopiło wosk, Ikar spadł do morza i utonął

insula – w starożytnym Rzymie kilkukupietrowy dom czynszowy

Jowisz (Jupiter) – najpotężniejszy z bogów, opiekun państwa rzymskiego. Na wzgórzu kapitolimskim była jego najwspanialsza świątynia. Tam zwycięscy wodzowie odbywali triumfy, uroczystości dziękczynne na cześć Jowisza, dawcy zwycięstwa

Kastor i Polluks – Dioskurowie-bliźniacy, synowie Zeusa, zasłynęli czynami bohaterskimi. Kastor był śmiertelny, Polluks nieśmiertelny. Gdy zginął Kastor, zrozpaczony Polluks prosił Zeusa o śmierć. Zeus kazał mu wybrać albo wieczne życie w niebie, a brat będzie w podziemiu, Tartarze, albo życie w towarzystwie Kastora pół roku w niebie, pół w podziemiu. Polluks wybrał to drugie. Byli symbolem braterskiej miłości i niezłomnej przyjaźni

Lanista – szermierz, nauczyciel gladiatorów

lary – opiekuńcze bogi rodziny. Lares Compitales – opiekunki granic między gospodarstwami na wsi lub między rogami ulic w miastach. Dla nich stawiano

kapliczki na rozdrożach

legat – oficer wybrany spośród doświadczonych w bojach senatorów, pomocnik, w razie potrzeby zastępca naczelnego wodza

L u n a (u Rzymian) – bogini księżycy, u Greków – S e I e n e.

mediastinus – niewolnik bez określonego zawodu, używany do różnych robót

nard – roślina pachnąca, z której kwiatu robiono balsam lub olejek wonny

Nike – grecka bogini zwycięstwa, wyobrażana najczęściej ze skrzydłami

nimfy – boginki wodne zamieszkujące morza, rzeki, leśne strumienie i źródła

Orfeusz – mityczny śpiewak, dźwiękiem swej lutni czarował zwierzęta. Po zgonie ukochanej żony poszedł do podziemia, Hadesu, aby ją odzyskać

orkisz – rodzaj pszenicy uprawianej w starożytności

panem et circenses! – chleba i igrzysk!

parki – trzy siostry, które siedzą wiecznie przy kołowrotku i przędą nietrwałą i delikatną nić życia ludzkiego. Gdy nieubłagana ręka jednej z sióstr, Atropos, przecina nić, kończy się życie ludzkie

p e p l u m – długa szata bez rękawów spięta na ramionach, noszona przez kobiety

perystyl – kolumnada wokół ogrodu założonego wewnątrz domu, zbudowana na wzór grecki; stąd perystylem nazywano cały ogród, który oczywiście nie posiadał dachu

propretor – tytuł nadawany pretorowi po zakończeniu jego kadencji, z jednoczesnym powierzeniem mu funkcji rządcy prowincji

s a l v e! – witaj!, bądź pozdrowiony!

Saturn – bóg zasiewów u narodów italskich. Rządził w Italii w złotym wieku ludzkości. Ludzie wówczas byli szczęśliwi, równi, słowa „niewola”, „niewolnik” nie były znane. Walki gladiatorów były poświęcone temu bogu – jego rozdziawiona paszcza piła krew, która sączyła się na arenie przez szczeliny do ścieków

sestereja – srebrna moneta starorzymska

stadion – dawna grecka jednostka długości: attycka – 164 m, olimpijska – 192m

Styks – rzeka podziemna, przez którą Charon przewoził dusze zmarłych

suprema – czas od godz. 3 do 6 po południu. Pierwsze godziny dnia (mane 6-9 i ad meridiem 9-12) często uważane za czarne – „atri” – feralne dla różnych prac i przedsięwzięć. Od południa zaczynały się godziny „puri” – czyste

Tartar – najniższa, mroczna część Hadesu, gdzie przebywały dusze odbywające najcięższe kary

terminus – święty kamień lub słup graniczny między posiadłościami, którego naruszenie było świętokradztwem. Człowiek, który dopuścił się takiego przestępstwa, bywał „sacer Jovi” – poświęcony Jowiszowi – karany śmiercią, a jego woły i uprząż, którymi orał, przechodziły na własność świątyni

Tyrtajos (Tyrteusz) – poeta grecki z VII w. p.n. Jego pieśni budziły zapal wojenny

v i l l a rustica – pałac, willa na wsi

v i g i l i a e – noc u Rzymian dzieliła się na 4 części, od zmiany straży w wojsku, które następowały co trzy godziny (vigiliae): 18-21, 21-24, 24-3, 3-6

Westa – bogini i opiekunka świętego ogniska domowego

wiek złoty – Grecy i Rzymianie dzielili dzieje ludzkości na pięć wieków. Pierwszy wiek – złoty – był okresem najwyższego szczęścia, wolności, ludzie nie znali trosk, trudów, chorób. Gdy pokolenie tych ludzi wymarło, bogowie stworzyli ludzi ze srebra. Pokolenie to było niegodziwe, więc Zeus je zgładził. Nastąpił wiek spiżowy – ludzie tego okresu wielbili wojny, grabieże, byli silni, okrutni. Potem wymordowali się. Czwarty wiek był wiekiem bohaterstwa. Wtedy żył Herakles, Tezeusz i inni bohaterowie. Po wojnie trojańskiej zakończył się ten wiek i nastąpił wiek żelazny, który trwa

wino z Chios – słynne greckie wino

Zeus – ojciec bogów i ludzi u Greków. Na złotej wadze waży losy śmiertelnych. Władca żywiołów, opiekun gościnności, prześladowca krzywoprzysięzców

